

Bardziej od starych niewyjaśnionych spraw fascynują mnie detektywi z Archiwum X, którzy znajdują ostatni element układanki i rozwiązują zagadkę. Sherlock byłby z Was dumny!

Katarzyna Bonda

TOMASZ KIN

BEZ

PRZEDAWNIENIA

§

**NAJGŁOŚNIEJSZE ZBRODNIENIE WYKRYTE PO LATACH
PRZEZ POLICJANTÓW POLSKIEGO ARCHIWUM X**

TOMASZ KIN

**BEZ
PRZEDAWNNIENIA**

§

Copyright © by Tomasz Kin
Copyright © by Ringier Axel Springer
Polska Sp. z o.o.

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 52
02-672 Warszawa

Projekt okładki:

Joanna Gwis

Korekta:

Jolanta Kucharska

Zdjęcie Tomasza Kina:

Mateusz Nasternak

Zdjęcia w książce:

Fotolia, archiwum autora

ISBN: 978-83-8091-532-9 (EPUB)

ISBN: 978-83-8091-533-6 (MOBI)

Warszawa 2017

www.ringieraxelspringer.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Wstęp

Gdańsk – zabójstwo 10-letniego Marcina w Lisewie Malborskim i 11-letniego Sebastiana w Łęgowie

Gdańsk – brutalny napad na aptekarkę w Słupsku

Szczecin – morderstwo w Gryfinie

Szczecin – zaginięcie w Kamieniu Pomorskim

Szczecin – potrójne zabójstwo

Rzeszów – zabójstwo recepcjonistki hotelu

Łódź – seria zabójstw homoseksualistów

Katowice – rabunki i morderstwa kobiet w Chorzowie 1980 i 1989 r.

Poznań – zabójstwo dziewczynki

Poznań – kradzież Moneta

Warszawa – zaginięcie dziewczyny w ciąży

Opole lubelskie – potrójny mord

AFIS

Genetyka

Analiza policyjna

Słowniczek

Podziękowania

zapraszam na... (P).



WSTEP



Policjanci często powtarzają: tam, gdzie kończy się logika, zaczyna się policja. To zabawna, czasem gorzka metafora polskiego prawa i obecnej kondycji tej gigantycznej firmy. Nie zniechęca jednak stróżów prawa, żeby kreatywnie i niezłomnie wywiązywali się z podstawowych zadań, czego oczekuje od nich społeczeństwo. Mają łapać bandytów. Przed trzydziestoma laty skuteczność policji była znacznie mniejsza. Zbrodni niewyjaśnionych z wielu powodów, o których opowiem, jest w Polsce około dziewięćuset. Stały się społecznym wyrzutem sumienia. Dzięki powołaniu Zespołów do spraw Niewykrytych, korzystających z nowych technologii i działających w myśl starej policyjnej zasady: nigdy nie odpuszczając, udało się ów wyrzut sumienia nieco zagłuszyć, ale nie całkowicie się go pozbyć.

Przystępując do pracy nad tą książką, chciałem opisać największe sukcesy Zespołów do spraw Niewykrytych, zwanych bardziej medialnie polskim Archiwum X. Pragnąłem dowiedzieć się, w jakich okolicznościach zostały powołane do życia, oraz przekonać, kto w nich pracuje. Policja początkowo wydawała mi się ponurą instytucją, ale pokonując kolejne bariery, odkryłem, że pracuje w niej wielu uczciwych, dziarskich i serdecznych ludzi, którzy pomogli mi zrozumieć, jak wygląda ich rzeczywistość. Dotarłem do policjantów zajmujących się jednym z bodaj najbardziej rajujących nasze społeczeństwo tematów, jakim są stare niewyjaśnione

zbrodnie. Okazali się ludźmi zasad, dumnymi z tego, że wykonują fascynujący zawód, który naprawdę ma znaczenie.

Pół życia karmiłem się filmami, serialami i książkami z wątkiem kryminalnym. I choć nie mogłem nazwać siebie kryminalistycznym ekspertem amatorem, podjąłem się opisanie policyjnego świata. Za tą decyzją stały nie tylko moja ogromna nieskrępowana ciekawość i immanentna potrzeba poznawania nowych ludzi, ale także fakt, że w przeszłości miałem już do czynienia z organami ścigania.

Liczyłem sobie jedenaście wiosen, gdy podczas obozu harcerskiego w bieszczadzkiej stancy Olchowiec poznałem człowieka, który, co zrozumiałem po wielu latach, miał na mnie niemały wpływ. Pechowo trafiliśmy na deszczowe lato, które zapowiadało karcianą nudę z rzęzącym radiomagnetofonem, zasilanym na wpół wyczerpanymi bateriami R20. Okazało się, że jeden z namiotów zajmował Paweł, zięć koleżanki mamy, policjant z grupy dochodzeniowej z Krakowa. Szybko obsiedliśmy go z chłopakami żądni opowieści kryminalnych. Facet nie potraktował nas jak dzieci, tylko niemal równych sobie kumpli, czym natychmiast zyskał w naszych oczach jeszcze większy szacunek. Mówił o swojej pracy, snuł niesamowite opowieści, a my byliśmy wdzięcznym audytorium. Jego historie były lepsze niż wszystkie ogniska i komiksy razem wzięte, bo prawdziwe. Trupy, pościgi, naloty i przesłuchania. Paweł zapytał nas, czy wiemy, co trzeba zrobić, „gdy klient fika”, czyli w policyjnym żargonie: zatrzymany bandyta macha nożem albo w inny sposób zagraża policjantom. Kazał nam wyprostować ręce tak, jak byśmy mieli założone kajdanki, po czym mocno uderzył swoimi dłońmi z obu stron w nasze nadgarstki. Bolało jak cholera. Kiedy uświadomiliśmy sobie, co by było, gdyby nasze ręce naprawdę były zakute w kajdanki, zrozumieliśmy powagę sytuacji i to, że po takiej akcji każdy, najtwardszy nawet kozak, przestanie stawiać opór.

Dziś takie zachowanie policjanta skończyłoby się pewnie oskarżeniem przez zatrzymanego, ale wówczas gliniarze byli twardzielami, bo bandyci stanowili prawdziwe niebezpieczeństwo. Potwierdzili to zresztą niemal wszyscy moi rozmówcy, których poznałem w jednostkach wojewódzkich. Po dwudziestu sześciu latach odnalazłem Pawła. Był już na policyjnej emeryturze. Jakież było jego zaskoczenie, gdy opowiedziałem mu, że przygotowuję książkę o policji i pamiętam, co opowiadał nam w Bieszczadach. Dowiedziałem się od niego, jakie znaczenie miały kiedyś

słowo dane przez policjanta, wspólna praca w terenie i wsparcie przełożonych. Z jego opowieści wyłonił się świat wyblakłych obecnie zasad i serdecznego braterstwa broni, które bezpowrotnie zniknęło, co smuci wielu byłych detektywów.

Kolejne w moim życiu policyjno-prokuratorskie spotkanie zdarzyło się w rodzinnym Tarnobrzegu. Gdy szedłem do szkoły, zauważyłem samochód wujka stojący przed blokiem, w którym mieszkał. Zdziwiłem się bardzo. Przecież zawsze o tej porze wujek, kierownik w ZUS-ie, porządkował już świat. A że był przykładem sumienności i pracoholizmu, nigdy nie spóźniał się do pracy. Pomyślałem, że może jest chory, więc zastukałem do drzwi mieszkania na pierwszym piętrze. Były zamknięte, chociaż ze środka dochodził dźwięk telewizora. Szarpnąłem za klamkę i zawołałem. Nikt nie odpowiedział. Pobiegłem więc do mamy, która prowadziła zajęcia w domu kultury nieopodal. Powiedziałem jej, że coś jest nie tak. Dostałem komplet kluczy do mieszkania wujka i polecenie, aby sprawdzić, co się dzieje. Wróciłem do mieszkania, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Wujek siedział martwy w fotelu przed telewizorem. Wyglądał, jakby spał, ale plamy opadowe na jego skórze szybko rozwiały moje nadzieje. Starłem się być dorosły i opanowany. Nie krzyczałem ani nie wybiegłem w popłochu, tylko powstrzymując drżenie rąk, wybrałem na tarczy telefonu 999. Powiedziałem do słuchawki, że znalazłem martwego wujka w jego domu, podałem adres, a czekając na przyjazd karetki, wezwałem starszego brata. Po kilkunastu minutach zjawił się lekarz, który stwierdził zgon i stężenie pośmiertne. Potem, nie wiadomo skąd, pojawił się w progu tęgi facet z brodą i zapalką w ustach. Policjant. Przeszedł po mieszkaniu i wypytał mnie, kim jestem, co się stało i kim jest wujek. Notował wszystko w małym kapowniku. Po chwili stwierdził, że wyklucza udział osób trzecich i pozwolił na zabranie ciała. Do mieszkania wkroczyli wówczas ludzie, których moi rozmówcy nazywali „zimnym pogotowiem”. Włożyli wujka do olbrzymiego plastikowego worka, ułożyli na noszach i wyszli.

Rekonstruując całe to zajście podczas prac nad tą książką, dowiedziałem się od mamy, że mój brat musiał pisać specjalne oświadczenie, aby prokurator odstąpił od sekcji zwłok, skoro udział osób trzecich został kategorycznie wykluczony. Nigdy też nie zapomnę wyrazu twarzy taty, któremu tuż po powrocie z pracy powiedziałem, co się stało. To był wyjątkowo trudny rok, bo kilka miesięcy później zmarł także mój ojciec.

Przypomniałem sobie również swoje trzecie spotkanie z organami ścigania pod koniec stycznia 2001 roku. W niedzielny wieczór wróciłem z kina. Drzwi mieszkania w kamienicy przy ulicy Kijowskiej w Krakowie, gdzie podówczas mieszkałem, były uchylone. Dziwne. Po przekroczeniu progu zastałem splądrowane pomieszczenia i wybite okno balkonowe. Złodzieje zabrali wszystko, nawet zawartość lodówki. Zniknął sprzęt RTV i AGD, skradziono wszystkie moje rzeczy osobiste. Ostały się jedynie wielka chłodziarka i ciężka pralka. Wezwałem natychmiast policję. Pojawili się dwóch panów: dochodzeniowiec i technik. Jeden mnie przepytował i kazał określić wartość skradzionych rzeczy, drugi starał się znaleźć jakieś ślady. Złodzieje w swojej łaskawości oszczędzili mój dowód osobisty i karty kredytowe. Mogłem się przynajmniej wylegitymować. Policjanci przytomnie zauważyli, że plastiku kart mógł ktoś dotykać, więc pędzlem z marabuta technik naniósł cienką warstwę proszku daktyloskopijnego i po chwili pojawiły się wyraźne odciski. Wówczas wydawało mi się to odkryciem na miarę wynalazków Edisona.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że jestem dla funkcjonariuszy tylko kolejną drobnicą i mimo małej szkodliwości czynu będą musieli wypełniać mnóstwo policyjnych kwitów. Dwa tygodnie później otrzymałem list polecony, w którym poinformowano mnie, że prowadzone przez starszego posterunkowego Henryka Wiaderko śledztwo zostało umorzone z powodu braku śladów umożliwiających wykrycie sprawcy.

Nie wiedziałem, że właśnie wtedy zaczął powstawać w komendach system automatycznej identyfikacji AFIS. Dla policji nastawały nowe czasy. Karty daktyloskopijne nie tylko niezidentyfikowanych sprawców, ale też osób kiedykolwiek zatrzymanych były wprowadzane do komputera, aby system mógł porównywać ślady NN (jak te z moich kart kredytowych) z „paluchami” konkretnych przestępców, od których również pobrano odciski. Do 2005 roku AFIS był już standardem w każdej większej jednostce policyjnej. Dzięki systemowi stało się możliwe badanie starych śladów. Szybko pojawiły się wyniki, co bezpośrednio przyczyniło się do powołania zespołów zajmujących się sprawami niewyjaśnionymi zalegającymi w archiwach od lat.

Zanim na potrzeby niniejszej książki wyruszyłem w trasę po Polsce, aby poznać policjantów pracujących w komórkach Archiwum X działających przy komendach wojewódzkich i dowiedzieć się wszystkiego o ich pracy,

złożyłem honorową obietnicę. Podczas pierwszej rozmowy z rzecznikiem komendy głównej, w którego gabinecie miałem wrażenie, że wpadam w króliczą norę, dałem słowo, że po zgromadzeniu niezbędnego materiału nie będę polemizował z metodami policyjnymi i postaram się ukazać funkcjonariuszy w przyjaznym świetle. Zastrzegłem jedynie, że jeśli policjanci zdecydują się na uwagi krytyczne, nie będę ich ugładzał i w żaden sposób cenzurował. Zależało mi bowiem, żeby w książce znalazły się najgłośniejsze, skomplikowane i wymagające kryminalnego talentu sprawy, które od pierwszych miesięcy powołania Zespołów do spraw Niewykrytych przyszło policjantom rozwiązywać.

Nie chciałem zostawać sam na sam z opasłymi aktami śledztw, ponieważ umiejętność ich czytania i wyciągania niezbędnych wniosków zdobywa się latami. Poza tym to wyjątkowo nudne zajęcie. Bardzo łatwo przepaść w magmie informacji, wyciągając wyrwane z kontekstu fragmenty pozwalające snuć prywatne teorie i zacierać właściwy obraz wydarzeń. Nadinterpretacje i przeinaczenia są szkodliwe. Właśnie one nadszarpują wizerunek polskich organów ścigania.

Mimo wrodzonej zdolności do przełamywania lodów czułem na początku lekki dystans, z którego byłem obserwowany. Mozolnie pracowałem na zaufanie. Rozmowy z prokuratorami czy detektywami, najpierw pełne rezerwy, przeradzały się w serdeczne i fascynujące wielogodzinne dysputy. Stopniowo poznawałem zasady i metody, taktykę i niuanse pracy dochodzeniowo-śledczej. Interesowało mnie praktycznie wszystko, zwłaszcza polska rzeczywistość sprzed trzydziestu lat. Tyle właśnie trzeba, aby stare zagadki kryminalne przedawniły się i zostały zmielone, pozostając jedynie w pamięci świadków, rodzin i oficerów.

Miałem okazję rozmawiać z emerytowanymi policjantami, których okres świetności zawodowej przypadał na czasy przed transformacją ustrojową w 1989 roku. Spotykałem się z wciąż czynnymi stróżami prawa, zbliżającymi się do emerytury i mającymi porównanie starych z obecnymi realiami. Stałem oko w oko z najmłodszym pokoleniem detektywów, o których powstają obecnie kinowe hity. Dzięki tym rozmowom mogłem dowiedzieć się, jak zmieniały się społeczne nastawienie wobec policji i dynamika śledztw. Dlatego sporo miejsca w swojej książce poświęciłem temu, w jaki sposób transformacja ustrojowa wpłynęła na cały system policyjny, dając służbom kryminalnym zupełnie nowe możliwości badania

śladów i gromadzenia dowodów. Chciałem pokazać, jak działa machina polskiego systemu sprawiedliwości, często kalekiego, w którego hierarchii policjant znajduje się na samym dole. A przecież to osoba kluczowa w procesie dochodzenia do prawdy. Dowiedziałem się także, dlaczego niektórzy policjanci uważają, że w tej pracy potrzebne jest szczęście, a inni twierdzą, że w wyjątkowo niewdzięcznym zawodzie dochodzeniowca nie istnieje coś takiego jak szczęście.

Zebrany materiał starałem się zaprezentować z różnych perspektyw. Oprócz odtworzenia przebiegu śledztw dotyczących morderstw na tle rabunkowym, seksualnym, a czasem popełnionych bez powodu w książce pojawiły się rozmowy z detektywami i wybitnymi specjalistami w dziedzinach genetyki, daktyloskopii i analizy policyjnej.

Miałem dostęp do akt śledztw rozwiązanych, w których sprawców wykryto i skazano prawomocnymi wyrokami. Kilka historii może wydać się znajome, ponieważ gdy popełniono zbrodnie, było o nich głośno w mediach. W rozmowie z detektywami Archiwum X w Gdańsku powróciłem do morderstwa aptekarki ze Słupska, rekonstruowanego w programie „Magazyn Kryminalny 997” Michała Fajbusiewicza. Opisałem także wieloletnie śledztwo w sprawie jednej z najsłynniejszych polskich kradzieży dzieł sztuki. Starałem się wytłumaczyć, dlaczego tak wiele zagadek kryminalnych wciąż pozostaje nierozwiązanych i jak udaje się dopaść sprawców po kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu latach.

Książkę tę dedykuję wszystkim detektywom, z którymi miałem okazję się spotkać, a także tym, którzy nie mieli czasu na rozmowy, bo „szarpiąc nowe ślady, wchodzą właśnie klientom na łeb”, przybliżając się nieuchronnie do ich zatrzymania.

Przedstawione w książce wydarzenia miały miejsce naprawdę. Dla ochrony prywatności oraz ze względów bezpieczeństwa personalia detektywów oraz osób związanych z opisanymi zajściami zostały zmienione, podobnie jak nazwy ulic i niektórych miejsc. Wszystkim podejrzanym przysługuje prawo domniemanej niewinności, aż do ostatecznego wyroku sądu.



GDAŃSK
– ZABÓJSTWO 10-LETNIEGO
MARCINA W LISEWIE
MALBORSKIM I 11-LETNIEGO
SEBASTIANA W ŁĘGOWIE



2002 rok

Pierwsze dni września, dziesięcioletni Marcin wracał rowerem z domu dziadków w Starej Wiśle do Lisewa Malborskiego. Na drodze zobaczył mężczyznę. Był ubrany na czarno, jechał „góralem”. Minął chłopca, ale po chwili zszedł z roweru i zatrzymał Marcina. Poprosił o pomoc przy naprawie obłuzowanego łańcucha. Żeby nie stwarzać zagrożenia na drodze, obaj rowerzyści poszli w stronę pobliskiego pola. Gdy nieznajomy mocno ujął Marcina za nadgarstek, chłopiec instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo i chciał się wyswobodzić. Zaczął krzyczeć, ale silny mężczyzna nie dał mu szans. Stojąc za plecami dziesięciolatka, przycisnął go do swojej klatki piersiowej, wyciągnął nóż i zadał ciosy w brzuch i piersi. Żeby upewnić się, że chłopiec zmarł, próbował poderżnąć mu gardło. Nóż był jednak zbyt tępy, dlatego wbił go w szyję ofiary. Potem wyrzucił narzędzie zbrodni w krzaki, wsiadł na rower i popędził z powrotem w kierunku Tczewa. Ciało dziesięciolatka odnaleziono już po 30 minutach. Kobieta, która przejeżdżała drogą, zobaczyła porzucony

rower. Sądziła, że doszło do wypadku: samochód potrafił rowerzystę i kierowca zbiegł, co zdarzało się często. Kilka metrów za rowem znalazła chłopca leżącego na ściernisku.

W wyniku pracy operacyjnej podczas dochodzenia, które kilkadziesiąt godzin po zabójstwie wszczęła prokuratura, jako podejrzany został wytypowany Tomasz Kułaczewski. Mieszkał w sąsiedniej wsi, nie był w pełni sprawny umysłowo. Pytany o związek z zabójstwem wziął winę na siebie, choć tłumaczył się nieprecyzyjnie, a jego zeznania nie opisywały tego, jak w rzeczywistości doszło do morderstwa. Chodziło przede wszystkim o sposób zadawania ran. Jakby tego było mało, powołani świadkowie dali alibi zatrzymanemu mężczyźnie. Zbrodnia była jednak tak bulwersująca, że machina wymiaru sprawiedliwości raz wprawiona w ruch się nie zatrzymała. Chociaż istniały uzasadnione wątpliwości co do winy podejrzanego, prokurator, który nie dysponował żadnymi materiałami w postaci śladów daktyloskopijnych czy biologicznych, umiejętnie pokierował aktem oskarżenia. Biegli powołani w sprawie orzekli, że Kułaczewski nie potrafił właściwie przewidzieć odległych konsekwencji swojego działania. Proces przebiegł bardzo szybko i skończył się wyrokiem, 15 lat pozbawienia wolności. Dwunastego listopada 2003 roku Kułaczewski został skazany za zabójstwo Marcina w Lisewie Malborskim.

2005 rok

Pierwsze dni jesieni. W Łęgowie z pociągu wysiadł mężczyzna. Poszedł w kierunku małej rzeki. Przy jej brzegu dostrzegł chłopca łowiącego ryby. Dziecko nie miało wędki, jedynie kawałek deski z przyczepioną żyłką z haczykiem. Mężczyzna dosiadł się do Sebastiana (tak miał na imię jedenastoletni wędkarz), pochwalił własnoręcznie wykonany sprzęt. Po kilkunastu minutach rozmowy wskazał ciekawe „ruiny” w pobliżu. Sebastian poszedł z nieznanym sprawdzić, co kryje się w zniszczonym budynku. Tuż po wejściu do środka mężczyzna zdarł z chłopca bluzę razem z koszulką. Sebastian zaczął krzyczeć, więc napastnik zatkał mu usta dłonią. Potem usiadł na klatce piersiowej jedenastolatka, przytrzymując

ramiona kolanami. Szarpanina trwała krótko. Dziecko straciło dostęp powietrza i zemdląło. Mężczyzna był pewny, że kiedy chłopak oprzytomnieje, opowie o tym, co zaszło i z pewnością go rozpozna. Wyciągnął więc z plecaka nóż myśliwski i zadał Sebastianowi kilkanaście ciosów. Na koniec przeciął krtań swojej ofiary drugim, mniejszym, kuchennym nożem. I opuścił miejsce zbrodni.

Rolnik w traktorze najpierw zobaczył mężczyznę z kitką wybiegającego w pośpiechu ze zniszczonego budynku, potem znalazł zmasakrowane ciało chłopca. Natychmiast pojechał do domu, żeby zawiadomić policję. A morderca wrócił już do Łęgowa. Udało mu się zatrzymać szkolnego busa wypełnionego dziećmi. Poprosił o podwiezienie. Zdążył na pociąg do Tczewa.

Policja szybko opracowała rysopis sprawcy: broda, długie związane włosy, spodnie moro, plecak. Portret został rozesłany do wszystkich okolicznych jednostek. Rozpoczęła się obława. Trop wiódł do pociągu relacji Gdańsk-Tczew. Zanim skład zatrzymał się na stacji docelowej, policja czekała na poszukiwanego na peronie. Było późne popołudnie. Sporo ludzi wracało po pracy do domu. W tłumie opuszczającym peron dostrzeżono mężczyznę wyglądającego identycznie jak ten poszukiwany z rysopisu. Został zatrzymany. W plecaku miał dwa zakrwawione noże. Nazywał się Piotr Trojak. Sąd Apelacyjny w Gdańsku zgodził się na upublicznienie imienia i nazwiska zabójcy w 2014 roku.

Tuż po przewiezieniu mężczyzny na komendę, w trakcie rozpytania (nie jest to formalne przesłuchanie przez prokuratora, po którym stawia się twarde zarzuty) policjanci zapytali, czy to jego pierwsze morderstwo. Trojak bez najmniejszego oporu przyznał, że nie i bardzo dokładnie opisał, co wydarzyło się trzy lata wcześniej w Lisewie Malborskim. Nikt z rozmawiających z zatrzymanym policjantów nie znał szczegółów tamtej zbrodni. To inne powiaty, w innym układzie administracyjnym jednostek policji.

Detektywi podjęli czynności w sprawie teoretycznie zakończonego dochodzenia. Z akt wynikało, że podczas śledztwa prowadzonego w 2002 roku sporządzono portret pamięciowy człowieka, który przejeżdżając rowerem przez wieś, był widziany przez wiele osób. Tradycyjny układ zabudowań przy głównej drodze przebiegającej wzdłuż całego Lisewa umożliwił mieszkańcom przyjrzenie się nieznanemu. Świadkowie

zezнали także, że widzieli Marcina jadącego w stronę Lisewa i mężczyznę nadjeżdżającego z przeciwnej strony. Nikt nie widział morderstwa. Kilkanaście minut później te same osoby, które zauważyły rowerzystę jadącego przez wieś, obserwowali go ponownie, jak w pośpiechu wracał w stronę mostu w Tczewie. Był ubrany w sposób charakterystyczny dla subkultury metalowców.

Kiedy po niemal czterech latach sprawa wróciła na wokandę, podczas drugiego procesu sąd przyznał się do całkowitej porażki wymiaru sprawiedliwości. Wobec domniemanego sprawcy z 2002 roku umorzono wszystkie zarzuty i wypuszczono na wolność. Ósmego czerwca 2006 roku przed bramą więzienną zgromadzili się reporterzy, żeby zobaczyć, jak wygląda człowiek niesłusznie skazany za morderstwo. Jego wyjście na wolność relacjonowały wszystkie dzienniki informacyjne i rozgłośnie. Stawiając pierwszy krok za progiem więzienia, Kułaczewski zaczął śpiewać: „Niech żyje wolność i swoboda”. Do wystawionych w jego kierunku mikrofonów i kamer powiedział: „Na początku musiałem wypijać wszystko, co mi dawali. Podawali mi straszne napoje, tam było wszystko, płyn do mycia naczyń, pasta do butów i wszystkie możliwe chemikalia”.

Tomasz Kułaczewski otrzymał zadośćuczynienie za gehennę, którą jako zabójca dziecka przeszedł w więzieniu. Skarb Państwa wypłacił mu 300 tysięcy zł. Nikt nie poniósł kary za skazanie mężczyzny i wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządzono.

Po zeznaniach dotyczących zamordowania Sebastiana doszło do eksperymentu procesowego z udziałem zabójcy. Podczas wizji lokalnej Trojak ze szczegółami opisał przebieg zajścia. Przedstawione detale pasowały idealnie i uzupełniały wiedzę policji i prokuratury. Podczas postępowania dotyczącego zabójstwa pod Łęgowem Trojak skorzystał z prawa do adwokata. Kiedy pojawił się jego obrońca, nieoczekiwanie zmienił zeznania. Wyparł się wcześniejszej zbrodni. Twierdził, że był jedynie jej świadkiem. Widział całe zajście, ale się bał i nie zareagował. Opisał nawet lakonicznie zmyśloną postać mordercy. Wiedział doskonale, że zgromadzone dowody w sprawie zabójstwa Sebastiana były miażdżące. Zaprzeczanie nie miało sensu. Jednak w kwestii morderstwa sprzed trzech lat, poza zeznaniami świadków, którzy widzieli, że jechał na rowerze (ale nie widzieli, jak zabijał), i poza pierwszymi zeznaniami, z których się wycofał, nie istniał żaden materiał dowodowy. Prokurator, mimo okazania

i przyznania się Trojaka do winy podczas pierwszego przesłuchania, nie zdecydował się skierować aktu oskarżenia do sądu.

W listopadzie 2007 roku prof. Zbigniew Lew-Starowicz, powołany jako biegły, stwierdził, że Trojak dokonał mordu na skutek zaburzeń preferencji seksualnych. Seksuolog rozpoznał u trzydziestolatka zaniżoną samoocenę męskości wynikającą z nielicznych doświadczeń seksualnych z kobietami i nieudanego związku. Sąd okręgowy w Gdańsku wydał wyrok dożywotniego pozbawienia wolności z możliwością przedterminowego zwolnienia po 30 latach. Wciąż jednak nie było winnego morderstwa Marcina. Sprawa z 2002 roku na kolejne lata trafiła do kryminalnej zamrażarki.

2011 rok

W Archiwum X rozpoczął pracę policjant, który w 2005 roku prowadził postępowanie w sprawie zabójstwa jedenastoletniego Sebastiana. Chciał udowodnić Trojakowi zabójstwo w Lisewie. Doskonale pamiętał, że w piątek 30 września tuż przed końcem pracy, około godziny 15.00 dostał wezwanie na oględziny miejsca zbrodni. Żaden z policjantów nie kwapił się do pracy przy zabójstwie dziecka. Decydował rzut monetą. Prace na miejscu zdarzenia wraz z pierwszymi czynnościami, takimi jak przepytanie świadków i zabezpieczanie śladów, przesłuchanie podejrzanego i wizja lokalna, trwały cały weekend.

W tym czasie w prokuraturze okręgowej powstał zespół analiz, który niezależnie od policji próbował rozwikłać sprawę. Wnioski z jego pracy trafiły do detektywów Archiwum X. Były dość oczywiste i wskazywały na błędy popełnione przy pierwszym śledztwie. Spostrzeżenia analityków dotyczyły okazania Trojaka mieszkańcom Lisewa (wielu rozpoznało go bez cienia wątpliwości), sposobu poruszania się rowerem przed zabójstwem i po nim oraz szczegółowego opisu przebiegu morderstwa, jakie przedstawił w 2005 roku tuż po zatrzymaniu. Dodatkowo policjanci dysponowali opinią biegłego z zakładu medycyny sądowej potwierdzającą, że obrażenia chłopca mogły powstać właśnie w taki sposób, jak to opisał Trojak. Ich

mechanizm odpowiadał wynikowi sekcji zwłok. Dodatkową trudnością był całkowity brak dowodów rzeczowych. Sąd okręgowy w Gdańsku po pierwszym wyroku skazującym niewinnego mieszkańca okolic Lisewa nakazał zniszczenie dowodów rzeczowych, czyli noża znalezionej na miejscu zbrodni w rowie melioracyjnym i rowerze należącego do zamordowanego chłopca. Nóż został zutylizowany, rower wydano rodzinie Marcina. Nie wiadomo, dlaczego tak się stało, tym bardziej że sprawca dotykał kierownicy, co udowodnili detektywi Archiwum X. Nie zdziwili się, kiedy okazało się, że rower przywołujący traumatyczne wspomnienia został zniszczony przez ojca chłopca. Podjęli ostateczną próbę połączenia Trojaka z tą zbrodnią. Jego wina była przecież oczywista.

Najpierw zweryfikowali, czy Trojak opowiedział komuś o swoich morderstwach. Po zatrzymaniu miał kontakt z innymi osadzonymi w areszcie śledczym, a później w zakładzie karnym. Przesłuchano stu mężczyzn. Trzech z nich zeznało, że owszem, Trojak opowiadał o swoich dwóch zabójstwach. Nie był to żaden kluczowy dowód, ale w opinii śledczych Archiwum X sprawa zaczęła się krystalizować. Stwierdzili, że muszą ponownie pochylić się nad najważniejszym dowodem, czyli nożem z miejsca zbrodni. W aktach zachowała się jego fotografia.

Zdjęcie maksymalnie powiększono. Podczas pierwszego przesłuchania Trojak szczegółowo opisał nóż, którego użył do zabójstwa. Zrobił go własnoręcznie. Duże ostrze z założoną rękojeścią z dwóch deseczek owiniętych sznurkiem. W trakcie zeznań opowiadał, że na sznurku znajdowały się kawałki zaprawy murarskiej. Detektywi szukając punktu zaczepienia, pokazywali zdjęcia noża wszystkim, którzy mieli kontakt z dowodami rzeczowymi podczas pierwszego śledztwa w 2002 roku. Byli to głównie policjanci z Lisewa i biegli poddający nóż specjalistycznym badaniom. Jeden z nich wspomniał, że istotnie na sznurku owijającym rękojeść były drobiny gipsu.

Jeden z detektywów, który w 2005 roku uczestniczył w przeszukaniu posesji Trojaka (był to specyficzny dom połączony ze starym holenderskim wiatrakiem) w sprawie zabójstwa Sebastiana, zapamiętał, że widział tam linkę odpowiadającą sznurkowi na badanej rękojeści. Posesja Trojaka w Tczewie została jeszcze raz sprawdzona. Poszukiwana linka wciąż wisiała na tarasie jako sznur na bieliznę. Została zabezpieczona. Śledczy powołali biegłego z zakresu mechanoskopii, żeby porównał ją ze zdjęciem

noża, którym zabito Marcina. Linkę rozłożono na części pierwsze, a biegły wydał kategorię opinię, że barwy, sploty i wszystkie cechy odpowiadają dowodowi na zdjęciu.



Pracownia daktyloskopijna dziś. Każda z kart z odciskami linii papilarnych jest badana godzinami, a bywa, że latami.

To kolejny punkt zaczepienia. Niewinnie skazany Kułaczewski nie miał pojęcia o narzędziu zbrodni, które Trojak trzy lata później opisał na tyle szczegółowo, że pozwoliło to przeprowadzić dokładną analizę przebiegu zbrodni i określić, jak morderca zadawał śmiertelne rany.



Mimo zaawansowanych systemów do identyfikacji wciąż podstawowymi narzędziami biegłego w laboratorium daktyloskopijnym są lupa i mikroskop.

Kolejnym elementem dochodzenia była drobiazgowa analiza czasu, kiedy świadkowie w Lisewie widzieli jadącego na rowerze Trojaka. Policjanci udali się na miejsce zbrodni, żeby przeprowadzić eksperyment. Trojak był widziany w Lisewie około godziny 15.00 i 30 minut później, kiedy wracał. Detektywi wsiedli na rowery i dwa razy w średnim tempie przebyli cały dystans, sprawdzając, czy czas potrzebny na pokonanie tej odległości pokryje się z zeznaniami świadków. Udało się. Nie było wątpliwości, że Trojak potrzebował dokładnie tyle czasu, żeby dokonać zabójstwa i wrócić tą trasą. Z eksperymentu wynikało także, że było mało prawdopodobne, aby na miejscu zbrodni pojawił się ktoś jeszcze, co mogłoby podważać winę sprawcy.

Ostatnim dowodem do gromadzonego materiału procesowego była opinia analizująca oba zabójstwa, przesłana do Gdańska przez krakowski Instytut Ekspertyz Sądowych. Psycholodzy, opierając się na zeznaniach ludzi ze środowiska Trojaka oraz danych zgromadzonych przez prokuraturę, określili jednoznacznie, że morderstwa popełniła ta sama osoba. Działania detektywów pozwoliły prokuraturze podjąć nowe postępowanie. Decyzję o przedstawieniu zarzutów wydano niemal natychmiast. Policjanci pojechali do Trojaka, który odbywał już karę w Starogardzie Gdańskim. Przy dodatkowej eskorcie funkcjonariusza konwojowego, zakuty w kajdanki i w więziennym drelichu, został przewieziony do prokuratury okręgowej w Gdańsku. Nie przypominał groźnego mordercy. Wydawał się przeciętnym, niczym niewyróżniającym się młodym mężczyzną. Całą drogę milczał, ale wiedział już, o co chodzi. Prawdopodobnie dotarła do niego informacja, że kilka tygodni wcześniej detektywi przesłuchiwali więźniów zakładu karnego i aresztu śledczego, z którymi mógł mieć kontakt.

Pierwsza wizyta w prokuraturze nie przyniosła rezultatu. Trojak nie przyznawał się do zabójstwa sprzed dekady. Standardowo pobrano od niego krew, odciski na karcie daktyloskopijnej i sfotografowano. Został także poddany badaniu wariografem. Po dwóch tygodniach napisał do prokuratury list z więzienia, prosząc o spotkanie, zmienił bowiem zdanie i chciał zeznawać. Detektywi uznali, że prawdopodobnie coś w nim pękło, choć trudno przypuszczać, żeby ruszyło go sumienie. Być może uznał, że współpraca będzie okolicznością łagodzącą. Błyskawicznie zorganizowano ponowny konwój i przetransportowano skazanego do prokuratury w Gdańsku. Przesłuchanie było nagrywane. Zabójca utrzymał swoje zeznania sprzed sześciu lat. Na pytanie, dlaczego to zrobił, odpowiedział, że poczuł taką potrzebę, kiedy zobaczył nadjeżdżającego z przeciwnej strony Marcina. W trakcie przesłuchań twierdził, że był zafascynowany okultyzmem, jednak detektywi nie przywiązywali do tych rewelacji większej wagi. Biegli orzekli u Trojaka głębokie skłonności sadystyczne i pedofilskie z problemem określenia orientacji seksualnej i osobowością nieprawidłową. Wydali tę opinię głównie na podstawie materiałów z drugiego zabójstwa. Dokonał go z powziętym zamiarem zgwałcenia, które się nie udało, dlatego zabił schwytanego chłopca. W chwili popełniania obu morderstw był w pełni poczytalny.



Używając tego sprzętu, Muzeum Narodowe w Poznaniu odzyskało obraz jedyne go impresjonisty w polskich zbiorach. Biegłemu po dziewięciu latach pracy udało się zidentyfikować wyjątkowo niewyraźne odciski i znaleziono złodzieja.

Trojak pochodził z przeciętnej rodziny, niewyróżniającej się skłonnościami patologicznymi. W swoim domu urządził coś na kształt sali prób. Jedna z lokalnych kapel spotykała się tam, żeby grać. Zdarzało się, że organizował imprezy i grille. Nie był specjalnie lubiany. Zawsze z boku, cichy i spokojny. Mieszkał niedaleko miejsca zbrodni. Detektywi właśnie w tym dopatrują się największego błędu, jaki został popełniony w śledztwie w 2002 roku. Nikt wówczas nie zweryfikował, kim był człowiek ze sporządzonego dość wiernie portretu pamięciowego. Wystarczyło przejechać przez Wisłę, pokonać kilometr, żeby z Lisewa dotrzeć do

Tczewa i rozpracować środowisko metalowców. Liczyło ono około stu osób. Co najmniej kilka z nich po przypatrzeniu się człowiekowi z portretu pamięciowego rozpoznałoby mężczyznę mieszkającego w wiatraku. Nie był anonimową postacią wśród metalowców. Miał opinię dziwaka i oszołoma. Przesłuchano jedynie dwóch metalowców, pytając, czy jeżdżą na rowerach, ale nie pokazując im sporządzonego portretu! Efektem tych błędów było wyciszenie się mordercy po pierwszym zabójstwie. Był jednak klasycznym seryjnym zabójcą seksualnym, dlatego żądza i potrzeba mordu powróciły dokładnie po trzech latach. Prawdopodobnie na wieść, że syn jest mordercą, ojciec Trojaka się powiesił.

§



GDAŃSK
– BRUTALNY NAPAD NA
APTEKARKE W SŁUPSKU



1989 rok

Późne popołudnie 15 września, ulica Rybacka w Słupsku. W mieszkaniu na piętrze pojawił się nieznany mężczyzna, żeby sprawdzić licznik energii. Krótko rozmawiał z właścicielką, siedemdziesięcioletnią farmaceutką Jadwigą Morawiec, do której należała także apteka na parterze, oraz z jej o pięć lat starszą siostrą, Stanisławą Tyszko. Kilkanaście minut po jego wyjściu ktoś ponownie zapukał do drzwi. Gdy gospodyni nacisnęła klamkę, żeby sprawdzić kto to, do mieszkania wdarł się człowiek podający się wcześniej za pracownika elektrowni. Nie był sam. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn.

Napastnicy błyskawicznie obezwładnili siostry. Stanisławę pobito. W usta wepchnięto knebel z gazy i przywiązano prześcieradłem do fotela w dużym pokoju. Jadwigę zaciągnięto do kuchni, skrupowano ręce przewodem elektrycznym, a nogi prześcieradłem, którego koniec przywiązano do piekarnika kuchenki gazowej. Szyję owinięto bandażem elastycznym. Kobiętę obnażono. Później sprawcy dużym kuchennym

nożem przypalali jej pośladki i twarz. Torturowali obie siostry. Żądali wydania złotych rubli. Stanisława wskazała miejsce przechowywania 300 tysięcy zł i zemdląca. Uratowało jej to życie, bandyci bowiem założyli, że kobieta zmarła. Po brutalnym napadzie i wyrzuceniu na podłogę zawartości komód oraz szuflad szafy stojącej w kuchni mężczyźni spędzili noc w mieszkaniu skatowanych sióstr. Wyszli następnego dnia o świcie, kradnąc sporych rozmiarów obraz olejny wyjęty z ramy oraz radio sieciowe nieustalonej marki.

Dopiero około południa Stanisławie udało się uwolnić z pętli i wyjść na korytarz. Tu zobaczyła ją listonoszka Rozalia Domulska, która przyszła, żeby dostarczyć emeryturę znanej i szanowanej w Słupsku aptekarce. Stanisława poinformowała listonoszkę, że Jadwiga została zamordowana. Domulska pobiegła do sąsiedniego domu, żeby powiadomić milicję.

Lekarz pogotowia ratunkowego, który jako pierwszy przybył na miejsce, stwierdził zgon Jadwigi Morawiec. Oględziny miejsca zbrodni trwały 48 godzin. Funkcjonariusze zabezpieczyli 73 ślady daktyloskopijne (odciski odkryto na szybie segmentu i meblach) oraz biologiczne (głównie włosy i niedopałki papierosów).

Sekcja zwłok wykazała: **Zgniecenia klatki piersiowej, rany cięte szyi, liczne i rozległe podbiegnięcia krwawe całego ciała. Otarcia naskórka głowy i tułowia oraz liczne oparzenia drugiego stopnia pośladków, kończyn dolnych oraz szyi, złamanie prawej kości łokciowej, bruzdy i zasinienie z obrzękiem po silnym skrępowaniu obu przedramion, złamanie nosa, obrzęk mózgu, krwisty płyn w komorach. Obrażenia są skutkiem urazów tępych zadawanych narzędziem twardym, tępokrawędzistym, urazów zadawanych ostrym narzędziem oraz działaniem narzędzia o wysokiej temperaturze przykładanego do ciała. Rozległe zasinienia skóry, złamanie nosa, kości łokciowej, zgniecenie klatki piersiowej i otarcia naskórka pochodzą od silnych uderzeń i mogły powstać podczas kopania, uderzania pięściami, uderzania twardymi narzędziami i kolankowania. Rany cięte szyi i prawej dłoni pochodzą od narzędzia twardego i ostrego, w przypadku szyi rozmyślnie lekko przeciąganego po skórze w celu dręczenia ofiary, a nie z chęci zabicia jej. Rana cięta prawej dłoni mogła powstać przy obronie pokrzywdzonej. Oparzenia drugiego stopnia odpowiadają odciskom noża znalezionej w mieszkaniu denatki i noszącego ślady silnego rozgrzewania ostrza.**

Rozległy obrzęk i zasinienie obu przedramion poniżej zaciśnięcia ich kablem są skutkiem zaburzenia krążenia krwi i dopływu do rąk na skutek silnego skrepowania. Nie stwierdzono uszkodzeń narządów wewnętrznych ani zmian chorobowych, które mogłyby w konsekwencji spowodować zgon denatki. Wielokrotne złamania żeber II–XII po obu stronach, dające w praktyce zgniecenie klatki piersiowej, powodowały, że podczas wdechu klatka piersiowa zapadała się, zamiast unosić, co powodowało małą wentylację płuc i po pewnym czasie uduszenie się z powodu niedostatecznego dostarczenia tlenu do organizmu. Całość obrażeń świadczy, że denatka przed śmiercią była wielokrotnie bita i raniona oraz przypiekana gorącym nożem, zaś jej śmierć nastąpiła na skutek pobicia. Nie da się określić, jak długo denatka była dręczona i w jakiej kolejności zostały zadane obrażenia. Jednakże na pewno nie żyła długo (godziny) po zgnieceniu klatki piersiowej. Stwierdzone na miejscu znalezienia zwłok wyczuwalne jeszcze w miejscach zakrytych ucieplenie skóry oraz wykryta częściowa przemieszczalność plam opadowych każe przyjąć, że zgon denatki nastąpił 10–12 godzin przed oględzinami w miejscu znalezienia zwłok. Zgon jest bezpośrednim następstwem ciężkiego pobicia przez osoby trzecie. Nie stwierdzono obrażeń, które mogłyby świadczyć o zadaniu ich celem spowodowania bezpośredniego zgonu.

Milicjanci szybko ustalili świadków. W dniu napadu Waław Wroński, zatrudniony w aptece jako palacz CO, około godziny 16.00 zauważył, jak jedna z farmaceutek rozmawia z nieznanym mu mężczyzną: *Wiek 35 lat, 170 cm wzrostu, szczupły, twarz pociągła, cera ciemna, nos spiczasty, długi, włosy blond, krótko ostrzyżony, czesany na bok, kurtka koloru popielatego, spodnie w kolorze stalowym. Pytał, gdzie są liczniki energii lokatorów. Farmaceutka wskazała licznik apteki. Nie był nim zainteresowany, szukał liczników lokatorskich.*

Kilkanaście minut później Genowefa Śląska zobaczyła z okna dwóch mężczyzn wchodzących do klatki schodowej budynku apteki: *Pierwszy był ostrzyżony krótko, grzywka na języka, włosy ciemne, ubrany w beżowy sweter z zamkiem błyskawicznym, szczupły. Wzrost 185 cm, cera lekko opalona, oczy małe i ciemne. Zachowywał się dziwnie. Gestykulował, jakby był podenerwowany. Drugi mężczyzna był szczupły, nieco niższy od pierwszego, włosy blond, dość rzadkie i lekko kręcone, spadające na szyję. Grzywka zaczesana do góry. Cera jasna, blizny po trądziku. Ubrany*

*w kurtkę, spodnie typu pumpy koloru brązowego. Mężczyźni ci kilkakrotnie wchodzili do klatki i wychodzili z niej. Gdy wchodząc, napotykali lokatorów, szybko wybiegali na deptak. Śląska dostrzegła też palacza z apteki. Szedł z innym nieznanym jej mężczyzną: **Niski, około 165 cm, włosy jasny blond, uczesany na bok. Ubrany w zieloną krótką kurtkę. Rozmawiali o czymś, po czym palacz wrócił do swoich zajęć.** Kobieta potrafiłaby rozpoznać co najmniej jednego z tych trzech mężczyzn.*

Okolo godziny 17.00 w dniu zabójstwa Grażyna Moskał, pomocnica w aptece, opuściła biuro kierowniczkę mieszczące się na pierwszym piętrze w sąsiedztwie mieszkania Jadwigi Morawiec. Naprzeciwko drzwi wejściowych do budynku, od strony wjazdu na podwórko, zobaczyła właścicielkę apteki. Kobieta rozmawiała z nieznanym mężczyzną. Pytała go, czego szukał. W odpowiedzi usłyszała, że liczników energii. Nadszedł palacz i to on wskazał liczniki. Mężczyzna sprecyzował, że chodziło mu o liczniki lokatorskie. Jego rysopis: **Wiek około 30 lat, 170 cm wzrostu, szczupła budowa ciała, włosy koloru ciemnego, ale nie czarne, proste, raczej uczesane do góry, średniej długości, twarz opalona, gładka. Ubrany był w kurtkę lub wiatrówkę koloru zielonego, zapinaną na zamek błyskawiczny.**

Podczas przesłuchania siostry ofiary milicjanci ustalili, że w lutym 1985 roku dokonano kradzieży w mieszkaniu Jadwigi. Aptekarka była krewną jednego z generałów armii carskiej. Kiedy przeniosła się do Polski ze Związku Radzieckiego, przywiozła ze sobą rodzinny skarb. Podczas remontu jej mieszkania Kazimierz Terka ukradł z szafy stojącej w kuchni 500 sztuk złotych pięćorublówek na łączną sumę 5 mln zł. Sąd Rejonowy w Słupsku skazał go na pięć lat pozbawienia wolności. Karę odbył w Potulicach. Został zwolniony przedterminowo. Wyszedł na wolność latem 1989 roku. Sprzedażą zrabowanych monet zajęli się Lech Janas i jego kuzyn Wiesław Rataj. Dostali wyroki w zawieszeniu. Po tamtej kradzieży wieść o zamożnej aptekarce szybko rozeszła się wśród lokalnych przestępców. Dotarła także do zakładów karnych. Milicjanci domniemywali, że to właśnie rabunek rubli był celem napadu. Sprawcy nie interesowali się przecież innymi cennymi przedmiotami.

Stanisława nie była w stanie opisać napastników. Wciąż pozostawała w szoku pourazowym. Oświadczyła jedynie, że bandyci, kiedy plądrowali mieszkanie, nie mieli założonych na twarze pończoch ani kominiarek. Na

podstawie wywiadów posesyjnych ustalono szcążkowe rysopisy napastników. Pozwoliły one na szerokie wytypowanie grona osób podejrzanych. Wykonane czynności nie dały żadnych rezultatów przy identyfikacji sprawców. Uzyskano tylko informacje, na podstawie których wnioskowano, iż ta sama grupa przestępcza, która dzień wcześniej napadła na mieszkanie innej mieszkanki Słupska, mogła dokonać zabójstwa Jadwigi Morawiec.

W pierwszym etapie śledztwa założono, że napadu i zabójstwa mogły dokonać osoby wywodzące się z miejskiego środowiska przestępczego lub czasowo przebywające na terenie Słupska. Bandyci uzyskali informacje o bogactwie aptekarki, nie sprawdzili jednak ich wiarygodności. Domagali się przecież wydania złotych rubli, które skradziono w 1985 roku. Wersja ta wykluczała, że jednym ze sprawców był człowiek, który cztery lata wcześniej zrabował ruble.

Kolejna hipoteza mówiła, że sprawcami napadu i zabójstwa były osoby spoza Słupska, wywodzące się z kręgu przestępców. O rzekomej zamożności sióstr mogły dowiedzieć się od ludzi mających związek z kradzieżą złotych monet w 1985 roku. Przeczuwano jednak, że napastnikami mogły być zupełnie inne osoby, których nie objęły pierwsze wersje typowania. Zostały one zidentyfikowane w trakcie późniejszego śledztwa prowadzonego przez detektywów Archiwum X.

Podczas pierwszego śledztwa jednemu z funkcjonariuszy udało się przeniknąć do miejscowych grup przestępczych i prowadzić cenne obserwacje. Sprawdzeni zostali także wszyscy karani w okolicy. Rysopisy sprawców porównywano z portretami poszukiwanych przestępców. Milicja wpadła również na trop trzech mężczyzn, którzy dzień przed masakrą w aptecę włamali się do domu innej kobiety. Zostali przesłuchani i daktyloskopowani, ale nie pasowali do profilu poszukiwanych. Śledczy uparcie trzymali się tezy, że mordercy pochodzili spoza miasta, a informację o zamożności aptekarki uzyskali od ludzi, z którymi zetknęli się w zakładach karnych. Wydawała się najbardziej prawdopodobna, gdyż podczas napaści siostra ofiary usłyszała fragment rozmowy napastników. Wynikało z niej, że pochodzili z południa kraju.

Dochodzenie trwało rok i zostało umorzone. W aktach odnotowano: ***Pomimo przeprowadzenia szeregu czynności operacyjnych i śledczych***

w tej sprawie nie zdołano ustalić i zatrzymać sprawców przestępstwa, a także nie odzyskano utraconego mienia.

2005 rok

Detektywi Archiwum X wrócili do sprawy morderstwa Jadwigi Morawiec, analizując całe zajście i ślady zabezpieczone na miejscu zbrodni. Jedną z pierwszych czynności było zarejestrowanie wszystkich niezidentyfikowanych odcisków w systemie AFIS Laboratorium Kryminalistycznego KWP w Gdańsku. Siedemnastego maja system wskazał trafienie. Odciski z domu aptekarki zgadzały się z kartą daktyloskopijną palców i dłoni należącą do Zygmunta Bagara, mieszkańca Słupska! Biegli szczegółowo przeanalizowali zgodność pozostałych odcisków ze śladów zabezpieczonych w trakcie oględzin. Ponad wszelką wątpliwość wykazali, że należą do Bagara. Został wytypowany jako potencjalny sprawca zabójstwa aptekarki.

Z danych policyjnego systemu ewidencyjnego KSIP (Krajowy System Informacji Policji) wynikało, że mężczyzna był notowany i karany za przestępstwa z art. 191 par. 1 k.k. (Kto stosuje przemoc wobec osoby lub groźbę bezprawną w celu zmuszenia innej osoby do określonego działania, zaniechania lub znoszenia, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3), art. 203 par. 1 k.k. (Kto przemocą, groźbą bezprawną, podstępem lub wykorzystując stosunek zależności lub krytyczne położenie, doprowadza inną osobę do uprawiania prostytucji, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10), art. 208 k.k. (Kto rozpija małoletniego, dostarczając mu napoju alkoholowego, ułatwiając jego spożycie lub nakłaniając go do spożycia takiego napoju, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2) oraz art. 210 par. 1 k.k. (Kto wbrew obowiązkowi troszczenia się o małoletniego poniżej lat 15 albo o osobę nieporadną ze względu na jej stan psychiczny lub fizyczny osobę tę porzuca, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3). Przestępstwa, za jakie Bagar siedział w więzieniu w Potulicach, pasowały do profilu zabójcy.

W latach 1987–1989 w Potulicach przebywał również Kazimierz Terka, który w 1985 roku ukradł z domu aptekarki złote monety.

Prokuratura okręgowa w Słupsku w lipcu 2005 roku wydała postanowienie o podjęciu umorzonego śledztwa. Funkcjonariusze Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku **zrealizowali zarządzenie o zatrzymaniu i przymusowym doprowadzeniu podejrzanego do prokuratury**. Bagara zatrzymano w Słupsku i osadzono w areszcie śledczym. Przedstawiono mu dwa zarzuty.

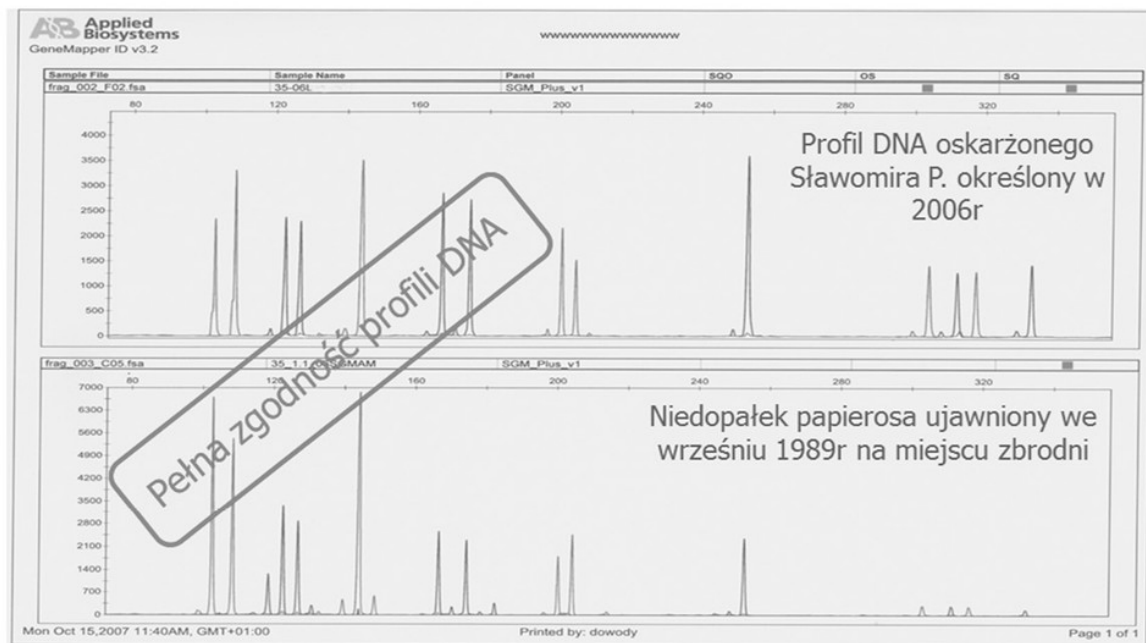
Pierwszy: 15 września 1989 roku w Słupsku, działając wspólnie i w porozumieniu z dwoma osobami, po wtargnięciu podstępem do mieszkania przy ulicy Rybackiej obezwładnił i pozbawił wolności ze szczególnym udręczeniem Jadwigę Morawiec, a następnie żądał od pokrzywdzonej wydania pieniędzy i kosztowności, przy czym przewidując i godząc się z możliwością pozbawienia życia poszkodowanej, uderzał ją rękami i kopał po ciele, a także dusił, unieruchamiając kolanami klatkę piersiową, krępując szyję oraz używając niebezpiecznego narzędzia w postaci noża i przedmiotów tępokrawędzistych zadawał ciosy w szyję i kończyny, tułów, głowę, powodował oparzenia poprzez przykładanie rozgrzanego noża do ciała, w wyniku czego Jadwiga Morawiec doznała obrażeń w postaci zgniecenia klatki piersiowej, ran ciętych szyi, licznych i rozległych podbiegnięć krwawych całego ciała, otarć naskórka głowy i tułowia oraz licznych oparzeń drugiego stopnia pośladków, kończyn dolnych oraz szyi, złamania prawej kości łokciowej, bruzd i zasinień po silnym skrępowaniu obu przedramion, złamania nosa, obrzęku mózgu, krwistego płynu w komorach serca, w następstwie których Jadwiga zmarła, po czym zabrał z jej mieszkania w celu przywłaszczenia obraz olejny oraz radio lampowe nieustalonej wartości.

Drugi: W tym samym miejscu i czasie, działając wspólnie i w porozumieniu z innymi dwoma osobami, obezwładnił i pozbawił wolności ze szczególnym udręczeniem Stanisławę Tyszko, następnie żądał od pokrzywdzonej wydania pieniędzy i kosztowności oraz używając przemocy wobec niej w postaci grożenia nożem przystawianym do szyi, uderzania rękoma i kopania po całym ciele, w tym głowie, duszenia poprzez zakneblowanie jej ust gazą i materiałem płóciennym, spowodował obrażenia w postaci podbiegnięć krwawych twarzy, co naruszało czynności narządów ciała na czas poniżej dni 7 i zabrał w celu

przywłaszczenia pieniądze w kwocie 300 tysięcy zł na szkodę Stanisławy Tyszko.

Podjeżrzany częściowo przyznał się do zarzuczanych mu czynów, ale nie chciał wziąć odpowiedzialności za zbrodnię. Tłumaczył się mgliście. Mówił, że był w mieszkaniu Jadwigi Morawiec, ale nie uczestniczył czynnie w napadzie. Podał zmyślone nazwiska dwóch mężczyzn, którzy byli agresorami. Gdy dane okazały się fałszywe, Bagar zmienił zeznania, zasłaniając się brakiem pamięci. Przedstawił kolejne nazwiska domniemanych współsprawców napadu. Próbował manipulować dochodzeniem i wprowadzać w błąd detektywów. W wyniku policyjnej prowokacji i działań operacyjnych (detektywi nie chcieli zdradzić jakich, prawdopodobnie przepytali znajomych i ludzi w świątku przestępczym, kto mógł w tamtym czasie „pracować” z Bagarem, albo blefowali w sprawie skradzionych złotych rubli, szukając na nie kupca) udało się ustalić personalia pozostałych dwóch bandytów. Byli nimi bracia Mirosław i Marian Pobielałowie, także mieszkańcy Słupska.

Archiwum X: Zabójstwo aptekarki w Słupsku w 1989 r. wykryte po 17 latach



Wynik badania porównawczego przeprowadzonego w laboratorium DNA. Próbka zabezpieczonego śladu z miejsca zbrodni jest porównywana z wymazem pobranym z ust

podejrzanego. Biegli wydają tylko jednoznaczne opinie. W laboratoriach próbki przechowuje się latami.

Śledczy sprawdzili, jak wyglądało ich obecne życie. Byli przykładnymi obywatelami, lubianymi i towarzyskimi. Mieli 51 i 45 lat. Do zatrzymania doszło jesienią. O świcie, żeby zastać podejrzanego w domu w jak najmniej korzystnym dla niego momencie. W akcji wzięły udział dwie ekipy. W policyjnym areszcie od zatrzymanych pobrano materiał biologiczny do porównania z DNA z niedopałków papierosów zabezpieczonych w mieszkaniu Jadwigi Morawiec. Detektywi mieli 24 godziny na potwierdzenie udziału braci w zabójstwie. Udało się to dzięki profesorowi Ryszardowi Pawłowskiemu z Zakładu Medycyny Sądowej w Gdańsku, który szybko określił cechy DNA zatrzymanych i porównał je z próbkami śladów zabezpieczonych w 1989 roku. Ich zgodność nie wywoływała żadnych wątpliwości.

Podczas przesłuchania, zanim policja otrzymała opinię prof. R. Pawłowskiego, mężczyźni do niczego się nie przyznali. Młodszy z braci utrzymywał, że ukradł obraz z domu aptekarki, ale po pewnym czasie go spalił, przywoływał w nim bowiem nieprzyjemne wspomnienia. W rzeczywistości starał się maksymalnie zatrzeć ślady. Kiedy biegły genetyk wydał opinię, jeden z bandytów przyznał się do udziału w napadzie, a potem szczegółowo opisał jego przebieg. Dodał także, że od momentu, gdy przeczytał w gazecie, że w Gdańsku powstaje Archiwum X badające niewykryte sprawy, był pewien, że wcześniej czy później trafią na jego trop.

W 1989 roku mężczyźni byli „drobnymi złodziejami”. Nic nie wskazywało, że mogą być zdolni do popełnienia tak ciężkiego przestępstwa. Przez piętnaście lat o zbrodni wiedziała jedynie żona jednego z braci. Nie mogąc znieść dręczących go myśli, zwierzył się jej. Kobieta mogła, zgodnie z prawem, odmówić zeznań. Za namową adwokata nie złożyła wyjaśnień. Mężczyźni w trakcie policyjnych przesłuchań obwiniali się wzajemnie. Udało się ustalić, że młodszy z braci był najmniej agresywny wobec ofiar. Dostał wyrok 15 lat więzienia. Pozostałych dwóch sprawców skazano na karę 25 lat pozbawienia wolności. Zostali także pozbawieni praw publicznych na 8 lat. Chociaż obrona wniosowała, aby

sąd zmienił kwalifikację zbrodni na pobicie ze skutkiem śmiertelnym, sędzia pozostał nieugięty. Zaznaczył, że w okresie, w którym oskarżeni dokonali zbrodni, mogli zostać skazani nawet na karę śmierci.

§

Rozmowa z Komarem i Meszką, detektywami Archiwum X w Gdańsku

Archiwum X to ważna komórka policji?

Meszka: Można powiedzieć, że jesteśmy ostatnią linią obrony. Gdyby nie Zespoły do spraw Niewykrytych, nikt nie powracałby do starych nierozwiązanych śledztw, choć zawsze mają one końcową adnotację, że dochodzenie mimo umorzenia pozostaje wciąż w zainteresowaniu policji. Detektywi dochodzeniowo-śledczy mają tak dużo bieżących spraw, że naprawdę trudno byłoby im wracać jeszcze do tych, które trafiły do archiwum. Nie mają na nie czasu. My możemy poświęcić im całą swoją energię i czas.

Jak trafiliście do tej roboty?

M.: Kontynuuję tradycję rodzinną. Mama była policjantką. Namawiała mnie, żebym poszedł w jej ślady. Nie paliłem się do tej pracy, ale udało się jej skutecznie mnie przekonać.

Komar: Zdałem testy i się dostałem. Było to dosyć późno. Skończyłem prawo i, co do dziś jest mi wypominane, nie chciałem iść nigdzie indziej. Kończąc kryminalistykę, doszedłem do wniosku, że bycie policjantem jest dużo ciekawsze niż bycie prokuratorem. Trafiłem akurat na okres, w którym trudno było się dostać do służby. To była pierwsza dekada XXI wieku. Kandydatów nie brakowało, ale udało się jedynie mnie i jeszcze jednemu koledze. Kiedyś podobno było łatwiej.

Mocno musiałeś zweryfikować swoje dotychczasowe wyobrażenia dotyczące pracy policyjnej?

K.: O tak. Inaczej wyobrażałem sobie robotę dochodzeniowca. Sporym zaskoczeniem była biurokracja. Żadne dochodzenie nie jest prowadzone „na gębę”. Policjant tworzy mnóstwo kwitów, na których w dalszej

kolejności będzie opierać się proces dowodowy. Jednych to przeraża, innych przerasta. Ja odnalazłem się bez problemu.

Co jest najważniejsze w pracy śledczego?

M.: Nasze zaangażowanie. Policjantowi musi się chcieć. Ja i mój partner traktujemy prowadzone przez nas sprawy z pasją. Nie da się być dobrym policjantem, będąc jedynie urzędnikiem.

W waszym fachu istnieje jeszcze relacja uczeń – mistrz?

M.: Nie wiem, czy każdy odpowie twierdząco, ale osobiście miałem takiego mistrza, który nauczył mnie wszystkiego o zawodzie. Był to nieżyjący już kierownik z komendy miasta. Wyśmienity fachowiec. Niestety, po przejściu na emeryturę dość szybko zmarł. Do Archiwum X wszedłem już ze sporym doświadczeniem. Zresztą taka jest zasada w każdej komórce. Obecnie nie ma chyba już niczego, co mogłoby mnie zaskoczyć.

A może wrażenie wciąż mogą zrobić błędy, które wywierają niekiedy ze starych spraw?

K.: Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Nie twierdzę, że sam ich nie popełniam. W starych sprawach, mając do nich spory dystans, szybko wyłapuje się błędy. Jednak nie można oceniać pracy sprzed lat z perspektywy dzisiejszych możliwości technologicznych i wiedzy o społeczeństwie, jaką mamy. Byłoby to niesprawiedliwe. Kiedy analizujemy stare dochodzenia, zauważamy błędy przy oględzinach, czasem przy przesłuchaniach. Najważniejsze, by umieć wyciągać z nich właściwe wnioski. Teraz mamy wysokie standardy procedur. Porównując do czasów przed transformacją, trzeba powiedzieć, że dokonał się gigantyczny postęp.

Kiedy można powiedzieć o sobie: „Jestem zawodowcem”?

M.: Cały czas się uczę. Mimo sporego doświadczenia nie mogę powiedzieć, że wiem wszystko. Czasem po kilka razy wracamy do jakiejś sprawy i zawsze pojawiają się nowe pomysły na to, jak ją rozwiązać. Musimy także pamiętać o wszystkich kruczkaach prawnych. Jest ich mnóstwo i to właśnie o nie najczęściej rozbija się śledztwo. Doświadczony

policjant ma je w małym palcu i wciąż się uczy, bo rozporządzeń jest sporo i wciąż dochodzą nowe.

Co nowe pokolenie wniosło do policji?

K.: Głównie konformizm skutkujący takim oto podejściem, że po godzinie 15.00 wracam do domu i nic mnie nie interesuje. Żadne procedury nie będą miały sensu, jeśli nowi nie będą mieli takiego podejścia jak my. Nasza praca wymaga czasu. Jeśli zaczynamy coś robić, wszystko musi być wykonane jak należy, dlatego ciągnie się każdą rzecz do końca; bez znaczenia, czy będzie to północ, czy świt. Jak będę zmęczony, wówczas przekazuję pałeczkę. Ale jeśli po południu słyszę, że ktoś musi już lecieć, lepiej żeby zmienił zawód.

M.: Jeśli myśli się tylko o tym, żeby jak najszybciej zakończyć jakąś czynność, na pewno odbije się to na jakości wykonywanej pracy.

Szefowie nie weryfikują, jak pracują ich podwładni w wydziale?

K.: Chyba dlatego nie będę nigdy naczelnikiem. (śmiejch)

Były momenty zwrotne, chwile, w których żalowaliście, że zostaliście policjantami?

K.: Zdarzyły się. Człowiek zwyczajnie ma wszystkiego dosyć. Przez przeszkody, które wciąż się napotyka, niekompetencję czy ludzką niechęć. Myślisz sobie: kur... zarzynam się dniami i nocami, by z gówna ukręcić bat, a w rzeczywistości nikomu poza mną na tym nie zależy. Kryzysy szybko mijają i wraca się znów do pracy, będąc pełnym nadziei i wiary w sens tego, co się robi.

Co pomaga odnaleźć zapał?

M.: Czasem tak zwany zewnętrzny impuls. Prowadzisz jakąś sprawę, ona grzęźnie i zaczynasz czuć, że nic z tego nie będzie. Nagle widzisz albo słyszysz coś, co sprawia, że znów napełniasz się powietrzem niezbędnym, by doprowadzić wszystko do końca. Ja się tak nakręcam.

Jesteście samotnikami czy pracujecie drużynowo?

K.: Zaczynaliśmy we trójkę, ale jeden kolega odszedł na emeryturę. Na pewno jesteśmy samowystarczalni. Wychodzę z założenia, że nawet jeżeli

mam coś spieprzyć, lepiej samemu i mieć potem pretensję tylko do siebie. Póki możemy ogarnąć wszystko we dwójkę, nie potrzebujemy nikogo więcej.

Jak ułożyć sobie życie prywatne przy takiej pracy?

K.: Jeśli pytasz o sprawy rodzinne, obaj jesteśmy w szczęśliwych małżeństwach. Mamy rodziny, jak wszyscy spotykamy się i wódkę pijemy, bo kto nie pije, jest podobno wywrotowcem. (śmiech)

Jak waszą pracę znośzą żony?

M.: Moja jest już przyzwyczajona do tego, jak wygląda moja robota. Nie stanowi to żadnego problemu, nawet kiedy zdarza się, że pracuję tydzień bez przerwy. Uregulowane życie rodzinne daje duży komfort. Można się skupić na tym, co się robi, a nie zastanawiać ciągle, co mnie dziś czeka w domu. Żona mnie wspiera. Strach pomyśleć, co by było, gdyby nie rozumiała specyfiki mojej służby. (śmiech)

K.: Moja żona przede wszystkim nie dopytuje się cały czas o sprawy związane z moją pracą. Jeśli chcę jej o czymś powiedzieć, mówię. Nigdy nie miałem problemów wynikających z charakteru mojej pracy. Może ciut łatwiej było w czasach, kiedy nie mieliśmy dzieci. Gdy byłem w sekcjach roboczych, do domu wracałem jedynie po to, żeby chwilę się przespać. Ale jechałem z powrotem z przyjemnością. Obecnie nie mam już tych kilkudniowych ciągów, jednak mimo wszystko brakuje czasu dla najbliższych.

Zabieracie robotę do domu?

M.: Niestety, tak. Generalnie pion kryminalny ma najtrudniej. Patrolówka kończy spisywanie, chowa mundur do szafki i ma wolne. U nas jest inaczej, zwłaszcza gdy dochodzi do jakiejś realizacji, zawsze pojawia się pytanie, czy wszystko, co powinno, zostało zrobione? Nawet jeśli pracujemy analitycznie przy aktach, w domu jedząc obiad czy odrabiając lekcje z dzieckiem, myślisz, co jeszcze można zrobić w prowadzonej sprawie.

K.: Niedawno czytając książkę, notabene kryminalną, już po pierwszym rozdziale miałem projekcje dwóch spraw, które prowadzimy. Zasugerowałem się, że detektyw z powieści zrobił coś, co my także

powinniśmy zrobić. A przecież to tylko fikcja. Takie sytuacje bywają męczące.

Jak odreagowujecie zło, z którym spotykacie się na co dzień?

M.: Nie czuję, że jakoś specjalnie trzeba je odreagowywać. Lubimy chodzić na mecze Lechii. Wspólne piwko, kiedy można pogadać o pierdołach niezwiązanych z pracą, też jest mile widziane.

K.: Umawiamy się za każdym razem, kiedy grają, ale nie zawsze uda się nam spotkać. (śmiech) Mamy też rodziny i obowiązki. Praca w Archiwum nie obarcza nas aż tak mocno psychicznie.

Powiedzielibyście o sobie, że jesteście twardzi, ponieważ nie ruszają was trupy i mordercy, z którymi macie do czynienia?

M.: Kiedy widzisz zwłoki dziecka, trudno powiedzieć o sobie: twardziel. Zwłaszcza jeśli ma się własne dzieci. Dystans maleje, kiedy zakłada się rodzinę. Dobrym przykładem jest sprawa, o której rozmawialiśmy.

K.: Są tacy policjanci, którzy wcale nie jeżdżą „na trupa”. Po prostu odmawiają. Dlatego przenoszą się do samochodówki albo PG (przestępstwa gospodarcze). Trzy lata temu byliśmy na sekcji zwłok rodziny z Gdańska. Było tam półtoraroczne dziecko, wówczas cztery miesiące starsze od mojego syna. Był to jedyny raz, kiedy musiałem wyjść. Wcześniej może bym dał radę. Ale jako ojciec już nie.

Pamiętacie pierwsze zwłoki?

M.: To się będzie pamiętać do końca życia. Była to podwójna sekcja. Mąż zabił żonę, po czym rzucił się z dziesięcioletniego falowca. Starłem się wtedy nie okazać słabości.

Co jest gorsze: sekcja czy oględziny?

M.: Sekcja jest cięższa. Oględziny robię zawsze z przyjemnością. Skupiam się maksymalnie na pracy i moich zadaniach. Jeśli ekipa jest zgrana, nie dociera do nas żadna makabra. Czysty profesjonalizm.

Po co policjant bierze udział w sekcji?

M.: Głównie po to, żeby dopilnować prawidłowego zabezpieczenia wyskrobin, odzieży itp. A także, żeby w niektórych sprawach nie zabrano

rzeczy podczas sekcji zwłok, np. taśmy, którą skrępowane były ręce ofiary.

K.: Wszystko musi być przebadane w laboratorium, żeby potem nie tworzyć mylnych hipotez. Nam się coś może wydawać, ale liczą się tylko fakty. Nasza obecność jest fakultatywna, zawsze musi być prokurator. Policjant na sekcji dba o to, żeby zabezpieczyć wszelkie możliwe dowody. Dowiadujemy się także natychmiast, co jest przyczyną zgonu.

Policjant prowadzi w biegu po kilkanaście, kilkadziesiąt spraw jednocześnie. Dlatego wydział dochodzeniowy jest traktowany jako zesłanie, z którego trafia się później do przyjemnego Archiwum X. Jak radziliście sobie z tyloma obowiązkami?

K.: To gigantyczna fabryka. Czasami zdarzało się, że koledzy mieli nawet 70 spraw: drobnych, poważniejszych i ciężkich. W wielu przypadkach niemożliwe było odzyskanie skradzionego telefonu czy niedużej kwoty pieniędzy. Mimo to wszystko prowadzi się z zachowaniem wszelkich procedur. Wszystko trwa. Nie licząc rozbojów i zabójstw, sprawy dotyczące przemocy w rodzinie są najbardziej czasochłonne. Trzeba przepytąć wielu ludzi i rozesłać tonę dokumentów. Zaczynałem w komendzie miejskiej, do której trafiają cięższe sprawy. Automatycznie było ich więc mniej. Najwięcej miałem kilkanaście spraw naraz. Jednak nie czułem się przygnieciony robotą. Dało się wszystko zrobić i doprowadzić do wyjaśnienia. Inna kwestia to skrzywienie zawodowe wynikające z intensywności wykonywanej pracy. Człowiek staje się podejrzliwy. Czasem przyglądam się niektórym osobom i zachowaniom. Codziennie mijam co najmniej dwie osoby, które są bardzo podobne do poszukiwanego z portretu pamięciowego. Mam ochotę je zaczepić i zapytać, co robiły danego dnia. Nie ma co ukrywać, policjanci także mają swoją chorobę zawodową.

Spółeczeństwo was szanuje i zawsze chętnie współpracuje ze śledczymi?

K.: Bywa różnie. Przy starych, archiwalnych sprawach nie spotkałem się z nieprzychylnymi postawami. Nawet jeśli przychodzi do kontaktów z tzw. elementem. Inaczej jest w przypadku zamkniętych lokalnych społeczności. Tam młotem udarowym trzeba przebijać się przez mur milczenia, bo to tak hermetyczne środowiska. Oni nawet nie muszą specjalnie wszystkiego uzgadniać, żeby stworzyć ten wspólny front. Po prostu tak mają.

Odpowiadają ogólnie, a jeśli sam nie dopytasz, niczego od siebie nie dodadzą. Śmiejemy się, że trzeba stosować tam metody inkwizycji.

M.: Opór materii wynika także z poziomu intelektualnego.

Gdańsk ma własną specyfikę kryminogenną?

K.: To miasto portowe, które było kiedyś naszym oknem na świat. „Wiatr zmian wiał z północy”. W naszej pracy stykamy się jednak ze sprawami z całego Pomorza. Szczerze powiedziawszy, zabójstwa z miast powiatowych nie różnią się specjalnie od tych dokonywanych w Gdańsku i okolicach. Ktoś kogoś dźgnął nożem pod sklepem i nikt nic nie widział. We wsiach z kolei mamy dziwne okoliczności zabójstw. Nazwałbym je absurdalnymi. Dodatkowo podejście ludzi jest inne; przymiotnik „rytualne” nie jest może najtrafniejszy, ale we wsiach ludzie mają większą tolerancję dla morderstw. Jakby nie były złe. Po prostu ktoś umiera, naturalnie czy od noża nie robi większej różnicy. W ponad stu nierozwiązanych śledztwach z ostatnich 30 lat mamy zabójców seksualnych, porachunki, gangsterskie wendety i całe mnóstwo banalnych zgonów. Jest tam wszystko.

M.: Najczęściej to kłótnie domowe, burdy alkoholowe lub morderstwa całkowicie pozbawione motywu. Ktoś chwycił za nóż i zabił bez powodu.

Mam teorię, że właśnie te ostatnie przypadki stanowią zbrodnię doskonałą.

K.: Zgadza się. Nie ma wówczas świadków ani żadnych namacalnych dowodów, żadnych punktów zaczepienia. Do tego ofiary bywają ludźmi, którzy nie mieli żadnej historii.

M.: Czasem niektórzy się dziwią, że na miejscu zbrodni nie zostają żadne ślady. Teoretycznie nie ma zbrodni doskonałej. Jednak bywają zabójstwa, gdzie nie ma praktycznie nic. Nawet jeśli dałoby się uzyskać informację, kto jest sprawcą, dalej jest ściana, no bo jak mu udowodnić winę.

Kluczowe będzie przesłuchanie.

M.: Jeśli masz do czynienia z kimś, kto już stykał się z policją, nic nie powie i do niczego się nie przyzna.

K.: Przez pewien czas myślałem, że nie ma zbrodni doskonałej, tylko są źle przeprowadzone śledztwa. Nie jest to cała prawda. Oczywiście zdarzają się błędy popełnione przez śledczych, których potem nie da się naprawić, choć

nasz wydział jest dowodem na to, że czasem jest to możliwe. Bywają także dziwne zbiegi okoliczności działające na korzyść sprawców. Choćbyśmy stawali na rzesach, nie da się z tym nic zrobić. Zbrodnia doskonała jest wymysłem literackim. Mamy czasem do czynienia z morderstwami, których nigdy nie wykryjemy z powodu wielu czynników, o których wspomnieliśmy. Tyle.

Trudno się z tym pogodzić?

K.: Z niektórymi nawet bardzo trudno. Miałem taką sprawę, która się już przedawniła. Często powraca też problem: zgubione dowody rzeczowe. Co z tego, że udało mi się wycisnąć prawdopodobnie DNA sprawcy, skoro w sprawie były jeszcze palce, czyli zabezpieczone odciski. Były, ale je wciąło. Po 29 latach, rok przed przedawnieniem, byłem naprawdę blisko. Niestety, w bazie GENOM nic się nie znalazło, bo facet może nigdy nie wpadł albo do tej pory nie udało się wyizolować jego DNA i zarejestrować w tym systemie. Dużo większe prawdopodobieństwo, że popełnił kiedyś jakieś przestępstwo i zarejestrowano jego linie papilarne. Może by coś wyszło i wtedy DNA wyprowadzone ze śladów porównalibyśmy z podejrzanym. Niestety, musiałem wywiesić białą flagę.

Pozostaje gorzka porażka?

K.: Na takich sprawach sporo się uczymy. Ta wiedza później się przydaje.

M.: Ta gorzka jest do przełknięcia, jeśli uczciwie zrobiło się wszystko, co było do zrobienia. W pewnym momencie trzeba odpuścić, procentuje to jedynie wnioskami, które, podkreślam, zawsze się przydają.

Dlaczego tyle słyszę o znaczeniu szczęścia w waszym fachu? Nie najlepiej świadczy to o policji.

K.: Nie wiem, na czym miałyby polegać to szczęście, na trafieniu w AFIS-ie? Nie jest to żadne szczęście, tylko trafienie w systemie, który właśnie do tego powstał.

M.: A trafienia biorą się stąd, że ktoś kiedyś dobrze wykonał robotę na oględzinach. Przyłożył się, żeby zabrać jak najwięcej z miejsca zbrodni. To potem procentuje.

K.: Bardziej możemy mówić o nieszczęściu, bo czasem nie możemy rozwiązać sprawy. Szczęście to trafienie w totalotka.

Często strzelacie?

M.: O, fajnie byłoby sobie wpaść na strzelnicę. Co pół roku musimy przejść egzamin strzelecki. To chyba tyle w kwestii użycia broni.

K.: Jest taka scena w „Pitbullu”, kiedy Gebels przychodzi na strzelnicę, a facet w okienku mówi mu: „Ja też bym chciał”. Tak to można spuentować. Jeśli mielibyśmy warunki raz w tygodniu pojechać i poćwiczyć strzelanie, na pewno bym był na strzelnicy.

Użyliście kiedykolwiek broni w akcji?

M.: Na szczęście do tej pory jeszcze nie musiałem tego robić. Nie mam nikogo na sumieniu. Nie prowadzono wobec mnie dochodzenia w sprawie użycia broni. W tym przypadku jesteśmy przeważnie na przegranej pozycji, bo firma zawsze będzie się starać wykazać, że użycie broni było niezasadne.

K.: Czasem wchodziło się na jakieś przeszukanie, mając w ręce wyciągniętą i odbezpieczoną broń, ale też nigdy nie musiałem z niej strzelać.

Firma nie zawsze stoi za wami murem?

K.: Niestety, nie jest u nas tak jak u lekarzy. Policjanta wyjątkowo łatwo udupić.

Chcecie powiedzieć, że policjantowi można bezkarnie dać w mordę, a on nie odda, bo się boi procedur?

M.: My nie możemy oddać. Staramy się jakoś sobie z tym radzić.

K.: Ryba psuje się od głowy. Nasza struktura jest jak domek z kart, który łatwo się przewraca, kiedy przychodzą kolejne wybory.

Czyli jesteście zwykłymi pracownikami umysłowymi?

K.: Czasem machamy też łopatą albo dźwigamy dowody. (śmiej)



SZCZECIN
– MORDERSTWO W GRYFINIE



Gdy w 2010 roku powstawał zespół Archiwum X w Szczecinie, śledczy musieli ustalić zasady jego funkcjonowania: jak analizować stare dochodzenia i wyselekcjonować sprawy, które mają szansę na wykrycie. Wyszli z założenia, że nie interesują ich policyjne błędy popełnione w starych śledztwach. Pretekstem, by wracać do spraw z przeszłości, nie mogły też być niezabezpieczone ślady i nieprzesłuchani świadkowie.

Postanowili przyjrzeć się tym zabójstwom, w których świadkowie mogą coś jeszcze pamiętać lub mieszkają w tym samym miejscu. Podstawą ich ponownego działania stało się także istnienie jakichkolwiek zabezpieczonych śladów: daktyloskopijnych, biologicznych lub mechanoskopijnych. W myśl zasady, że pierwszeństwo ma zawsze materiał dowodowy, który w świetle nowych możliwości kryminalistycznych może być powtórnie przebadany i wykorzystany w celu wytypowania potencjalnego sprawcy.

1999 rok

Deszczowy marcowy wieczór w Gryfinie. Dwupokojowe mieszkanie na parterze czteropiętrowego bloku z wielkiej płyty przy ulicy Portowej. Gdy 35-letnia Magdalena, samotnie wychowująca siedmioletnią córkę Sylwię, wróciła około godziny 20.00 do domu, nie spodziewała się, że może stać się coś złego. Była zmęczona, jak zawsze, bo dużo pracowała. Zarządzała sklepami meblowymi i hurtownią. To rodzinny biznes. Szefem był jej ojciec, apodyktyczny sknera, który mimo iż firma dobrze prosperowała, wydzielał córce pieniądze. W oczach sąsiadów właściciele sklepowego interesu byli majątną rodziną.

Magda często wyjeżdżała do Szczecina. Pracę kończyła zwykle dopiero wieczorem. Jej córeczką opiekowali się dziadkowie, rodzice byłego partnera. Mieszkali blisko, więc odbierali dziewczynkę ze szkoły i z dodatkowych zajęć. Tak też było w dniu, który na zawsze zmienił życie małej Sylwii.

Po wejściu do mieszkania przy ulicy Portowej dziewczynka zamknęła drzwi, pozostawiając w zamku klucz przekręcony do połowy, jak uczyła ją matka. Jeszcze późna kolacja i przygotowania do snu. Popsute kuchenne okno Magdalena zablokowała ustawionym na parapecie koszykiem z owocami. Przeczytała córce książkę i poczekała, aż mała zaśnie. Chwilę później obudziła dziewczynkę, bo nie mogła znaleźć koszuli nocnej. Zaspana Sylwia doradziła: „Mamo! Poszukaj w łazience”. Miała rację. Magda już w różowej koszuli nocnej położyła się do łóżka.

Sylwia obudziła się, czując na ustach silną męską dłoń. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nieznanego olbrzymiego mężczyznę. Kazał jej wstać, pociągnął za rękę. Na dłoniach miał rękawiczki z chropowatego materiału, był w skarpetach, bez butów. W pokoju na drugim łóżku leżała matka. Dziwnie ułożona, w poprzek materaca. Na prześcieradle duża plama. Dziewczynka domyśliła się, że to krew. Zanim mężczyzna wypchnął ją z pokoju, zauważyła jeszcze, że mama delikatnie poruszyła ręką, i usłyszała jej cichy jęk.

Napastnik zażądał pieniędzy. Nie było ich w torebce Magdaleny, więc przeszukał szafy i szuflady w drugim pokoju. Zagroził Sylwii: „Jak nie

znajdziesz pieniędzy, to cię zabiję”. Choć siedmiolatka była przerażona, dokładnie przyjrzała się agresorowi. Był wysoki, sięgał głową aż do framugi drzwi. Rzadkie, jasne, krótkie włosy gładko zaczesał do tyłu. Miał bliznę na twarzy po prawej stronie oraz charakterystyczne wydatne usta.

Dziewczynka, szukając ratunku, poprosiła o pozwolenie na pójście do toalety. Najpierw usłyszała: „Nie!”, potem mężczyzna zmienił zdanie, kazał jej iść do łazienki i tam zostać. Przez uchylone drzwi Sylwia zobaczyła, jak wszedł do pokoju, w którym leżała matka. Zapadła całkowita cisza. Kilkanaście minut później napastnik znów przeszukiwał mieszkanie, zaglądnąwszy w każdy zakamarek. Gdy w kurtce Magdaleny znalazł klucze do sklepu i garażu oraz telefon komórkowy, zażądał od Sylwii, by podała mu numer telefonu dziadka. Chciał też wiedzieć, „czy Adam, ten grubas, jest bogaty”.

Coraz bardziej wściekły, bo wciąż nie udało mu się znaleźć niczego wartościowego, znów zagroził dziewczynce, że ją zabije. W panice dziecko wymyśliło, że matka ma w dzinsach jakieś pieniądze. Mężczyzna poszedł sprawdzić, a Sylwia ukryła się w dużym pokoju za maszyną do szycia. Została jednak szybko odnaleziona i zmuszona do wejścia do schowka na pościel w tapczanie. Przestała się sprzeciwiać, gdy zobaczyła zakrwawiony nóż i poczuła jego ostrze na swoim gardle. Wyszła ze schowka dopiero wtedy, gdy usłyszała trzask zamykających się drzwi i dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Pobiegnęła do małego pokoju, gdzie w zakrwawionej pościeli bez ruchu leżała jej mama. Próbowała ją obudzić, bez rezultatu. Postanowiła więc wyjść przez balkon i pójść do dziadków. Drzwi otworzyła babcia Krystyna. Zapłakana Sylwia opowiedziała, co się stało.

Około godziny 1.50 Kazimierz Bralski powiadomił telefonicznie dyżurnego policji w Gryfinie, że przybiegła do niego zakrwawiona wnuczka. Uciekła z domu, do którego wszedł nieznany mężczyzna. W obecności patrolu Bralski otworzył drzwi mieszkania Magdaleny i znalazł ją martwą. Po zabezpieczeniu miejsca, oczekując na grupę dochodzeniową, mundurowi wylegitymowali mężczyznę i kobietę, którzy widzieli człowieka odpowiadającego wyglądem rysopisowi sprawcy. Pies tropiący podjął ślad przy balkonie, ale zgubił za skrzyżowaniem.

W 1999 roku funkcjonował już w każdej jednostce policji specjalny różowy pokój do przesłuchiwania dzieci: ofiar przemocy, przestępstw

seksualnych czy też świadków dramatycznych zdarzeń. Wyglądał wtedy i wygląda do dziś jak sala zabaw w przedszkolu. Tam trzy dni po morderstwie, w obecności psychologa, pod którego opieką Sylwia cały czas przebywała, dziewczynka zrelacjonowała przebieg zdarzeń. Opowiedziała policji, że gdzieś już widziała napastnika, ale nie wiedziała gdzie. Prawdopodobnie był to ktoś mający związek z pracą dziadka Adama, ojca mamy. Pytał ją przecież, czy Adam jest bogaty. Wydawało się jej też, że sprawca ją znał, bo był dla niej zbyt miły.

Podczas ponownego przesłuchania w październiku 2000 roku Sylwia przypomniała sobie, że widziała napastnika w samochodzie dziadka przed sklepem, ale stosunki między dziadkiem a matką były wówczas fatalne. Dziewczynka miała zakaz kontaktów z dziadkiem Adamem, dlatego do niego wtedy nie podeszła.

W toku oględzin dokonanych na miejscu zbrodni zabezpieczono sporo dowodów kryminalistycznych, takich jak ślady linii papilarnych (niewyraźne i należące do domowników, nie zabezpieczono śladów NN), ślady biologiczne, włosy, odzież, nóż kuchenny, na którym znajdowała się krew ofiary. Sekcja zwłok Magdaleny (wykonana 10.03.1999 roku) wykazała m.in. ranę kłutą klatki piersiowej, z przecięciem drugiego żebra lewego i następowym krwotokiem powodującym zgon. Na ciele zamordowanej znaleziono zaskakujący ślad. Świeże ugryzienie z odciskiem ludzkich zębów. Z rany tej można było uzyskać mieszaną próbkę DNA ofiary i sprawcy ugryzienia, który nie miał prawego siekacza. Próbka okazała się kluczowa dla sprawy.

W latach 90. nie było jeszcze możliwe rozdzielenie mieszanych śladów DNA. Mimo że próbka została wnikliwie zbadana przez najlepszych specjalistów, m.in. guru ówczesnej genetyki, profesora Ryszarda Pawłowskiego z Gdańska, w 1999 roku pozostała jedynie próbką.

Tymczasem grupa operacyjna skrupulatnie badała inne tropy. Nie pomagał jej w tym ojciec ofiary, który podrzucał wciąż nowe informacje, a funkcjonariusze tracili cenny czas, żeby je zweryfikować. Starszy pan nie krył niechęci do ojca swojej wnuczki i na siłę próbował łączyć go z tą zbrodnią. Tak bardzo chciał znaleźć mordercę córki, że robił wszystko, aby policjanci najszybciej kogoś aresztowali. W swej determinacji prowadził własne nieudolne śledztwo. Rozmawiał z każdym, kto cokolwiek wiedział o tej tragedii. Przekonywał wszystkich do swojej wersji wydarzeń.

Nachodził prokuraturę i pisał wnioski o areszt dla byłego partnera Magdaleny. Bardzo utrudniał dochodzenie, bo kontaktując się ze świadkami, wywierał wpływ na to, co potem zeznawali.

Policja nie miała żadnego wartościowego tropu. Hipoteza, że zabójca został wpuszczony do mieszkania, wydawała się logiczna. Drzwi wejściowe nie były uszkodzone. Zarzucono wersję, według której morderca dostał się do środka przez okno. Zakładano także, że sprawca mógł być chłopakiem Magdaleny i mieć klucze do mieszkania. Nie potwierdzono jednak, żeby kobieta zawierała jakieś nowe znajomości z mężczyznami. Ta hipoteza zatem upadła. Trzymano się więc wersji, że ktoś, kogo znała, przyszedł ją odwiedzić. Tylko komuś znajomemu mogła otworzyć drzwi ubrana jedynie w koszulę nocną. Wiele elementów przemawiało za tym, że mordercą był ktoś, kogo ofiara znała. Sąsiedzi niczego nie widzieli i nie słyszeli. Z mieszkania nie dochodziły żadne niepojęte odgłosy czy krzyki.

Chociaż na podstawie zeznań małej Sylwii powstał dość dokładny portret pamięciowy napastnika, nikt go nie rozpoznał. Ów portret oddawał bardzo charakterystyczne szczegóły twarzy sprawcy, które powinny rzucać się w oczy, zwłaszcza komuś, kto go znał. Śledczy przepytывali mieszkańców bloku, w którym mieszkała ofiara, oraz kilku sąsiednich. Zadawali te same pytania, m.in. ilu jest domowników, gdzie pracują, czy ktoś przebywał u nich w czasie popełnienia przestępstwa. Niestety, brakowało im konsekwencji. W jednym z mieszkań kobieta zeznała, że mieszka z nią mąż i trzech synów, ale podczas wizyty policjantów obecnych było tylko dwóch, trzeci pracował. Nie powrócono, żeby go przesłuchać. Śledczym nie udało się wskazać mordercy. Śledztwo zostało umorzone 31 grudnia 1999 roku. Ojciec Magdaleny był jeszcze aktywny. Wskazywał jako sprawcę mężczyznę, którym nie interesowała się policja. Potem wyszło na jaw, że ów człowiek był bezpośrednio zamieszany w zabójstwo przy ulicy Portowej.

2010 rok

W pierwszym dochodzeniu zarzucono wersję, według której morderca dostał się do środka przez okno. Powrócono do niej po latach w drugim śledztwie Archiwum X. W wyniku szczegółowej analizy zgromadzonego materiału dowodowego ustalono ponownie hipotetyczny przebieg zdarzeń. Zakładano, że sprawca zaczekał, aż domownicy pójda spać, i wtedy dostał się do środka. Wywołał jednak hałas, który obudził śpiącą kobietę. Zastał ofiarę, gdy próbowała wstać z łóżka. Lewą ręką przycisnął ją do łóżka, a nożem trzymany w prawej ręce zadał cios w pierś.

Śledczy pojechali z materiałem dowodowym do biegłego genetyka w laboratorium w Szczecinie. Uznał on, po analizie śladów DNA, czyli mieszaniny materiału biologicznego z rany ofiary, że istniała szansa wyprowadzenia dokładnego profilu. Jeśli w 1999 roku biegli z Gdańska opracowywali profile DNA, powinni do nich wrócić, bo metody badań znacznie się zmieniły.

Okazało się, że profesor R. Pawłowski zachował część materiałów dla celów naukowych. Policja miała także oryginalne ślady zabezpieczone na miejscu zbrodni, które można było jeszcze raz poddać badaniu i porównaniu (ślad nr 8).

W 1999 roku został wyprowadzony wspólny profil z jedynym rozróżnieniem na typ męski i żeński. Teraz należało go rozdzielić, tworząc osobne profile. Porównano DNA zamordowanej Magdaleny z próbką zawierającą DNA ofiary i sprawcy NN. Odseparowano je, tworząc wyraźną linię DNA ofiary i mordercy. Wreszcie policja uzyskała dowód, który mógł doprowadzić do przełomu. Opracowanie profilu DNA sprawcy wysłano do bazy GENOM w Warszawie w celu rejestracji i przeszukania jej zawartości. Istniała możliwość, że ktoś odnotowany w systemie pasował do śladu z Gryfina. Już po kilkunastu minutach uzyskano trafienie zgodności. W sprawozdaniu z badań genetycznych biegli zakładu medycyny sądowej w Gdańsku ponad wszelką wątpliwość stwierdzili w śladach zabezpieczonych na ciele ofiary obecność DNA Radosława Kielicha.

Zanim śledczy ogłosili swoje rewelacje, musieli zweryfikować, kim był Radosław Kielich i potwierdzić jego udział z zabójstwie. Mężczyzna przebywał w zakładzie karnym w Stargardzie Szczecińskim, odbywając karę za rozbój i podpalenie. Jego profil DNA znajdował się w bazie GENOM od 2004 roku, bo wtedy udowodniono, że podpalił klatkę schodową w Gryfinie. Podczas popełniania tego przestępstwa zostawił ślad

swojego DNA. Materiał zabezpieczono i przebadano, wyprowadzając profil DNA NN. Kiedy zatrzymano Radosława Kielicha, pobrano od niego materiał DNA i po porównaniu okazało się, że właśnie on był sprawcą podpalenia.

Policja złożyła wniosek do prokuratora o wydanie zgody na przebadanie podejrzanego. Był to człowiek, który w 1999 roku mieszkał dwie klatki od domu Magdaleny. Miał wówczas siedemnaście lat. Ostrożnie założono, że ofiara mogła spotkać się z kimś wcześniej, a zabójca wszedł do mieszkania 20 minut później. Trzeba było zbadać wszystkie okoliczności, aby dowieść, że Kielich na pewno miał związek z zabójstwem. Procedura nakazuje wyeliminować każdą wątpliwość.

Funkcjonariusze pojechali do zakładu karnego, żeby pobrać od podejrzanego materiał DNA (wymaz z jamy ustnej). Do badań porównawczych pielęgniarzka więzienna pobrała także kilka włosów z cebulkami z różnych części głowy. Sprawdzone zostały inne ważne fragmenty układanki: ubytek w uzębieniu sprawcy oraz duże wargi z portretu pamięciowego. Gdy w pokoju lekarskim podejrzany odpowiadał na pytanie o nazwisko, detektyw zauważył jego ułamany ząb. Więzień miał też wydatne usta. Policjanci poinformowali go, kim są i z jaką sprawą przyjechali.

Okazało się, że podejrzany ma dwóch braci. Mieli dwadzieścia i piętnaście lat, gdy zginęła Magdalena. Konieczne stało się więc pobranie DNA od wszystkich trzech i porównanie go z profilem ze wskazania w bazie GENOM. Biegli potwierdzili stuprocentową zgodność próbki pobranej od Radosława Kielicha. Mężczyzna został przetransportowany z zakładu karnego do Szczecina. Specjalista protetyk wykonał odlew uzębienia podejrzanego, by porównać ze zdjęciami śladów ugryzienia z ciała ofiary. Pasował idealnie.

Śledczy zdecydowali się także na okazanie za lustrem weneckim. Świadkiem identyfikującym sprawcę była córka zamordowanej Magdaleny. Sylwia miała wówczas dziewiętnaście lat. Okazanie odbyło się w obecności psychologa policyjnego. Spośród czterech mężczyzn dziewczyna jednoznacznie wskazała tego z numerem 2. Był nim Radosław Kielich. Zastosowano wobec niego areszt nakładczy i odizolowano, żeby nie wymieniał się informacjami z innymi więźniami (osadzeni mogą uzgadniać

wersję i wymyślać alibi lub zlecać kolejne przestępstwa, aby zastraszać świadków).

Mężczyzna nie przyznał się do przedstawianych mu zarzutów, niczego też nie wyjaśnił. Żeby przeprowadzić wizję lokalną, potrzebne są obszernie i szczegółowe zeznania oraz zgoda na udział w eksperymencie procesowym. Policjanci zasugerowali „sześćdziesiątkę”, czyli nadzwyczajne złagodzenie kary w zamian za współpracę. Było mu to obojętne, odsiadywał bowiem już dwunastoletni wyrok. Wiedział, że jakakolwiek współpraca mogła obciążyć go nowymi dowodami i spowodować zwiększenie kary, nawet do dożywocia.

Sprawa z aktem oskarżenia wpłynęła do sądu w marcu 2012 roku. Zabójcą Magdaleny okazał się jej sąsiad. Kobieta była atrakcyjną blondynką, pociągała fizycznie młodego sprawcę, który prawdopodobnie był prawiczką. Do mieszkania dostał się z zamiarem włamania. Zobaczył uchylone okno, wszedł przez nie i zrzucił coś z parapetu. Magda się obudziła. Sprawca podbiegł, aby ją obezwładnić, ugodził małym nożem i próbował odbyć stosunek. Nie miał jednak erekcji, bo emocje i adrenalina obniżyły libido. W ataku złości ugryzł ofiarę. Ten właśnie ślad doprowadził do jego ujęcia. Dostał dwudziestopięcioletni wyrok.

Drugie śledztwo ujawniło, że tydzień przed zabójstwem ojciec Magdy wyrzucił siedemnastoletniego Radosława Kielicha z piwnicy, bo chłopak chciał ukraść rowery. Niestety, w 1999 roku nie pomyślał o tym, że ktoś taki może zainteresować śledczych.

§

Rozmowa z Trzmielem, detektywem Archiwum X w Szczecinie

Jak został pan policjantem?

W latach 70. pracowałem w Polskiej Żegludze Morskiej w ośrodku zajmującym się kulturą. Dostarczaliśmy filmy, zamawialiśmy koncerty życzeń dla marynarzy w radiu, przygotowywaliśmy własne produkcje i rozwijaliśmy ich artystyczne zainteresowania. Była to ciekawa praca. Obsługiwaliśmy wszystkich dziewięciu polskich armatorów.

W tryby maszyny śledczej zostałem wciągnięty nagle, gdy została zamordowana dziewczyna, z którą spotykał się mój przyjaciel. Jej zwłoki, odkryte przez spacerowicza z psem, znaleziono w jednym ze szczecińskich parków. Było to morderstwo na tle seksualnym. Nie mając pojęcia o procedurach policyjnych, nie wiedzieliśmy, że policja sprawdzi alibi osób z jej otoczenia, w tym jej chłopaka, a przy okazji i mnie. Początkowo przeżyliśmy potworną traumę, potem postanowiliśmy sami rozwiązać tę zagadkę i złapać zabójcę.

Przeczytałem w jednym z kryminałów, że w tego typu sprawach sprawcy często wracają na miejsce zbrodni, aby napawać się swoim czynem lub upolować następną ofiarę. Zakładaliśmy, że mordercą może być ktoś ze Szczecina. Zaczęliśmy obserwować ten park i kręcących się w nim ludzi. Siedzieliśmy w samochodzie lub czailiśmy się w krzakach. Trwało to blisko miesiąc.

Z perspektywy czasu myślę, że raczej przeszkadzaliśmy, niż pomagaliśmy grupie dochodzeniowo-śledczej. W każdym razie, gdy milicjanci spostrzegli, że na miejscu zbrodni kręcą się jacyś gówniarze, zostaliśmy wezwani na komendę, gdzie musieliśmy się z tego wytłumaczyć. Milicjanci spokojnie, ale stanowczo zabronili nam bawić się w detektywów, bo nasze zachowanie mogło spłoszyć sprawcę. Okazało się później, że był to gwałcień pochodzący ze Szczecina.

Po tych doświadczeniach zdecydowałem się zostać milicjantem, obaj z przyjacielem nimi zostaliśmy. Zaczynałem w 1980 roku.

Czego uczył się pan najdłużej w tej pracy?

Cierpliwości, systematyczności i pokory. Często ma się pewność, kto jest sprawcą, ale nie ma wystarczających dowodów. Trzeba umieć się z tym pogodzić, bo można przyplącić to zdrowiem. Jako młody szczaw miałem szczęście trafić do doświadczonych zespołów. Miałem na kim się wzorować i na kim oprzeć.

Ta praca daje satysfakcję?

Dla wielu nieoczywista. Żony policjantów pytają ich często: co ty z tego masz, że siedzisz w pracy po 16 godzin. Mnie zdarzyło się siedzieć w niej nawet 39 godzin bez przerwy.

Nagrody i premie? Dają jakąś satysfakcję, ale największą przynosi rozwiązanie prowadzonej sprawy. Pracujemy tyle, bo jest taka konieczność. A przecież nie zawsze udaje się złapać sprawcę. Bywają i takie sytuacje, że przełom w sprawie następuje, kiedy po dwóch dniach obserwacji przekazuje się operację zmiennikowi, a on już po godzinie dokonuje ważnego odkrycia. Trudno wtedy mówić o własnej satysfakcji. Splendor spłynie na niego, choć nie sam rozwiązał tę zagadkę.

Prokuratorzy słuchają dochodzeniowców?

Ciekawość i wyciąganie szczegółów od śledczych to cecha indywidualna. Z założenia prokurator jest przełożonym i gospodarzem śledztwa. Jeśli potrzebuje dodatkowych informacji czy dowodów, może zlecać zespołom różne działania. Ja akurat po latach pracy z większością prokuratorów mam doskonałe relacje. Z niektórymi jestem po imieniu. Myślę, że prokuratorzy mogą wypowiedzieć się w podobnym tonie na mój temat. Bywało też, że współpraca nie układała się najlepiej. Szczególnie na początku nowego milenium, kiedy w zawód wchodziło nowe pokolenie prokuratorów. Ówczesni przełożeni bardzo ich pilnowali i przestrzegali przed, jak to nazywali, spoufalaniem się z funkcjonariuszami. Ów dystans był narzucony z góry. Paradoksalnie, negatywnie wpływał na sprawy, ponieważ młody prokurator zakładając, że wie wszystko najlepiej, nie współpracował jak należy. Na samym początku kariery w tym zawodzie ma się doprawdy nikłe

doświadczenie i wiedzę. Wynikały z tego sytuacje, że śledczy dostawali zlecenia na czynności będące jedynie stratą czasu. A gdy ze względu na dobro sprawy to kwestionowali, dochodziło do konfliktów. Kończyło się to zwykle tak, że prokurator ma zawsze rację, a funkcjonariusz musi grzecznie robić wszystko, co się mu zleci.

Miałem kiedyś komendanta, który co prawda wysłuchiwał opinii drugiej strony, ale kiedy za mocno się naciskało, walił pięścią w stół i krzyczał, że dopóki on jest szefem, ma zawsze rację i ostatnie zdanie należy do niego. Po stronie policji także zdarzały się nieporozumienia i duże różnice zdań. Mając problemy, trzeba zaglądać do regulaminu, gdzie w punkcie pierwszym zapisano: przełożony ma zawsze rację. Punkt drugi: w wypadkach wątpliwych patrz punkt pierwszy. (śmiech)

W jakim tempie dokonuje się obecnie postęp w policji?

W kwestiach kryminalistycznych nie byliśmy nigdy zacofani. Myślę o metodach i zasadach określających naszą pracę. Głównym problemem był brak środków. W końcówce lat 80. technicy, którzy żyli tą pracą, często zaopatrywali się w sprzęt za własne pieniądze. Na przykład, kiedy firma dawała pędzelek z muflona, a było to minimum, na którym można pracować, bo lepsze efekty daje pędzel z marabuta (chodzi o miękkość włosa). Tak samo z proszkami używanymi do ujawniania śladów. Lepsze były droższe i tylko na takich technicy chcieli pracować. Znałem wielu takich kolegów. Jeden z nich pracował ze mną w komisariacie. Miał wszystko popakowane na wózku, z którym wjeżdżał na oględziny. Gdy pojawiał się na miejscu zbrodni, wszyscy oddychali z ulgą. Jego pasja miała kapitalny wpływ na detektywów i samych poszkodowanych. Obserwując jego pracę, mieli poczucie, że są w dobrych rękach.

Pamiętam też przypadki, kiedy przyjeżdżałem sam na oględziny do mieszkania, w którym doszło do włamania, bo technik pracował w tym czasie gdzie indziej.

Czyli w ważniejszym miejscu, bo kogoś zabito?

Zazwyczaj tak. Poszkodowany pytał, gdzie jest reszta ekipy, ja odpowiadałem, że pracują gdzie indziej i działałem sam. Taką mieliśmy rzeczywistość. Postęp, o który pan pyta, dokonał się poprzez dofinansowanie policji i poprawę jakości technicznej. Przez lata

postępowanie na miejscu zdarzenia nie zmieniło się prawie wcale. Prowadzącym, czyli gospodarzem, jest dochodzeniowiec wysyłany na miejsce z dyżuru. On wskazuje, co jest do zrobienia. Przyjeżdża sam lub w grupie. W zależności od własnego doświadczenia oraz rodzaju przestępstwa decyduje, ile osób zabiera ze sobą. W pierwszej kolejności jest to technik kryminalistyczny, który jeśli jest starym wyjadaczem, czeka, co detektyw mu zleci. Najlepiej, żeby w całości zdał się na jego wiedzę. Wówczas można mieć pewność, że najistotniejsze ślady zostaną zabezpieczone.

Co przesądza o powodzeniu grupy delegowanej na miejsce zbrodni?

Jest osiem złotych pytań: co, gdzie, kiedy, dlaczego, jak, kto, któredy, po co. Jednoznacznie odnoszą się one do tego, co robimy. Motyw czy odtworzenie zajścia to elementy wiedzy, jaką gromadzi się po wykonaniu pierwszych ujawniających i zabezpieczających czynności.

Istnieje nawet zasada, że jeśli w ciągu pierwszych trzech dni nie będzie się miało żadnego zaczepienia, sprawa praktycznie jest nie do wykrycia. W przypadku zabójstw czas jest elementem kluczowym, a najważniejsze są pierwsze godziny. Ekipa dokonująca na miejscu zdarzenia czynności śledczo-procesowych, czyli oględzin, a także ujawnienia i zabezpieczenia śladów ponosi największą odpowiedzialność. Trwa to kilka lub kilkadziesiąt godzin. Może to wyglądać na stratę czasu, ale tylko pozornie. Wszystko wynika z okoliczności. Czasami lepiej przerwać zbieranie śladów, gdy na przykład panują całkowite ciemności, i wrócić po kilku godzinach. Jeśli mamy wiele pomieszczeń do zbadania, tworzy się kilka ekip po to, aby nie tracić czasu.

Kolejnym, nie mniej ważnym elementem jest praca operacyjna. Ustalenie świadków i dążenie do odnalezienia tropu sprawcy, który gdzieś się przecież porusza. Nie jest to przestrzeń nie do ogarnięcia. Ktoś coś mógł widzieć, i choć pozornie może się to wydawać informacją bez znaczenia, dla nas bywa bezcenne. W chwili, gdy trafi się na takie informacje, czyli tzw. operacyjny zaczep, dochodzenie nabiera tempa i trwa, aż do wyjaśnienia. Kiedyś nie bazowaliśmy na monitoringu, billingach, czasie logowania w sieci, śladach internetowych, bazach AFIS i GENOM.

Jeżeli zabójstwo jest planowane, policja ma trudniej, bo sprawca nas wyprzedza i zna część naszej strategii. Jednak każdy popełnia błędy.

Postęp, o którym rozmawiamy, dokonał się także w profilowaniu sprawców i analizie policyjnej. Są to osobne dziedziny kryminalistyki. To jest nasza przewaga, po prostu wiemy więcej niż przestępcy. Na początku lat 90. dokonał się gigantyczny skok technologiczny, zwłaszcza w kontekście starych spraw, które możemy wyjaśnić dopiero dziś.

Wstydzicie się własnych błędów przeszłości?

Każdy je popełnia. Rzecz w tym, by je naprawiać i minimalizować. Czasami już sama aktywność śledczych powoduje nieoczekiwaną reakcję sprawcy. Podam przykład. W małym miasteczku zniknęła kobieta, wyszła z domu i nie wróciła. Jej mąż miał w tym czasie spać. Nie potrafił stwierdzić, czy wie, kiedy wyszła i gdzie. Kręcił. Okoliczności wskazywały na jego udział w tym zaginięciu i już na samym początku powinien być brany pod uwagę jako podejrzany. Pewnie był brany, ale niezbyt skrupulatnie go zbadano. Mimo że śledztwo padło, środowisko w tym miasteczku było przekonane o jego winie. Kiedy został radnym, ludzie żartowali nawet: lepiej nie gadaj takich bzdur, tylko powiedz, gdzie ukryłeś żonę.

Gdy po czternastu latach sprawa wróciła jako niewykryta zbrodnia sprzed lat i analizując akta, odkryliśmy, że kilka zabezpieczonych śladów jest warte zbadania. Dużo rozmawialiśmy z mieszkańcami miasteczka i sąsiadami pary. W starych materiałach dowodowych była też informacja, że w tym domu dwurodzinnym, gdzie doszło do zaginięcia kobiety, sąsiedzi czuli nieprzyjemny zapach.

Trup?

Ewidentnie. Nie doszukałem się jednak w aktach zweryfikowania tej informacji w pierwszym dochodzeniu. Ktoś też zeznał, że w piwnicy kuto podłogę i wylewano świeży beton. Jednak wówczas i tych zeznań nie sprawdzono. Dopiero gdy my, bo postęp techniczny zrobił swoje, zorganizowaliśmy georadar i zezwolenie na czynności, do naszego podejrzanego musiały dotrzeć wieści, że śledztwo zostało wznowione. Tydzień przed wkroczeniem policji na posesję popełnił samobójstwo. Zapił się na śmierć. Był co prawda alkoholikiem, ale przez 15 lat żył w abstynencji. Raptem, kiedy ruszyliśmy tę sprawę, ktoś zaczął widywać go pijanego. Oczywiście w piwnicy znaleźliśmy zwłoki jego żony.

Wtedy gdy kobieta została zamordowana, złym tropem w sprawie był wampir z Bytowa. Jej zaginięcie zostało zakwalifikowane do sprawy Pękalskiego. Przerwano ją nawet na pewnym etapie i przekazano do innej jednostki. Pół roku po przejściu tych akt została przeprowadzona wizja lokalna, z której nie wynikało, że Pękalski ma ze zniknięciem coś wspólnego, dlatego sprawa została umorzona. Mnóstwo morderstw i zaginięć próbowano wówczas połączyć z tym sprawcą, a skazali go za jedno udowodnione. Można więc obecnie policzyć, do ilu błędów wówczas doszło. Dziś jednak łatwo ferować wyroki i oceniać stare pomyłki, mając do dyspozycji technologie najnowszej generacji.

Co wpływało wówczas na te błędy?

Czasem miejsce, gdzie prowadzone było postępowanie. Jednostki szczebla powiatowego, nie mówiąc o komisariatach w terenie, nie zawsze wykorzystywały możliwości techniczne w 100 proc. Nie można powiedzieć, że im głębsza prowincja, tym policja działa gorzej, bo dochodzeniowiec z małej wsi może być lepszym profesjonalistą niż detektyw w dużym mieście. Jednak prawdopodobieństwo błędów jest wówczas większe.

W moim odczuciu największą liczbę błędów przysporzyły reorganizacje firmy przez wszystkie lata. Na początku powstania policji powołano komendy rejonowe, które wcale nie zostały zlikwidowane po reformie administracyjnej, tylko przekształcone w komisariaty. Wiązało się to z obcięciem etatów, czyli możliwości wykrywcze były mniejsze. Co z tego, że pion dochodzeniowy i kryminalny został rozdzielony, skoro ludzi i tak jest mniej. Wydział dochodzeniowy liczył piętnaście osób, nagle ciach i dwie sekcje po pięć osób. Trzy sekcje operacyjne zamieniły się w jedną, która zajmowała się wszystkim: włamaniami, zabójstwami, napadami i kradzieżami samochodów. W latach 90. samochody były priorytetowe i najwięcej policjantów pracowało przy nich. Układ zmian nie poszedł w kierunku wyspecjalizowania, tylko oszczędności.

Wykrywalność spadła?

Chyba się pan domyśla. Policjant mając na biegu pięćdziesiąt spraw, nie był w stanie doprowadzić wszystkich do szczęśliwego zakończenia. Skupiał się na tych, gdzie wytypowano lub zatrzymano ewidentnych sprawców, a nie

pracował przy tych, które wymagały wszystkich czynności i pracy operacyjno-dochodzeniowej. Nie miał na to zwyczajnie czasu. Pracując w komisariacie, wielokrotnie rozmawialiśmy głośno z kolegami, w jakim kierunku pójdzie zmiana systemu. Zabrakło wyobraźni i odwagi. Nie trzeba było daleko szukać. Był świetnie działający system w Niemczech czy Szwecji. W komendzie wojewódzkiej, mając styczność ze sprawami prowadzonymi właśnie w tych krajach, widząc ich materiały w sprawie kradzieży czy włamań, piałem z zachwytu. Zawierały tylko to, co jest niezbędne, nie mówiąc o przesłuchaniu przez telefon. Co u nas do tej pory jest niemożliwe. Sąd i prokurator się na to nie zgadzają, bo potrzebny jest podpis pod protokołem przesłuchania. Do tego system kontradiktoryjności, czyli dwie przeciwstawne strony, które toczą ze sobą spór. Dlaczego od tego się odchodzi? Funkcjonuje on w postępowaniu cywilnym, ale w karnym już nie. Wszystkie te elementy początkowo miały rację bytu, ale nie zostały zmodyfikowane w oparciu o doświadczenie policji. Można powiedzieć, że przepisy osobno, a życie osobno. Może były tworzone przez akademików, bez konsultacji. Jest takie powiedzenie u nas: tam, gdzie kończy się logika, zaczyna się policja.

A tzw. materiał ludzki?

Jestem stary, więc nie chcę wyjść na piernika, który mendzi, ale podobne zdanie mają także niektórzy młodszy koledzy. Ewidentnie policjanci z powołania. Ludzie są przyjmowani, przechodząc gęste sito eliminacji. Ale nie liczy się tylko dyplom. Zdrowie, umiejętność myślenia i kojarzenia faktów oraz odporność są równie ważne. Policjant oprócz e-maili i telefonów musi umieć zatrzymać podejrzanego i go przesłuchać. W latach 80., kiedy zaczynałem w komendzie, był jeden doktor prawa. Na trzydziestu policjantów było pięciu z cywilnym wyższym wykształceniem. Reszta była po studiach uzupełniających, czyli oficerowie po szkole w Szczytnie. Niektórzy dalej się kształcili. Najczęściej z prawa administracyjnego. Teraz w większości kandydaci i później pracownicy mają wyższe wykształcenie i ono jest handicapem. Jednak nie zawsze predestynuje ono do pracy w tym zawodzie. Policja nie jest pracą biurową, to niełatwa służba, z czym nowe pokolenie się nie godzi. Powiedziałbym, że przybyło szarych komórek, ale zwiotczały nam mięśnie i hardość. Policjant pracujący jak urzędnik nie wykona najlepiej swojej roboty. Ta

praca to niekiedy robota non stop. W dzisiejszych czasach sytuacja nie do pomyslenia. Nie chcę zabrzmieć sekciarsko, ale dobry policjant albo jest kawalerem, albo ma ustabilizowaną sytuację rodzinną na tyle, by żona nie musiała pracować. Najgorsze, co może być, czego nie da się uniknąć, choć jestem wyjątkiem, to sytuacja, kiedy obojga rodziców nie ma w domu. Miałem szczęście, że było nas na to stać. Po urodzeniu dzieci moja żona mogła zająć się domem i przestać pracować. Ja mogłem poświęcić się pracy.

Brzmi nieco ogólnikowo i tajemniczo.

Siedząc w domu z chorym dzieckiem pod nieobecność żony, nie mógłbym pojechać na całodzienną i nocną obserwację, rozpracowując grupę przestępczą czy podejrzanego. Mobilność i dyspozycyjność są najważniejsze w pracy detektywa. Poza tym pracę zabiera się ze sobą, dosłownie i w przenośni. Może dziś da się wyjść z czystą głową o 16.00 z komendy, kiedyś było to niemożliwe. Każdy z nas to przeżywał, mimo że starsi koledzy przestrzegali: nie zabieraj tego ze sobą. Dochodzi się do tego po latach pracy.

Trzeba to zawsze jakoś odreagować?

Alkohol to temat rzeka, ale nie tylko w naszej służbie. Łączy się go także z wojskiem, lekarzami czy dziennikarzami. Nie mówię, że nikt nie pił. Jednak był czas na picie i czas na pracę. Nawet jeśli człowiek sobie pofolgował i następnego dnia nie był dyspozycyjny, dzwoniło się z informacją do przełożonego. Sorry, zabarłóżyłem, dziś biorę wolne. Ale każdy z nas wiedział, że następne dwa dni nie będą dupogodzinami, tylko pracą non stop. Podobnie z urlopami, po tygodniu nieobecności trzeba było powrócić do wszystkiego co niezrobione i dodatkowo zająć się sprawami bieżącymi. Dlatego nie każdy nadaje się do tego specyficznego rodzaju pracy. Alkohol był elementem odreagowania i integrowania. W latach 80. nikt nie spotykał się ze znajomymi na grilla. Były za to milicyjne kasyna. Ten, kto miał wolne, mógł walić od rana, ale ja tego nie widziałem. Pamiętam za to totalne poczucie obowiązku. Było widoczne u wszystkich. Poza tym była ciągłość pracy. Odchodzili ci, którzy przepracowali swoje lata. Nikt nie szedł do cywila po piętnastu latach. Zresztą czekało wtedy jedynie 40 proc. emerytury, dlatego szukano nowego sposobu na życie.

Wielu policjantów wyemigrowało w latach 90. do zachodnich Niemiec po wysłużeniu obowiązkowego okresu służby. Materiał ludzki był inny. Osoby, które przychodziły do pracy, wiedziały, czego chcą, choć czasem nie wiedziały, na czym ona polega. Łatwiej było z nimi pracować. Nie trzeba było prowadzić za rękę, bo były lepiej przygotowane do życia. W latach 80. ten, kto był słaby i sobie nie radził, wykruszał się. Zostawali ci, którzy się sprawdzili i chcieli zostać. Po latach spotykając starych kolegów, którzy odeszli, usłyszałem, że decydowali się na to, bo nie miał im kto podpowiedzieć czy czegoś doradzić. Kiedy szło się do przełożonego, żeby o czymś pogadać, najczęściej natrafiało się na ścianę. Twoja wola, nie trzymam cię na siłę. Człowiek nie wiedział, czy szef sam nie chce się angażować, czy traktuje cię jak cieniasa. Policjant pracuje w zespole, ale z myślami jest zawsze sam ze sobą.



SZCZECIN
– ZAGINIĘCIE W KAMIENIU
POMORSKIM



Przypadek Jagody został nazwany „ciekawą sprawą bez happy endu”. Gdy zaginęła, śledczy założyli, że mogło dojść do zabójstwa. Nie zostało ono udowodnione, więc sprawę umorzono, a zaginioną uznano za zmarłą. Jediną osobą, która uparcie dążyła do ustalenia, co się stało z dziewczyną, była jej matka. Pisała listy i zażalenia do Ministerstwa Sprawiedliwości oraz do Komendy Głównej Policji. Prokuratura odmawiała wszczęcia dochodzenia w sprawie zabójstwa, bo sprawę kwalifikowano jako uprowadzenie. Do zmiany tej kwalifikacji doszło dopiero po pięciu latach.

2006 rok

Jagoda pracowała w punkcie SKOK-u w Kamieniu Pomorskim. Przyjmowała wnioski kredytowe i wypłacała ludziom gotówkę. Jednocześnie studiowała zaocznie na uniwersytecie w Szczecinie, więc w sobotę rano jeździła na zajęcia. Autobusem to jakieś dwie i pół godziny. Zdarzało się, że wyjeżdżała już w piątek po południu i nocowała u koleżanki w Szczecinie.

Była związana z Mariuszem. Ten pasjonat samochodów wyścigowych startował w wielu zawodach i ciągle udoskonalał swoje auto. Miał paskudny charakter i zawiłe relacje z płcią przeciwną. Mimo związku z Jagodą utrzymywał też znajomość z inną kobietą. Nigdzie na stałe nie pracował, za to chętnie wyłudzał pieniądze od swoich partnerek. To powszechnie znany w Kamieniu leser i krętacz. Jagoda planowała z nim wspólny wyjazd do pracy w firmie ogrodniczej w Niemczech i szukała mieszkania.

W dniu zaginięcia, w piątek, dziewczyna poinformowała matkę i brata, że od razu po pracy wyjeżdża do Szczecina i zatrzyma się na noc u koleżanki. Ponieważ musi zostać na dodatkowych zajęciach w poniedziałek, wróci dopiero we wtorek, prosto do pracy. Tak naprawdę zamierzała w tym czasie sprawdzić warunki zamieszkania w Niemczech.

Od piątku do poniedziałku nieobecność Jagody nikogo nie martwiła. Gdy jednak we wtorek wieczorem matka nie zastała córki w domu, zaczęła się niepokoić. Około godziny 21.00 złożyła na policji zawiadomienie o zaginięciu.

Ustalono, że koleżanka, u której Jagoda miała zatrzymać się w Szczecinie, otrzymała SMS-a z informacją, że na uczelnianym zjeździe tym razem Jagody nie będzie, bo wyjeżdża. Wiadomość została wysłana z telefonu komórkowego zaginionej dziewczyny. SMS-a otrzymał też Jacek, brat Jagody. Wiadomość przyszła z soboty na niedzielę; informowała, że siostra wyjechała i nie będzie jej do wtorku. Ten tajemniczy wyjazd zaniepokoił Jacka. Rozpoczął poszukiwania Jagody wśród znajomych, ale nikt nic nie wiedział.

2011 rok

Detektywi z Archiwum X, którzy wznowili sprawę po zmianie jej kwalifikacji z zaginięcia na zabójstwo, zaczęli od sprawdzenia Mariusza. On ostatni widział Jagodę żywą.

Śledczy odtworzyli dzień zaginięcia dziewczyny. Ustalili, że po skończonym kursie prawa jazdy przyjechała do SKOK-u, w którym

pracowała, i wyjęła z kasy 13 tysięcy zł. To kwota, której brakowało w raporcie księgowym. Dotarli też do koleżanki Jagody ze Szczecina. Zeznała, że wiadomość, którą otrzymała przed pięcioma laty, bardzo ją zdziwiła. I zaniepokoiła na tyle, że zrobiła zdjęcie tego SMS-a. Jego treść miała nietypową dla Jagody interpunkcję, bo dziewczyna nigdy nie stawiała przecinków.

Pierwszy główny podejrzany, Mariusz, odmówił badania wykrywaczem kłamstw. Najpierw zaczął „leczyć się” psychiatrycznie, więc śledczy nie mogli go przesłuchać, potem wyjechał za granicę i ewidentnie unikał policji. Gdy wreszcie został przesłuchany, jego zeznania nie wniosły nic nowego do sprawy. Jednak zarówno śledczy, jak i matka Jagody byli pewni, że Mariusz coś ukrywał. Tym bardziej że z informacji poufnych śledztwa wynikało, iż tuż przed wspólnym wyjazdem do Niemiec chłopak próbował się dowiedzieć, w jakim środku najszybciej rozkładają się ludzkie zwłoki.

Detektywi zbadali jeszcze jeden wątek. Jeśli Mariusz chciał wywieźć Jagodę za granicę wbrew jej woli, wówczas mogło dojść do szarpaniny i nieumyślnego zabójstwa, a ciało ofiary zakopał lub utopił. Sprawdzone zostały więc prasy do rozdrabniania kości na farmach lisów wokół Dziwnowa, zbadano kanały i zamknięte studzienki. Zwłoki jednak można ukryć wszędzie, toteż niekiedy tylko łut szczęścia sprawia, że zostają przypadkiem odnalezione. Tu tak się nie stało. Przynajmniej na razie.



**SZCZECIN
– POTRÓJNE ZABÓJSTWO**



2011 ROK

Kwiecień, szczecińska dzielnica Dąbie. Po ulicy Uznamskiej nerwowo biegał biały nowofundlandczyk, który wydostał się za ogrodzenie domu jednorodzinnego. Mieszkańcy sąsiednich budynków poinformowali o tym siostrę właścicielki psa. Zaniepokojona kobieta wysłała syna, żeby sprawdził, czy coś się stało. Mieli dodatkowe klucze. Dom był dokładnie zamknięty. W oknach opuszczone rolety. Żadnych śladów włamania czy walki.

Po wejściu do środka chłopak odnalazł ciało pasierba swojej cioci. Zostało przeciągnięte z pokoju i wciśnięte do toalety na parterze. Zwłoki wujostwa znajdowały się w sypialni na piętrze. Schody, poręcze, ściany w toalecie, armaturę, wannę i umywalkę pokryto oleistą cieczą, to samo zrobiono na fragmentach częściowo pootwieranych mebli.

Policja od razu założyła, że sprawca likwidował ślady na wszystkich powierzchniach, których mógł dotykać. Bańka po oleju i mop, którym rozprowadzano olej, leżały w przedsionku na parterze. W grę wchodziły

prawdopodobnie kwestie finansowe. Rodzina była dobrze sytuowana. Detektyw z Archiwum X prowadził tę sprawę od początku.

Oględziny miejsca zbrodni trwały trzy dni. Policijni technicy zabezpieczyli dziesiątki śladów daktyloskopijnych w całym domu (niestety, nie nadawały się do analizy) oraz ślady biologiczne. Żaden z nich nie należał do sprawcy. Jedyne ślad daktyloskopijny nadający się do identyfikacji został zdjęty z samochodu. Należał do Radosława Warawki, biologicznego syna zamordowanej kobiety. Mężczyzna stał się głównym podejrzanym, gdy nie pojawił się na pogrzebie matki. Ustalono, że jego telefon komórkowy logował się przy ulicy Uznamskiej w czasie, w którym według medyków sądowych doszło do zbrodni. Nie można się było jednak z Warawką skontaktować, bo wyjechał za granicę.

Hiszpańskie służby zatrzymały go na Ibizie za handel narkotykami. Dostał wyrok trzech lat więzienia i dopiero po tym czasie polska policja mogła ściągnąć go do kraju. Śledczy mieli problemy z hiszpańskimi kolegami, którzy nie chcieli współpracować. Tymczasem całkowita eliminacja śladów daktyloskopijnych i biologicznych była możliwa dopiero wówczas, gdy mężczyzna stawi się w Polsce i zostaną pobrane od niego próbki do analizy. Hiszpanie przysłali do Szczecina jedynie odfitki palców, a potrzebna była cała karta daktyloskopijna. Porównywano te ślady, ale detektywi nie mieli pewności, że na pewno pochodzą od sprawcy.

Polscy śledczy żałują, że nie udało się od razu po ujęciu mężczyzny na Ibizie pojechać tam i pobrać odcisków i tzw. biologii. Prokuratura nie zdecydowała się na to. Sprawca miał więc trzy lata na stworzenie wiarygodnego alibi.

2014 rok

Zarzut potrójnego morderstwa ze szczególnym okrucieństwem Radosław Warawko usłyszał dopiero w październiku 2014 roku. Bezpośrednim motywem zbrodni była groźba wydziedziczenia. Matka sprawcy zapowiedziała, że zmieni testament i cały spadek przejmie jej pasierb.

Przebywający w Irlandii Warawko ustalił z matką, że odwiedzi ją i ojczyma. O tym spotkaniu nie wiedziała reszta rodziny. Zmierzając do Szczecina z zamiarem zabójstwa, sprawca przejeżdżał przez Poznań, gdzie spotkał się z kolegami, którzy pomogli mu kupić broń. Jednak do zabójstwa użył maczety, bo broń okazała się niesprawna. Policji udało się ją odzyskać i przeprowadzić szczegółowe badania. Pistolet z amunicją oraz maczeta zostały utopione w rzece Płonia przepływającej przez Szczecin-Dąbie. Ponieważ przez trzy miesiące broń leżała pod wodą, była skorodowana, nie miała także żadnych śladów daktyloskopijnych. Brakowało w niej zaczepu przy zamku, co powodowało, że się zacinała. Wystarczyło jednak przekręcić dłoń i ustawić pistolet w pozycji poziomej, jak w filmach, by działał bez zarzutu. Po zakupie sprawca przestrzeliwał go w lesie. Policjanci zlokalizowali to miejsce, a w trakcie oględzin znaleziono dziury po kulach w korze drzew.

Warawko najpierw wszedł do pokoju pasierba i ugodził go prosto w serce. Zatkął mu dłonią usta. Ofiara błyskawicznie się wykrwawiła. Ojczym sprawcy był postawnym, silnym mężczyzną. Spał, gdy został ugodzony od tyłu w kark. Matka musiała się przebudzić i zareagować na to, co się działo. Broniła się, biegała po sypialni. Morderca zadał jej kilka ciosów w tętnicę szyjną, o czym świadczyły rozbryzgi krwi. Jej ciało zostało odnalezione na podłodze pod stertą ubrań obok łóżka, w którym spała z mężem.

Po dokonaniu potrójnego zabójstwa sprawca przez cały dzień zacierał ślady. Nie spieszył się. Dopiero następnego nocy opuścił miejsce zbrodni i wyjechał ze Szczecina. W tamtych feralnych godzinach nie działał sam, ale z dwoma współsprawcami, którzy odebrali go z dworca i zawieźli na ulicę obok domu matki, a potem odwieźli do pociągu. Mężczyźni zostali zatrzymani i przesłuchani. Podczas wizji lokalnej odtworzyli przebieg przejazdu. Wskazali miejsce, gdzie pozbyli się broni i narzędzia zbrodni. Po drodze zostały wyrzucone także laptopy i telefony, ponieważ sprawca obawiał się, że w pamięci urządzeń mogło być coś, co naprowadzi na niego policję.

Chociaż Warawko konsekwentnie nie przyznawał się do winy, sąd okręgowy w Szczecinie nie miał żadnej wątpliwości, że to on był sprawcą potrójnego zabójstwa. W grudniu 2016 roku został skazany na dożywocie.



System do automatycznej identyfikacji AFIS w całej krasie. Hit – trafienie. Na ekranie odcisk z karty daktyloskopijnej konkretnego człowieka, obok ślad NN. Po ekspertyzie ubędzie w bazie śladów NN, przybędzie zatrzymanych.

§



Ludzkie oko widzi trzynaście cech linii papilarnych, komputer tylko cztery. Praca biegłego przy klawiaturze to połowa drogi do weryfikacji daktyloskopijnej. Każdy ślad nieustająco trzeba określać od nowa, aby wzrosło prawdopodobieństwo, że odciski kogoś zarejestrowanego w bazie mogą należeć do poszukiwanego przestępcy.



**RZESZÓW
– ZABÓJSTWO
RECEPCJONISTKI HOTELU**



Zabójstwo w Jaśle było jedną ze spraw, którą na początku działalności rzeszowskiego Archiwum X, czyli wiosną 2008 roku, detektywom z Zespołu do spraw Niewykrytych zasygnalizowali policjanci z tzw. terenu. Jak zwykle zaczęto od sprawdzenia, jakie materiały jeszcze się zachowały. Przez kilka dni żmudnie studiowano tzw. akta główne śledztwa. Liczyły one kilka tomów. Śledczy po wielokroć analizowali ich treść. Przyjęto zasadę, by szczegółowo notować kwestie związane ze śladami, które mają kluczowe znaczenie w tego typu sprawach. Policjanci nazywają je mocnymi dowodami, dzięki którym można udowodnić winę, zwłaszcza po latach.

1987 rok

Aby przenoćować w hotelu robotniczym BPK przy ulicy Skalnej w Jaśle, trzeba było wypełnić odpowiednie druki w recepcji oraz na podstawie dowodu osobistego wpisać dane personalne do książki meldunkowej. Co ważne, gościem nie mógł być mieszkaniec Jasła. Zatrzymywali się tu jedynie pracownicy miejscowych zakładów pracy.

Recepcja mieściła się na parterze, pokoje znajdowały się na piętrach. Na początku i końcu każdego korytarza były dwa małe pomieszczenia, na brudną i czystą pościel. Gościa do pokoju prowadziła recepcjonistka. Ona też wydawała klucz oraz komplet pościeli.

Dwudziestego ósmego września recepcjonistka Iza, która rozpoczynała poranną zmianę, zauważyła otwarte drzwi wejściowe hotelu i pustą recepcję. Brakowało kasetki, w której przechowywano pieniądze. Kobieta zaczęła poszukiwania swojej zmienniczki, Marleny Kurzepy. Wchodziła do każdego pokoju, zaglądała do szaf i pod łóżka. Nic. W schowku na pościel na pierwszym piętrze znalazła ciało Marleny wciśnięte do wiklinowego kosza. O swoim odkryciu natychmiast zawiadomiła milicję. Po przyjeździe ekipa dochodzeniowa zabezpieczyła ślady. Miejsce zbrodni zostało odgrodzone tak, by dokonać szczegółowych oględzin i przesłuchać świadków. Zablokowano też drogi w promieniu kilkunastu kilometrów, sprawdzając samochody z obcymi rejestracjami

Trzydziestosiedmioletnia ofiara pochodziła z podjasielskiej wsi. Codziennie dojeżdżała do pracy. Nic nie wskazywało, by sprawca pochodził z jej środowiska. Nie zajmowała się także niczym, co mogłoby świadczyć o tym, że miała kontakty z ludźmi z marginesu. Nie miała żadnych zatargów, długów ani rodziny w kryminalnym środowisku. W grę nie wchodził zazdrosny kochanek. Wydawało się, że ofiara była przypadkowa, a zabójstwo zostało dokonane przez przypadkowego sprawcę.

Milicjanci rozmawiali z osobami przebywającymi w pobliżu miejsca zbrodni. Ktoś musiał coś widzieć. Już po kilku pierwszych godzinach został znaleziony świadek taksówkarz. Milicja lubiła mieć swoich ludzi wśród taksówkarzy, bo ci dużo widzieli i byli doskonale zorientowani w tym, co działo się w mieście.

- *Dzień dobry, sierżant Styś.*
- *Czołem. Co tym razem, złodzieja szukacie?*
- *Panowie, mamy zwłoki kobiety!*
- *Chryste, gdzie? Co się stało?!*
- *W robotniczym zamordowano recepcjonistkę. Kto jeździł w nocy?*
- *Ja nie, cholera... Czekał pan... Wczoraj na kółku był Kazek. Pewnie w wozie. Zielona łada.*

Milicjant, stukając długopisem w szybę, obudził przykrytego skórzaną kurtką mężczyznę. Szofer poderwał się na widok mundurowych i zaparkowanego w pobliżu radiowozu z włączonym kogutem. Milicjant przeszedł do konkretów:

– *Jeździł pan w nocy?*

– *Jeździłem, a o chodzi?*

– *O morderstwo. Niech pan posłucha, to ważne. Wiózł pan kogoś między 22.00 a 6.00?*

– *Do apteki kobieta ze Szpitalnej jechała. A... i z dworca takiego jednego. Na stacji PKP wsiadł do mnie klient i kazał się wieźć do jakiegoś normalnego hotelu. Gdzieś przed północą. Przystojny gość. Taki młody, na luzie. Mało rozmawialiśmy. Raczej przyjezdny, bo nie mendził, że złą trasą jadę.*

Funkcjonariusz wskoczył do radiowozu i złapał radiotelefon: „Mamy taksjarza. Mówi, że wiózł w nocy młodego faceta do hotelu z dworca kolejowego”. Milicja sprawdziła rozkłady pociągów z owej feralnej nocy i przesłuchała wszystkie pracownice PKP. Taksówkarz przywiózł mężczyznę NN z dworca do hotelu dokładnie o godzinie 0.15. Około drugiej w nocy kasjerka sprzedała bilet do Ustrzyk Dolnych mężczyźnie łądząco podobnemu do opisanego przez kierowcę. Kobieta zauważyła, że był on nie tylko przystojny, ale także podrapany. Nie były to zadrapania po nieuważnym goleniu, ale rany po paznokciach lub po walce. Milicjanci mieli trop sprawcy.

Sekcja wykazała, że przyczyną zgonu było zagardlenie. Ofiara została zgwałcona. Milicja przypuszczała to już w trakcie oględzin, z kobiety bowiem zdarto bieliznę. Niewątpliwie wszystko wydarzyło się w pokoju hotelowym, który Marlena wynajęła mężczyźnie. Znalaziono w nim dowody walki i ślady spermy na łóżku. Sprawca przewrócił na nie kobietę, zgwałcił, później udusił.

Milicja odkryła również, że z zeszytu meldunkowego wydarto kartki. Biegły sprawdził, czy sprawca siłą nacisku długopisu nie zostawił odcisku swojego pisma na stronach pod spodem. Niestety, nie udało się niczego odtworzyć. Nie zabezpieczono śladów ani w książce meldunkowej, ani na bloczku KP z kwitem potwierdzającym wpłatę. Sprawca nie stracił zimnej krwi i pozacierał ślady. Nie uciekał w panice.

Najprawdopodobniej ukradł także pieniądze z utargu. Skoncentrowano się więc na miejscu kradzieży. Na kasetce leżącej pod biurkiem w recepcji ujawniono najwięcej śladów linii papilarnych. Pierwszym ważnym był ten z nr 1, zabezpieczony w trakcie tworzenia protokołu oględzin. Znajdował się na części czołowej wewnątrz kasetki. Sprawca prawdopodobnie chwycił ją, kiedy wyciągał pieniądze.

Do zabójstwa doszło na pierwszym piętrze. W trakcie zajścia w hotelu było tylko dwoje gości, spali w pokojach na piętrach drugim i trzecim. Trudno ustalić, dlaczego akurat w ten, a nie inny sposób zostali rozlokowani. Gość przebywający w pokoju 22 na drugim piętrze obudził się w nocy. Usłyszał głośny krzyk około godziny 0.20. Milicja przypuszczała, że sprawca zaatakował, a gdy ofiara krzyknęła, natychmiast zamknął jej usta ręką. Świadek nie zareagował. Nie wstał, by sprawdzić, co się dzieje. Nikt nie słyszał odgłosów walki czy szarpaniny.

Na miejscu zdarzenia w hotelu została ujawniona substancja koloru brązowego, prawdopodobnie krew. Zauważono ją na drewnianej listwie, na wysokości 130 cm od podłogi. Ten fragment listwy wycięto i zabezpieczono do badań w laboratorium kryminalistycznym. Dochodzeniowiec spisujący protokół w trakcie oględzin nie mógł zanotować, że znaleziono krew dopóty, dopóki nie zostały przeprowadzone odpowiednie badania. W pokoju na prześcieradle zabezpieczono także plamę spermy i wysłano do Warszawy, bo tylko w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym wykonywano badania śladów biologicznych. Niestety, nie udało się z tego materiału wyodrębnić czegokolwiek, co pozwoliłoby zidentyfikować sprawcę.

Funkcjonariusze przeanalizowali pod kątem profilu gwałciciela wszystkie podobne zdarzenia, by wytypować potencjalnego sprawcę. Rozesłali także do porównania karty daktyloskopijne. Na takich arkuszach obok danych personalnych znajdują się odciski palców. Przykładowo: jeśli w Lublinie został złapany i daktyloskopowany gwałciciel, Jasło podsyłało dla porównania swoje ślady ujawnione na miejscu zbrodni.

Do miasta przez kilka miesięcy docierały informacje, że gdzieś w Polsce zatrzymano gwałciciela. Natychmiast wysyłano do porównania odciski (zebrał się tego tom akt, około dwustu sprawdzeń w różnych rejonach Polski). Weryfikowane były również ślady z wcześniejszych gwałtów, aby ustalić, czy poszukiwany sprawca nie grasował od dłuższego czasu.

Warto pamiętać, że koniec lat 80. XX wieku to era przedtechnologiczna. Milicja jeszcze wtedy nie posiadała systemów AFIS i GENOM. Choć trudno to sobie dziś wyobrazić, karty daktyloskopijne były sprawdzane ręcznie. Czerwone rezerwowano dla kobiet, czarne dla mężczyzn. W 2016 roku polska policja posiadała gigantyczną bazę do identyfikacji linii papilarnych, połączoną z jedenastoma krajami Unii Europejskiej. Pod koniec XX wieku, żeby na kartach nie popełniać błędów (zamazań), przesyłano jedynie wzór linii. Istniała również możliwość telefonicznego porównywania śladów określonych konkretnym wzorem.

Milicja wykonała naprawdę żmudną pracę. Sprawdziła ponad 1170 osób według śladów zabezpieczonych na miejscu zbrodni. Funkcjonariusze jeździli pociągiem z Jasła do Ustrzyk Dolnych o tej porze, w której mógł podróżować morderca. Rozmawiali z ludźmi stale przemierzającymi się tą trasą. Przeważnie były to osoby wracające z pracy do domu. Na podstawie zeznań taksówkarza i recepcjonistki powstał portret pamięciowy sprawcy. Milicjanci pokazywali podróżującym podobiznę prawdopodobnego zabójcy. Niestety, bez rezultatów. Ślad urywał się w pociągu.

Kiedy sprawa trafiła do Archiwum X, nie ocalało nic, co można było powtórnie zbadać. Wydawało się logiczne, że broniąca się kobieta mogła mieć na dłoniach ślady DNA poszukiwanego. Zabezpieczono fragmenty naskórka spod paznokci ofiary, ale przez osiemnaście lat materiał nie przetrwał. Dochodzeniowcy poprosili też o tzw. progresję wiekową. Chcieli wiedzieć, jak dziś wyglądałby domniemany zabójca. Jego wizerunek został rozesłany do komend. Sprawdzono, czy na swoim terenie policja rozpoznaje kogoś takiego.

W roku 1987 czas grał na niekorzyść śledczych. Śledztwa w sprawach zabójstw mają swoje apogeum w pierwszych dniach po zbrodni, gdy „atakuje się i szarpie tropy”, pracowicie tworząc opasłe tomy akt. Potem wyhamowują. Z upływem czasu hotelowe morderstwo przestało być sensacją. Gdy wydawało się, że dochodzenie zmierza w kierunku umorzenia, sprawa ożyła. Chłopak podejrzewany o drobne kradzieże podczas przesłuchania nieoczekiwanie oświadczył, że to on zabił recepcjonistkę w hotelu w Jasle. Milicjanci z kryminalnego, próbując uzyskać informacje o włamaniu, mocno go przycisnęli:

– ***Przyznaj się, bo ktoś widział, jak wynosiłeś rzeczy.***

- Jeden z funkcjonariuszy, obecnie na emeryturze:
- *My przecież wiemy, że to ty załatwiłeś tę w Jaśle.*
 - *Ja.*
 - *Co tam mamrocześ?*
 - *Ja ją zabiłem.*
 - *Czym?*
 - *Uduśiłem rękami, bo się darła.*
 - *Jak to było?*

Funkcjonariusze zaczęli wypytywać o detale. O dziwo, podejrzany złodziej odpowiadał szczegółowo. Błyskawicznie została powiadomiona prokuratura. Kolejne przesłuchanie przeprowadził prokurator i na piśmie postawił formalny zarzut zabójstwa. Weryfikując uzyskane informacje, zauważył, że zeznania nie do końca się zgadzały. Zarządził więc wizję lokalną, czyli oględziny na miejscu zbrodni z udziałem sprawcy. Gdy podejrzany miał wskazać, gdzie zawłókł zwłoki, pokazał pomieszczenie z brudną bielizną... po przeciwnej stronie korytarza, gdzie została znaleziona recepcjonistka. Okazało się, że czytał na bieżąco wszystkie doniesienia prasowe. Dziennikarze pisali jedynie, że zwłoki zostały znalezione w kantorku. Nie wiedział w którym. Podczas wizji, wchodząc na piętro hotelu, przeczytał napis na drzwiach: magazyn pościeli. Wskazał śledczym pierwsze miejsce, jakie przyszło mu do głowy. Zatrzymany został zbadany przez psychologa i seksuologa. To standardowa procedura w przypadku zabójców. Badania odbyły się w ośrodku zamkniętym. Wykazały, że podejrzany to konfabulant, dla którego rozrywką jest bycie w centrum zainteresowania milicji. Prokurator wykluczył winę chłopaka i wydał polecenie umorzenia śledztwa przeciwko niemu. Był wrzesień 1988 roku.

Zdaniem detektywów z Archiwum X wydarzenie z mitomanem położyło śledztwo. Jeśli do opinii publicznej dotarła wiadomość, że morderca został ujęty, cała machina dochodzeniowa stanęła. W tym wypadku zostały nawet rozpisane nagrody dla osób, które przyczyniły się do zatrzymania sprawcy. Do zabójstwa wrócono po wykluczeniu mitomana. Milicja wysłała komunikaty do prasy. Prosiła o wiadomości w sprawie zabójstwa w Jaśle. Niestety, do miejscowej komendy nie wpłynęła ani jedna informacja. Trzydziestego czerwca 1989 roku Prokuratura Wojewódzka w Krośnie wydała postanowienie o umorzeniu sprawy z powodu niewykrycia sprawcy.

2001 rok

Gdy powstawał system automatycznej identyfikacji AFIS, komendy wojewódzkie otrzymały dyrektywę, by wybierać sprawy z przeszłości, w których zabezpieczono ślady linii papilarnych, ale ich nie rozpoznano. Powróciła sprawa morderstwa w Jaśle. Zabezpieczone w hotelu ślady zarejestrowano w bazie, a po kilku dniach przeszukiwania jej zawartości udało się przypisać odcisk NN do konkretnej osoby. Był nią Lech Kruczek. Cztery lata wcześniej mężczyzna chciał wyłudzić kredyt. Został zatrzymany przez policję i daktyloskopowany przy okazji fałszerstwa faktur i adresu miejsca pracy (do 2006 roku obowiązywało prawo, na którego mocy pobierano odciski palców od każdego zatrzymywanego, nawet jeśli był winny drobnego przestępstwa lub wykroczenia). Pracownik banku powiadomił policję, gdy zorientował się, że dane personalne Kruczka nie zgadzały się z tymi, które mężczyzna podał we wniosku.

Po konsultacji z prokuratorem rozpoczęto szybkie i proste działania. Należało uzyskać wszelkie informacje o Kruczku. Zorientować się, kim był, jak wyglądało jego obecne życie i czy mógł być niebezpieczny. Najpierw policja dotarła do byłej żony Kruczka. Podczas przesłuchania padły pytania o życie seksualne. Śledczy sprawdzali, czy mężczyzna wykazywał jakieś dewiacje, na podstawie których można byłoby domniemywać, że był w stanie w 1987 roku zgwałcić i zabić. Kobieta zeznała, że nie zauważyła u eksmęża żadnych nienormalnych zachowań. Powód ich rozstania był prozaiczny. Kruczek w opinii byłej żony to nierób i pijak. W domu dochodziło do częstych bójek. Mężczyzna nie pasował więc do profilu gwałciciela.

Na miejscu zbrodni był jednak jego odcisk! Trop ten podjęła Komenda Wojewódzka w Rzeszowie i jej wydział dochodzeniowo-śledczy (sprawa trafiła z Krosna do Rzeszowa w konsekwencji reformy administracyjnej kraju z 1999 roku). Policjanci wystąpili o wniosek o zatrzymanie Kruczka, żeby móc mu przedstawić zarzuty. Niestety, prokurator nadzorujący wówczas tę sprawę doszedł do zdumiewających wniosków. Jego zdaniem, skoro ślad linii papilarnych został znaleziony na kasetce, mężczyźnie można zarzucić jedynie kradzież pieniędzy. Nie można wykluczyć, że szedł

obok hotelu, spostrzegł otwarte drzwi i brak ludzi w środku. Wszedł do recepcji. Zobaczył przy biurku otwartą kasetkę, zabrał z niej pieniądze i uciekł.

Lech Kruczek został przesłuchany jako świadek z tzw. uprzedzeniem (art. 183 KPK). Artykuł ten daje świadkowi prawo nieodpowiadania na pytania, jeśli odpowiedzi mogłyby narazić na odpowiedzialność karną jego lub rodzinę. Śledczy czuli się bezradni. Mieli poważne podstawy, aby sądzić, że Kruczek to morderca. Nie były one na tyle mocne, żeby przedstawić zarzut na papierze.

Kruczek zeznał: ***Nigdy na terenie Jasła w żadnym hotelu nie byłem. Chcę w ten sposób powiedzieć, że nie tylko nie mieszkałem w hotelu na terenie Jasła, ale nawet do żadnego nie wchodziłem. Nie potrafię powiedzieć, jak to się stało, że na jakiejś kasetce w hotelu BPK w Jaśle ujawniono ślady moich linii papilarnych. Nie potrafię wytłumaczyć tego faktu. Jak już mówiłem, nie byłem ani w tym, ani w żadnym innym hotelu. Nie dotykałem niczego. Z kasetkami metalowymi nigdy nie miałem do czynienia. Nawet przypadkiem żadnej kasetki nie dotykałem. O zabójstwie recepcjonistki w Jaśle nigdy nie słyszałem. Dowiedziałem się o nim od przesłuchującego policjanta. Śledczy zapytali go także, co robił 28 września 1987 roku. Odpowiedział: To była niedziela i byłem z żoną w kościele.***

Wydawało się dziwne, że pamiętał, co robił kilkanaście lat wcześniej tego konkretnego dnia. Policja rozpoznała ewidentne kłamstwo. Zeznania kłóciły się ze zdrowym rozsądkiem, bo ślad odcisku palca Kruczka był na kasetce z miejsca zabójstwa. Sprawdzone, czy kasetki tej nie używano wcześniej w innych miejscach. Wszystko wskazywało, że była na wyposażeniu hotelu przez wiele lat. Prokurator ocenił jednak materiał jako niewystarczający. Nie przedstawił Kruczkowi zarzutu popełnienia zabójstwa Marleny Kurzepy. Nie było także podstaw, żeby wszcząć śledztwo na nowo.

2010 rok

Minęły kolejne lata. Podczas analizy okoliczności zbrodni oraz rozmów z policjantami, którzy prowadzili sprawę z Jasła, detektywom Archiwum X kluczowe wydały się zabezpieczone na miejscu zdarzenia ślady biologiczne. Do badań wytypowali włosy znalezione na łóżku, brunatną plamę na listwie drzwi oraz plamę na prześcieradle. Pojechali do Jasła, żeby z archiwum dowodów rzeczowych wydobyć materiały. Funkcjonariusz, który się nimi zajmował, zorganizował na własną rękę kartonowe pudełka i wszystkie dokumenty niewykrytych spraw wraz ze śladami i dowodami rzeczowymi przechowywał w idealnych warunkach. Nie zawsze tak się dzieje. Zdarzało się, że materiały archiwizowane leżały chaotycznie porozrzucane w prokuraturze i komendach, a źle zabezpieczone ślady ulegały degradacji. Na przykład mokre plamy biologiczne z miejsca zbrodni, które trafiły do foliowego worka, gniły i po latach nie nadawały się do badań.

Śledczy Archiwum X skompletowali zestaw do analizy DNA. Istniała możliwość wygenerowania DNA sprawcy ze śladów spermy. Chodziło o tzw. haplotyp męski. Co prawda sperma dawała tylko informację o mężczyźnie, który ją pozostawił, jednak maksymalnie zawężyła grono osób podejrzanych. Mógł nim być ojciec sprawcy, jego brat lub wujek.

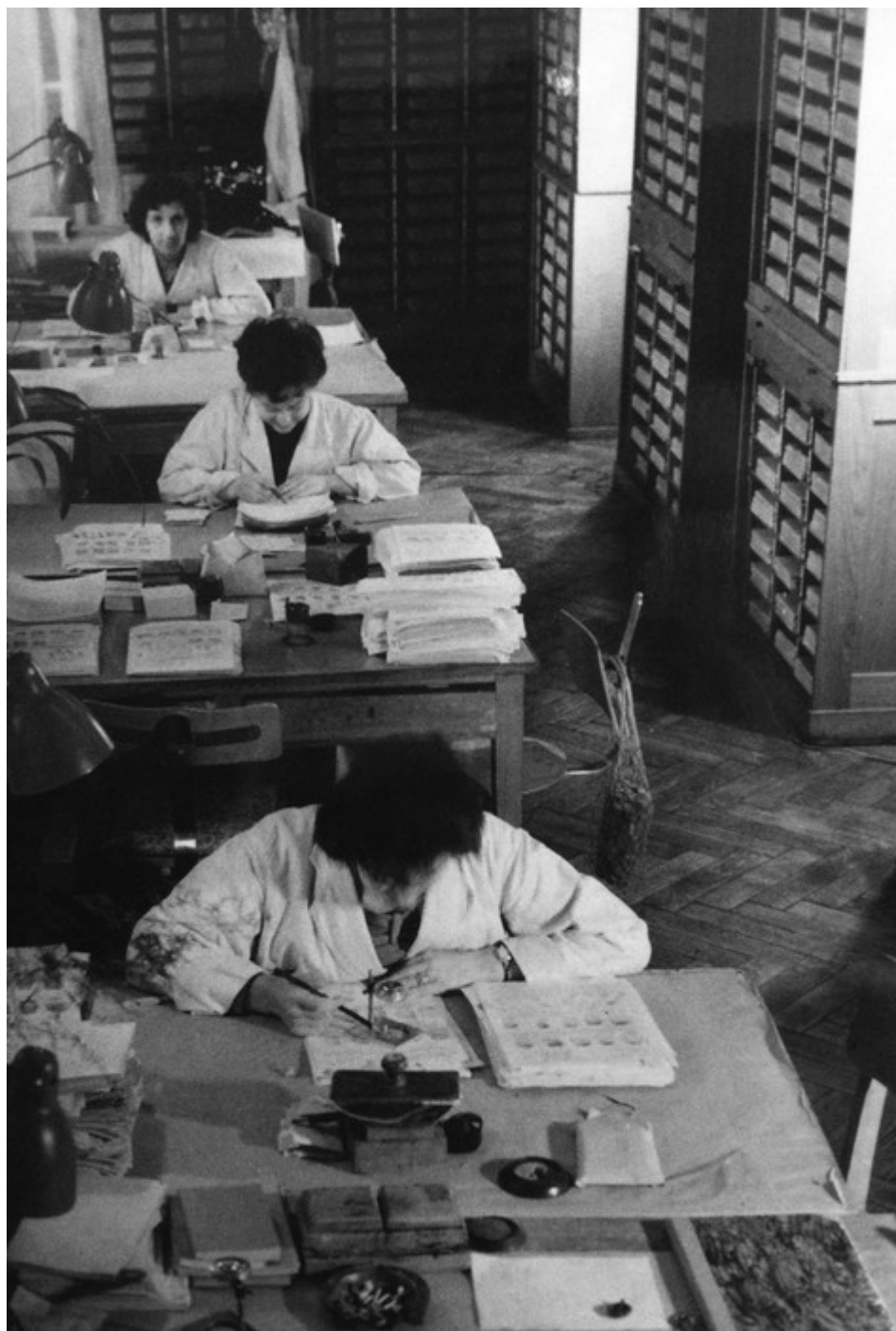
Testy jednoznacznie określiły DNA sprawcy. Żeby wykluczyć tezę, że sperma z hotelowego prześcieradła mogła pochodzić od innej osoby, która była tam dzień wcześniej, ale nie wymieniono pościeli, niezbędne było badanie Kruczka (do porównania pobiera się wymaz z wewnętrznej strony policzka). W konsekwencji można byłoby podważyć jego zeznania i jednoznacznie udowodnić winę. Ustalono, że podejrzany zmarł niedawno w szpitalu wojewódzkim w Krośnie. Chorował na raka. Nie miał żadnego rodzeństwa, a jego ojciec od dawna nie żył.

Prokurator nie zgodził się na przeprowadzenie ekshumacji ani jakichkolwiek innych badań, dzięki którym wina Kruczka zostałaby potwierdzona. Nie udało się także zdobyć przedmiotów, które mogły zawierać jego DNA. Zresztą nawet gdyby je pozyskano, prokurator musiałby i tak umorzyć sprawę z powodu śmierci sprawcy.

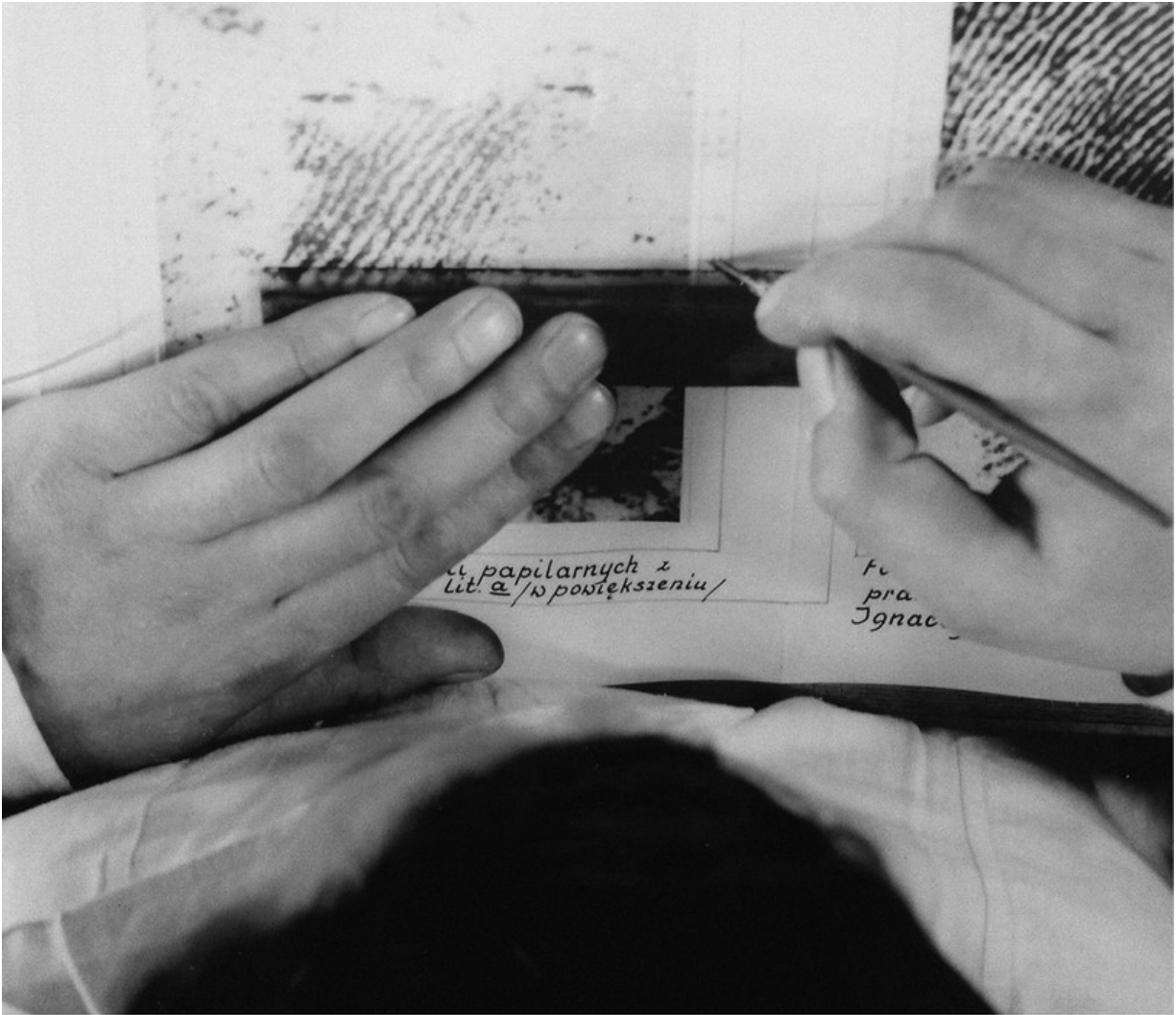
Ostatnią czynnością było porównanie zdjęcia Lecha Kruczka z portretem pamięciowym sporządzonym w 1987 roku. Bez powoływania biegłego detektywi Archiwum X stwierdzili podobieństwo. Byli pewni, że Lech Kruczek to poszukiwany gwałciciel i zabójca. Sprawa morderstwa Marleny

Kurzepy wróciła na półkę, by doczekać przedawnienia. Zgodnie z przepisami pójdzie na przemiał jesienią 2017 roku. W jakimś sensie zabójstwo recepcjonistki było zbrodnią doskonałą.

Policja miała sprawcę, ale go wypuściła. Przeprowadzenie badań dających pewność ponad wszelką wątpliwość było możliwe dopiero po dwudziestu latach. Prokurator mógł w 2001 roku postawić zarzut zabójstwa i bronić tej tezy w sądzie. Nie wiadomo jednak, jaką decyzję podjąłby wówczas sąd, a prokuraturę rozlicza się ze skuteczności. Kluczowe jest skazanie. Dlatego prokuratorzy czasem obawiają się, że dysponują niewystarczającymi dowodami.



Zakład daktyloskopii CLK w Warszawie. Początek lat 70.



Niemal pół wieku temu biegli identyfikujący ślady w zakładach daktyloskopijnych pracowali przy użyciu metod stosowanych do dziś. Jednak wówczas mogli jedynie marzyć o dostępie do systemu zawierającego cztery miliony cyfrowych kart daktyloskopijnych Polaków i baz jedenastu krajów Unii Europejskiej.



W latach 80. XX wieku przestępcy nie potrafili dobrze zacierać śladów. Zostawiali na miejscach zbrodni mnóstwo odcisków. Od ekipy dokonującej oględzin zależało, czy ujawnione odciski „w jak najlepszym stanie” trafią do analizy. CLK zawsze szczyliło się znakomitymi fachowcami.

§

Rozmowa z Osą, detektywem Archiwum X w Rzeszowie

Jak trafił pan do wydziału spraw nierozwiązanych?

Komórkę Archiwum X powołano w Rzeszowie pod koniec 2007 roku. Wiedziałem wcześniej z dokumentów, które były w obiegu naszej komendy, że w oddziałach wojewódzkich tworzone są zespoły do przestępstw niewykrytych. Utało się, że są to Archiwa X. Nawet w pismach oficjalnych używało się tego określenia. Naczelnik mojego wydziału wiedział, jakie mam doświadczenie dochodzeniowo-śledcze. Wiedział też, że mam sporą wiedzę dotyczącą postępowań, czego nie można powiedzieć o wszystkich pracownikach wydziału kryminalnego. Kiedyś, w luźnej rozmowie zapytał mnie, czy widziałbym siebie w takim archiwum, gdyby miało ono powstać w Rzeszowie. Nie zastanawiałem się nad odpowiedzią, bo zdawałem sobie sprawę, jak ciekawa będzie to praca. Wymaga wielu analiz i wyjazdów w teren. W tym kontekście zajmuje mniej czasu niż bieżączka dochodzeniówki i wydziału kryminalnego, bo jeśli kogoś zamordowano, oba te wydziały działają dzień i noc, bez przerwy. Jeśli trzeba, przez kilka dni. Tymczasem akta spraw sprzed wielu lat układam według własnego harmonogramu. Kiedy przyszedł wreszcie do komendy rozkaz o powołaniu Archiwum X, spełniając odpowiednie wymogi, rozpocząłem pracę. Przygotowany był tylko jeden etat. Jedyne, co mogłem otrzymać więcej, to etat cywilny. Od razu wiedziałem, że musi go dostać emerytowany pracownik policji, ale nie z wydziału zaopatrzenia, tylko detektyw z wydziału dochodzeniowo-śledczego, który przez lata przerobił masę spraw. Firma jest państwowa, dlatego musiał być ogłoszony konkurs na ów cywilny etat. To normalna procedura obsadzania stanowisk cywilnych. Zgłosiły się panienki, które czytały kryminały. Powołano mnie do komisji kwalifikacyjnej. Rozmowy były naprawdę zabawne, chociaż trudno mi powiedzieć, że dobrze się bawiłem. Kandydatki nigdy nie widziały akt, nie miały zielonego pojęcia, na czym miałyby polegać ich praca. Spodziewały się, że będą tak jak w filmach chodzić po miejscach zbrodni, by po

45 minutach dedukcji wskazać sprawcę. Niektóre spodziewały się, że czeka je archiwizowanie danych, tak jak w centrach finansowych, gdzie siedzi się i wpisuje do komputera wyliczenia. Finalnie został przyjęty doświadczony policjant.

Do czego trzeba było się zabrać, rozpoczynając działalność Archiwum X?

Na początku puściliśmy informacje do jednostek, że powstał zespół zainteresowany niewyjaśnionymi sprawami. Komend powiatowych w województwie jest bodaj dwadzieścia dwie. Zastrzeżyliśmy, że jeśli są stare sprawy, które na etapie postępowań miały elementy mogące być przedmiotem zainteresowania policji, lub ktoś z pracujących policjantów ma jakieś sugestie, prosimy o kontakt. Sprawy zaczęły napływać. Policjanci dobrze pamiętają niewyjaśnione zbrodnie. Te morderstwa wciąż siedzą w ich głowach. Tak dzieje się zwłaszcza w małych komendach, gdzie spraw o zabójstwo jest niewiele. W wypadku Jasła to był pierwszy mord w mieście od trzydziestu lat. Przez to, że sprawca nie został wykryty, utrwalił się w pamięci policjantów. Kiedy zadzwoniłem do Jasła porozmawiać o tym zabójstwie, policjant po dwudziestu latach recytował z pamięci wszystkie szczegóły z nim związane. Dodatkowo funkcjonuje wydział wywiadu kryminalnego zajmujący się analizami i statystykami kryminalnymi. Poprosiliśmy o wykaz wszystkich nierozwikłanych zabójstw sprzed trzydziestu lat. Tyle trwa okres przedawnienia. Wcześniejszych, w sensie prawnym nie można ponownie analizować i próbować wznawiać dochodzeń. Wzorem innych komend, np. w Katowicach, postanowiliśmy brać wszystkie sprawy po kolei. Od najstarszej po coraz nowsze. Czytamy akta i analizujemy, która ze spraw zawiera coś, co może być dla nas światełkiem w tunelu. Robiliśmy wstępną analizę każdej z nich. Do 2001 roku zebrało się ich czterdzieści trzy. Wychodzi po dwa zabójstwa na rok na całe województwo. Okazało się, że wykrywalność w naszym województwie wynosiła grubo ponad 90 proc. W kilku sprawach sprawca został wykryty, ale po roku, czego nie uwzględniała już statystyka wywiadu kryminalnego. Po wstępnych analizach dochodziliśmy wspólnie do wniosku, że warto usiąść nad konkretną sprawą, jak to mówią policjanci, wziąć ją na tapetę. Wiąże się to z badaniem śladów, przesłuchaniem dodatkowych świadków, z szukaniem nowych okoliczności.

Jakie dowody liczą się najbardziej w prokuraturze?

Głównym elementem, dzięki któremu można cokolwiek udowodnić, jest ponowne zbadanie śladów, zwłaszcza biologicznych. Dwadzieścia lat temu i wcześniej, nie analizowano ich. Opracowywano je w znacznie mniejszym zakresie. Nie znano DNA i nie wykorzystywano jego śladów w śledztwach. Sprawa, którą się zająłem, jest jednak przykładem modelowym, jak istotne są tego typu ślady: krew, włosy, ślina, sperma, jakakolwiek inna wydzielina czy naskórek. Teoretycznie, jeśli czegoś dotykamy, zostawiamy odciski palców. Czym są? Cienką warstwą potu i naszych komórek skóry. Jeśli mamy dobry aparat, który zbada tę cienką warstwę, jest szansa wyodrębnienia z niej naszego DNA. Wszystko jest tylko kwestią jakości sprzętu, jakim dysponujemy, i dokładności, z jaką zostały zabezpieczone ślady. Teoretycznie jedna komórka wystarczy, by określić nasze DNA. Robiliśmy takie badanie, niestety, zawsze ze skutkiem negatywnym. Mniej więcej piętnaście lat temu mieliśmy serię napadów na plebanie i osoby samotne. Z reguły księża w wioskach są samotni. *Modus operandi* był zawsze ten sam. W nocy, najczęściej przez okno, sprawca wskakiwał do pomieszczenia i atakował śpiącą osobę. Krępował ją taśmą samoprzylepną. Tu było *clou* sprawy. Owijał nią ręce, nogi, niekiedy twarz, jeśli ofiara krzyczała i zachowywała się agresywnie. Jeśli sprawca robił to gołymi rękami, była spora szansa, że zostawił jakiś ślad, jeśli nie linie papilarne, to ślady biologiczne. Nawet jeżeli pracował w rękawiczkach, to kupując tę taśmę, biorąc ją do ręki i niosąc ze sobą, mógł zostawić ślady biologiczne. Dlatego zabezpieczaliśmy taśmy krępujące z miejsca zdarzenia. W laboratorium je rozklejano, ponieważ chcąc kogoś unieruchomić, trzeba wielokrotnie nawijać warstwy na rękę. Wówczas sprawca mógł ich dotykać. Istniała możliwość, że między tymi warstwami zachowały się jakieś komórki, po których dojdziemy do kodu DNA. To był klucz. Mimo kilkunastu takich spraw, które przewalutowaliśmy, nie udało się nikogo zidentyfikować. Jednak w toku postępowania, na podstawie innych materiałów dowodowych zostali ustaleni dwaj sprawcy. Działali w większej grupie, nie mamy cienia wątpliwości. To była roczna gigantyczna praca do wykonania, składało się na nią mnóstwo czynności, jednak nie udało się nikomu postawić zarzutów.

Istnieje zatem zbrodnia doskonała.

W zależności, jak ją rozumiemy, wielu ludzi uważa, że istnieje. Jeśli jest to jedynie zbrodnia niewykryta, to takich przypadków było i będzie mnóstwo. Jednak o prawdziwej zbrodni doskonałej możemy mówić wówczas, gdy wiemy, kto ją popełnił, ale nie sposób tego udowodnić. Na tym polega ta doskonałość. Taka sytuacja jest przede wszystkim porażką wymiaru prokuratorskiego i policyjnego. Tak czy inaczej, postęp w metodach pracy śledczych jest olbrzymi. Dziś z niewielkiej ilości jakiegokolwiek śladu biologicznego jesteśmy w stanie określić DNA i znaleźć człowieka. Dawniej grupowo badano krew. Na przykład z badania wychodziło, że sprawca ma grupę A. Niestety, pół naszego wydziału może mieć taką grupę krwi. Taka informacja nic nie daje. Badania DNA natomiast wskazują jednego, konkretnego człowieka. Prawdopodobieństwo, że istnieje druga taka osoba, określa się w liczbach wielokrotnie przewyższających populację całej planety. Daje to nam stuprocentową pewność. Sądy także kwalifikują takie ślady bez żadnych wątpliwości. Przykładowo: na miejscu zbrodni ujawnimy DNA, które nie należy do ofiary ani jej rodziny. Z pewnym prawdopodobieństwem możemy sugerować, że jest to DNA sprawcy. Mógł skaleczyć się, wybijając okno, i zostawił trochę krwi. Na tej podstawie określamy DNA. Ono od razu wędruje do bazy GENOM. Po pięciu czy dziesięciu latach, jeżeli ta osoba popełni jakieś inne przestępstwo, będzie pobrane od niej DNA i jej kod zostanie porównany z tym, co jest zarejestrowane w systemie. Jeśli GENOM pokaże zbieżność z jakimś starym śladem, mamy całkowitą pewność, że ten człowiek był na miejscu przestępstwa.

Jednak większość społeczeństwa jest nienotowana w bazie GENOM.

Oczywiście. Jednak pracując nad sprawą, określamy pewien krąg ludzi, którzy mogą być w nią zamieszani. Wówczas, gdy chcemy zdobyć dowody, możemy pobrać DNA od tych osób, by porównać je z zabezpieczonym na miejscu zbrodni. Mamy nawet na tapecie taką sprawę. W Rzeszowie zabito złotnika. Niedaleko stąd. Gdy ta sprawa była w toku, pojawiała się mnóstwo domysłów. Jak zwykle. Czy żona miała kochankę, czy prowadził lewe interesy, miał jakieś podejrzone kontakty; może to ktoś, kto pracował wcześniej w tym zakładzie? Jest w tej historii jakiś szemrany typ. Może to on kogoś nasłał? Czytając te akta, wiemy, że była grupa osób „macanych”, czyli namierzanych. Rekrutowali się z Dębicy, znano ich w światku

przestępczym. Przyjeżdżali wtedy w interesach do Rzeszowa. Mamy plan, że wcześniej czy później dotrzemy do nich, by pobrać DNA. Będą to albo wymazy zdobyte w sposób formalno-prawny, bądź nieoficjalny. W drugim przypadku zabezpiecza się szczoteczkę do zębów lub szklanekę, z której klient pił. Robi się to po to, by tego człowieka wyeliminować z kręgu podejrzanych lub potwierdzić jego tożsamość.

Które z metod, mimo wielkiego postępu technologicznego, nie zmieniły się w waszej pracy?

Podstawą są skrupulatność i logiczne myślenie. Ważną składową jest też szczęście. Czasem szczęśliwy traf sprawia, że następuje przełom albo w niecodzienny sposób kojarzy się ze sobą poszlaki dające upragnione rozwiązanie. Z formalnych metod nie zmieniły się na pewno metody ujawniania śladów linii papilarnych, odkąd weszły do użycia na początku XX wieku. Można nawet zrobić sztuczkę ze szkoły policyjnej. Jeśli wysypie się popiół z papierosa na jakąś powierzchnię, na której znajduje się odcisk palca, spalony tytoń przyklei się do potu i wtedy można domniemywać, że ktoś tej powierzchni dotykał. Tworzy się natychmiast charakterystyczny kształt linii papilarnych. Do profesjonalnego zabezpieczenia śladów są odpowiednie proszki i pędzelki z piór z marabuta. Proszek, którym zasypuje się ślady, ujawnia odciski palców. Folią przylepną zdejmuje się te ślady i nakleja na nią drugą warstwę, by je zabezpieczyć. Jeśli są dobrze zabezpieczone, mogą przetrwać lata. Dziś te odciski skanuje się i umieszcza w bazie danych AFIS, która istnieje od 2002 roku. Każdy policjant w wypadku zabezpieczenia śladów ma obowiązek sprawdzać je i rejestrować w tym systemie.

W którym momencie dochodzenia policjanci popełniają najwięcej błędów?

Z mojego wieloletniego doświadczenia wynika, że najwięcej błędów robi się na miejscu zdarzenia, w trakcie oględzin. Dzieje się tak z różnych powodów. Pierwszy: morderstwo, pobicie czy gwałt gromadzi mnóstwo gapiów. Trzeba ich odgrodzić. Niestety, pojawia się także wielu ludzi ze strony policyjnej, prokuratorskiej i sądowej absolutnie niepotrzebnych na miejscu oględzin. Każdy dodatkowy człowiek zdeptuje ślady. Klasycznym przykładem jest sytuacja, gdy przyjeżdża naczelnik danego wydziału lub

komendant, jeśli dzieje się to w mniejszej miejscowości. Uważa prawdopodobnie, że jego obecność jest niezbędna. Pojawiają się też dziennikarze, a czasem członkowie rodziny ofiary. Głównym zadaniem skromnej ekipy, czyli technika, dochodzeniowca i prokuratora, jest opisanie wszystkiego i dokonanie drobiazgowych oględzin. Niestety, sporo czasu zajmuje jej odsunięcie wszystkich ludzi. Jest taka chęć, żeby zobaczyć, jak wyglądają ludzkie zwłoki. Według mnie filmy i seriale jeszcze ją utrwalają. Pokazują tłum ludzi dyskutujących ze sobą i w kilkanaście minut zabezpieczających miejsce zbrodni. W rzeczywistości powinno wyglądać to tak, że dom, ogród czy budynek zostają zabezpieczone taśmą policyjną i nikt nie prawa przez nią przejść, aż do momentu gdy zespół, metr po metrze, nie skończy swojej roboty. Jeśli jest potrzebny lekarz medycyny sądowej, który musi się wypowiedzieć na miejscu, bo ekipa ma pewne wątpliwości, policjant przywozi go na konsultację. On robi swoje i dziękuje. Niestety, to wszystko jest marzeniem ściętej głowy. Nigdy nie widziałem tak przeprowadzonych oględzin, a brałem w nich udział setki razy. Zawsze był przemieszczający się tłum, w którym próbowałem coś zapisać, dochodząc do ładu z technikiem. Stąd się biorą błędy.

Dlaczego nie można tego zmienić?

Teoretycznie można. Została opracowana procedura działania przy oględzinach na miejscu zbrodni, ale ona nie funkcjonuje. Niestety, ciągle nie potrafimy egzekwować od ludzi posłuszeństwa. Policja jest instytucją zhierarchizowaną. Jeśli jako młody podinspektor z małego miasteczka pracuję na miejscu morderstwa, zabezpieczam ślady, robię oględziny, generalnie świetnie daję sobie radę, nie mogę przegonić starszego oficera, który zdeptuje ślady. On właśnie przyjechał z komendy wojewódzkiej, bo został wezwany na ważne wydarzenie w terenie. Takiej bariery nie da się przeskoczyć. Identyczna sytuacja występuje wtedy, gdy pojawia się komendant.

Gdybyśmy mieli pisać podręcznik przestępcy, zaczęlibyśmy od...

Zrób wszystko, żeby nagłośnić sprawę. Wówczas tłum pojawi się sam. Broń Boże, nie morduj w nocy, bo do rana nikt nie będzie o niczym wiedział, a w tym czasie policja robi eleganckie oględziny. Przyjedzie tylko straż pożarna, oświetlając teren specjalistycznym sprzętem. Nie ma

osób postronnych. Wszystko zostało opisane i sfotografowane. Następnego dnia zaczyna robić się szum, ale śledztwo już trwa.

Ile spraw jednocześnie prowadzicie w Archiwum X?

Staramy się zajmować jedną sprawą. Żyjemy nią cały czas. Stare sprawy są bardzo złożone, wielowątkowe, mają po kilka tomów akt. Dlatego, żeby się w nie wgryźć, nie można myśleć o kilku naraz. Bywa tak, że jeśli rozpracujemy daną sprawę i poczynimy pewne kroki, zlecając np. badania, które mogą trwać nawet kilka miesięcy, bierzemy kolejną, by zacząć nowe dochodzenie. Przesłuchujemy świadków i szukamy nowych okoliczności.

Jak ważne są zeznania świadków czy podejrzanych?

Musimy rozróżnić podejrzanego od podejrzewanego. Podejrzan to osoba z zarzutami postawionymi na piśmie i przesłuchana. Natomiast podejrzewany jest kimś, kogo policjant typuje jako człowieka, który mógł się dopuścić przestępstwa. Mieliliśmy sprawę, w której podejrzewaliśmy męża, że zabił żonę. Wszystko na to wskazywało. W takiej sytuacji kluczowe może być przesłuchanie. Kiedy po dziesięciu latach podejrzewany zostaje wezwany na komendę lub kiedy wpadamy do niego domu, mamy pewną przewagę. On o sprawie zapomniał albo starał się ją wyprzeć. Jest kompletnie nieprzygotowany mentalnie do rozmowy z nami. Jeśli jeszcze dysponujemy jakimś nowym dowodem, możemy go przygwoździć. W pewnej sprawie zabójstwa po latach wrzucono do bazy AFIS ślady zabezpieczone na miejscu zbrodni. System je przeanalizował i wytypował faceta. Nazwisko, adres, wszystko na tacy. Skąd się wziął w danych AFIS? Wiele lat później po tym morderstwie popełnił jakieś drobne przestępstwo. Były wówczas takie przepisy, że daktyloskopowano wszystkich. Prawem i obowiązkiem policji było pobranie odcisków palców od każdej osoby, która popełniła jakieś przestępstwo. Wiele osób się buntowało, bo dlaczego, jeśli spowodowałem wypadek albo podrobiłem dowód osobisty, muszę zostawiać odciski. Jednak w ten sposób do AFIS-u płynęła rzeka nowych danych. W niej odnalazł się poszukiwany zabójca. Policjanci od razu w ciemno ruszyli zatrzymać klienta. Klasyczna sytuacja: Puk, puk! „Kto tam?”, „Policja, otwierać!”. Co się okazało. Za drzwiami stał facet, który ucieszył się na widok policjantów. Przywitał ich stwierdzeniem, że czekał na nich od wielu lat, spakowany do aresztu jak

kobieta do porodu. Walizka stała w przedpokoju. Zabił. Cały czas to w nim siedziało. Normalny facet. Okoliczności były takie: młody, przystojny gość idzie sobie po centrum miasta, podrywa go starszy człowiek. Okazuje się, że homoseksualista. Gadka-szmatka, kij, parasol. Zaprosił go do siebie, do domu. Na miejscu zdarzenia były szklanki po kawie, kieliszki po alkoholu i trup. Otóż podczas rozmowy ten starszy mężczyzna wykonał gest, do którego sprawca nie był przyzwyczajony. Dotykał go po kolanie, objął. Wszystko to było na tyle erotyczne i tak nie do zaakceptowania, że facet chwycił pierwszą lepszą rzecz, jaką miał po ręką, by się bronić. Był to, niestety, nóż, którym kroili chleb na kanapki. Zadał jeden cios. Wystarczyło, by zabić na miejscu. Przestraszył się i uciekł. Ślad linii papilarnych zabezpieczony na miejscu zabójstwa pochodził z trzonka noża. Nie miał prawa się wyprzeć. Typowy amator. Zawodowy przestępca pozbyłby się tych śladów, on jednak spanikował. Przez wszystkie lata żył w przeświadczeniu, że policja wcześniej czy później przyjdzie po niego. I tak się stało.

Czy sumienie demaskuje ludzi?

Każdy je ma, ale niewątpliwie wycisza się po jakimś czasie. Po kilkunastu latach emocje są coraz słabsze. Jeśli nagle pojawia się policja, można liczyć na to, że człowiek pęknie i powie, co się stało.

Od czego zaczynacie pracę nad starymi sprawami?

Praca w Archiwum X polega głównie na czytaniu i wyciąganiu wniosków z akt. Wertowane są wielokrotnie, by zrozumieć tysiące detali. Główną i nadrzędną zasadą kompletowania akt była zawsze chronologia, przynajmniej w aktach Archiwum X dotyczących starych spraw, bo teraz próbuje się zmienić tę zasadę. Taka reguła obowiązywała dziesiątki lat. Pierwszą stroną każdej teczki akt jest notatka policjanta, który był pierwszy na miejscu. Dzieje się to tak: ktoś dzwoni do dyżurnego komendy, żeby zgłosić znalezienie zwłok; dyżurny wzywa patrol, by pojechał na miejsce sprawdzić, co się dzieje. „74/12, zgłoś się.” Zgłasza się. „Jedź na miejsce.” Policjant z tego radiowozu jest pierwszą osobą opisującą miejsce: „Pełniąc służbę patrolową w patrolu zmotoryzowanym w dniu..., na polecenie dyżurnego o godzinie... udałem się do mieszkania w..., gdzie stwierdziłem: przed mieszkaniem stał... który jest sąsiadem... Poinformował mnie, że

pukał do drzwi, chcąc odwiedzić sąsiada. Zorientował się, że drzwi są otwarte, wszedł do mieszkania. W przedpokoju znalazł zwłoki leżące w kałuży krwi. Wszedłem do mieszkania wraz z sierżantem... i stwierdziłem, że rzeczywiście w przedpokoju leżą zwłoki”. Patrol natychmiast kontaktuje się z dyżurnym, żeby potwierdzić, że prawdopodobnie doszło do zabójstwa. Dyżurny powiadamia ekipę. Zadaniem patrolu jest zabezpieczyć to miejsce, by nie dopuścić postronnych ludzi i ustalić świadków. Przede wszystkim tego, który zgłaszał. Trzeba sprecyzować, co widział, kim jest i czy ktoś mógł jeszcze coś zauważyć. Ta wiedza może okazać się kluczowa, ponieważ nieraz świadek spostrzega coś ważnego. Jeśli ten pierwszy policjant to wszystko ustali, powiadamia dyżurnego, by uruchomić inne siły do szukania osoby opisanej przez świadka. Im więcej przekaże na gorąco, czyli jak ten ktoś mógł być ubrany, czy jechał samochodem i jakim, tym efekty możemy mieć lepsze. Każdy dyżurny ma check listę, by optymalizować pierwsze czynności. Ma także do dyspozycji dyżurnego z dochodzeniówki, czyli oficera dochodzeniowo-śledczego, który będzie robił oględziny na miejscu i zbierał ślady z prokuratorem i technikiem. On jest pod telefonem, czekając na takie właśnie poważne zdarzenia. Dochodzeniowiec spisuje wszystkie ślady, które ujawniono, prowadzi notki i wszystko fotografuje. Jednocześnie policjanci z wydziału kryminalnego powinni gromadzić maksymalnie dużo informacji na miejscu zdarzenia: kto jest sąsiadem, czy ktoś coś widział. Nie jutro, tylko natychmiast, po zgłoszeniu. Jeśli to noc, trzeba ludzi obudzić i obszernie przepyttać. Ustala się, kto ostatni widział ofiarę żywą, kiedy i gdzie. Jeśli wiemy, że ktoś widział ją o 21.00, drąży się dalej. Może ktoś widział ją później. Dalej sprawdza się, czy świadkowie mieszkający obok byli wówczas u siebie, kogo nie było i gdzie wówczas przebywał. Maksymalna ilość danych. Uważam, że możliwie jak najwięcej policjantów powinno pracować przez pierwszych kilka godzin. Kryminalni szarpią gorący ślad. To są psy, które od razu węszą. Tego samego dnia, po zakończeniu czynności policjanci dochodzeniowi i kryminalni spotykają się w komendzie i wymieniają informacjami. Przykładowo: dochodzeniowiec mówi, że na miejscu odnaleziono psa zabitego siekierą. Kryminalni muszą szukać tej siekiery, rozmawiając ze świadkami. „Jeśli zobaczycie gdzieś niedużą siekierę, siadajcie od razu klientowi na łeb”. Dostarczają kolejnych tropów. Jeśli ktoś widział zielony sportowy samochód, wysyłany jest nakaz

zatrzymania takiego auta w okolicy. Zwykle naczelnik dochodzeniówki jest natychmiast informowany o zabójstwie i to on ściąga z domu, bo zwykle nie ma tylu policjantów w komendzie, dodatkowe osoby, które przelewają na papier to, co zostało ustalone na miejscu. Na przykład świadek Y widział samochód. Dlatego albo trzeba zawieźć go do komendy, albo pojechać do niego do domu i na spokojnie, po godzinie albo dwóch od tych wydarzeń spisać zeznania. Dochodzeniowcy siedzą i notują wszystkie okoliczności i zeznania, a kryminalny węszy i biega dalej. Jeśli pojawia się coś nowego, natychmiast następuje wymiana tych informacji. Pamiętam takie zabójstwo z Sanoka. Dałbym głowę, bo byłem na miejscu, że facet został pchnięty nożem. Miał ranę ciętą w okolicach szyi. Pewnie jakaś kłótnia i bójka na noże. W mieście jest kładka. Świadców widzieli, że kilku mężczyzn nią przechodziło, a na dole doszło do awantury. Tam zostały znalezione zwłoki. Przyszedł lekarz, dokładnie obejrzał ciało i zabrał do prosektorium. Kiedy je rozebrał na sekcji, zadzwonił do nas z wiadomością, że ofiara na pewno nie zginęła od noża, tylko okutych butów. Ktoś skopał ją glanami. Skóra pękła od tych uderzeń. Na podstawie wewnętrznych wybroczyn lekarz określił więc inną przyczynę zgonu. Natychmiast zmieniło to postać rzeczy. Szukaliśmy młodych ludzi w takich ciężkich butach. Rozpracowywaliśmy środowisko w Sanoku. Kto kogo zna. Ustalaliśmy, kto był wczoraj w glanach. Tak szuka się sprawcy na podstawie gorącego tropu. Protokół oględzin miejsca zdarzenia może liczyć od kilkunastu do kilkuset stron. Jeśli sprawca gonił ofiarę i zadawał jej ciosy, każdy centymetr tego miejsca musimy zbadać. Czynności te są żmudne i czasochłonne. Jednak może się to potem okazać niezmiernie ważne.

W jakiej kolejności przegląda się akta dawnych spraw?

Pierwszy dokument to protokół oględzin. Z niego wynika, co odkryto, jakie ślady zabezpieczono. W następnej kolejności zapis: kto, co i gdzie zrobił. Dokumenty wskazują, które ślady nadają się do powtórnej ekspertyzy, a które już nie, oraz które ślady pochodzą od osób niedaktyloskopowanych, ale kwalifikują się do identyfikacji. Mogą się przydać rzeczy zabezpieczone w trakcie przeszukania podczas pierwszego dochodzenia lub te, które zabezpieczyło prosektorium bezpośrednio od ofiary. Po ekspertyzach określamy, co nadaje się do kolejnych analiz. Poza tym ważne jest, gdzie zostały zabezpieczone ślady. Czym innym będą ślady zabezpieczone

w bezpośrednim otoczeniu ofiary, a czym innym te zdjęte np. w drugim pokoju. Być może sprawca szedł i oparł się o te drzwi, ale nie świadczy to o tym, że przebywał w pomieszczeniu, gdzie dokonano zabójstwa. Jeśli są to ślady na nożu, którym dokonano morderstwa, waga tych śladów jest kluczowa. Podobnie kwestia odcisków linii papilarnych wewnątrz mieszkania i na zewnątrz drzwi wejściowych. Sprawca może się tłumaczyć, że nie wchodził do środka, tylko przechodząc obok, kiedyś przypadkiem dotknął tych drzwi. W analizie każdy szczegół musi być uwzględniony, w tym rodzaj śladu i to, gdzie został zabezpieczony. Powołuje się także biegłych, a my później uważnie wczytujemy się w ich opinie. Na przykład na folii są zabezpieczone trzy ślady A, B i C. Ślad A został zidentyfikowany jako palec gospodyni domowej, która tam pracowała i zostawiła mnóstwo swoich śladów. B jest niewyraźny i nie można go zakwalifikować, a C jest NN, czyli nadaje się do badań, ma cechy, ale nie wiadomo, do kogo należy. Natychmiast sobie zaznaczam taki ślad, bo jest on interesujący. Po przeanalizowaniu tych śladów ten nieznany od razu wysyłam do AFIS-u, by spróbować go zidentyfikować. Może właściciel tego śladu przez lata coś przeszkrobał i zabezpieczono jego daktyloskopię. Wówczas możemy mieć HIT-a. Trafienie i pełną identyfikację. Może okazać się też tak, że ten odcisk pozostanie wciąż NN, ale będzie ujawniony w innej sprawie, np. zabójstwa w Łodzi, co może pozwolić nam określić, kim jest ta osoba. Daje to bowiem olbrzymie możliwości analizowania i porównywania.

Co z zeznaniami świadków?

Czytamy je po wielokroć. Z reguły, kiedy człowiek przeczyta je pierwszy raz, ma zaledwie ogólne pojęcie. Jednak trzeba wgryzać się głębiej. Czytając kolejny raz i jeszcze kolejny, coś może wydać się podejrzanym, może pojawić się jakaś nieregularność, nieścisłość. Świadek mówi, że wychodzi o godzinie 12.00, a w drugim tomie, będąc dosłuchiwany, zeznaje, że była to godzina 17.00. Szukamy więc tego człowieka, sprawdzamy, czy żyje i, jeśli trzeba, jedziemy do niego. Każda strona tomów akt jest przez nas sprawdzana. Weryfikujemy, co się stało z rzeczami, które zostały skradzione z mieszkania ofiary itd.

Wyobrażałem sobie, że wasz pokój pracy jest obwieszony zdjęciami, notatkami i ekspertyzami, a wy – jak na filmach – przechadzanie się

pośród nich, szukając rozwiązania zagadki.

Rzeczywistość jest inna. Mamy do dyspozycji jeden pokój, który jak widać, wygląda skromnie. Obraz wiszący na ścianie przyniosłem z domu, bo dostała go w prezencie moja żona, ale stwierdziła, że nie będzie wisiał u nas... Kalendarz jest służbowy. Nie wiem tylko, kto przyniósł tę gołą babę. Nie pracujemy w sposób, jaki pan przedstawił, choć prawdopodobnie coś takiego przydałoby się do wizualizowania szczegółów. Ale nie mamy na to warunków.

Na czym polega przełom w starych sprawach?

Nigdy mi się nie zdarzyło, że oto nagle poskładaliśmy elementy układanki i utworzył się wzór, dzięki któremu zatrzymaliśmy sprawcę. Ciągłe powtarzam kolegom, że możemy liczyć jedynie na łut szczęścia. W innych sprawach ktoś krzyknie: „Bingo, teraz mamy gościa!”. My takiej przygody nie mieliśmy. Sprawę z Jasła wyrzeźbiliśmy centymetr po centymetrze. Nie towarzyszyło nam wewnętrzne przekonanie, że oto ta konkretna osoba może być sprawcą. To przeczucie wynika z naszego doświadczenia, a przede wszystkim z mikroelementów sprawy, których nie można nazwać dowodami, ale są bardzo poważnymi poszlakami. Niestety, prokurator na podstawie takich poszlak nie zdecyduje się pójść z do sądu.

Policjant zabiera ze sobą pracę do domu?

Kiedy byłem młody i działałem w dochodzeniówce, budziłem się w nocy i myślałem o terminach i o wszystkim, co mam jeszcze do zrobienia, albo o tym, że kogoś źle przesłuchałem. Niestety, zabieranie pracy ze sobą do domu grozi utratą zdrowia. Mnie drżały ręce. Nie ma to związku z alkoholem, tylko wynikało z przemęczenia. Zaczynając w dochodzeniówce na początku lat dziewięćdziesiątych, waliło się w klawisze maszyny do pisania, co było ciężką pracą fizyczną. Dziś mamy funkcje: „kopiuj” i „wklej”. Wiele fragmentów prowadzonej dokumentacji było potworną zmorą. Pisząc postanowienie o umorzeniu, trzeba było je uzasadnić. Jeśli po czterech stronach tekstu w czymś się pomyliliśmy, robota zaczynała się od początku. Siedząc cały dzień przy maszynie i przesłuchując po piętnaście osób, byliśmy zwyczajnie przemęczeni. Policjanci w dochodzeniówce cały czas żyli sprawami, także w domu. W tym okresie urodziły mi się dwie córki. Kiedy podrosły, nauczyły się

czytać i pisać. Byłem wówczas zawałony robotą, dlatego zabierałem akta do domu, bo nie wyrabiałem się w komendzie. Taką mieliśmy biurokrację. Kiedyś zostałem wezwany na policję. Podjęto starą sprawę w miejskiej komendzie i zadzwonił kolega, żebym przyszedł, bo chcieli przesłuchać mnie jako świadka. Chodziło o prowadzone przeze mnie dawne dochodzenie. Wysły nowe okoliczności dotyczące kradzieży samochodu i policjanci musieli mnie dopytać o jakieś dowody, które zabezpieczyłem. Wziąłem te akta do ręki. Chciałem przypomnieć sobie, w czym rzecz. Kiedy spojrzałem na numery stron, zobaczyłem, że te numerki na dole są napisane przez moje dzieci. Dawałem córkom akta, żeby ponumerowały strony, bo się nie wyrabiałem, a one uwielbiały to robić. Policjant w dochodzeniówce produkuje przede wszystkim tony dokumentów. Jest też coś takiego, co można nazwać skrzywieniem zawodowym. Kiedy idąc ulicą, widzę przykładowo samochód z obcą rejestracją, zapamiętuję ją lub zapisuję. Jesteśmy na pewno bardziej spostrzegawczy niż przeciętni obywatele. Widzę to w swoim codziennym życiu, kiedy nikt nie zauważa rzeczy, które dla mnie są aż nazbyt widoczne. Nie jest to jednak jakieś wielkie utrudnienie. O wiele gorzej wspominam inne rzeczy. Chodzi mi o pierwsze zwłoki, które widziałem. Facet leżał na chodniku. Została wezwana policja, ponieważ okoliczności były dosyć dziwne. Młody człowiek leżał bez widocznych obrażeń. Była to peryferyjna dzielnica. Czynności trwały dość długo, bo czeka się zawsze na „zimne pogotowie”, czyli tych, co wożą zwłoki. Miałem czas, żeby się im przyjrzeć i dobrze wszystko opisać w protokole oględzin. Nie wiem dlaczego, ale nabrałem dziwnego odruchu, jakiejś negacji. Wynikała stąd, że ofiara miała identyczną koszulę jak ta, w której sam często chodziłem. Kiedy przyjechałem do domu, wyjąłem ją z szafy i wyrzuciłem.

Kto szybko odpada, bo nie nadaje się do tej roboty?

Weryfikacja następuje błyskawicznie. W odczuciu społecznym zawód dochodzeniowca jest najważniejszy w pracy policji. U nas jednak uważa się, że to zesłanie, bo tylko przygłup decydowałby się na taką ciężką robotę. Żaden inny wydział nie pracuje całą dobę. Nie da się nawet wziąć pełnego urlopu, który przysługuje, bo jeśli wydarzyło się coś, co zaabsorbowało cały wydział, trzeba wracać z wakacji do pracy. Bywają w firmie ludzie, którym zdarza się podpaść przez nieeleganckie zachowanie. Wtedy

naczelnicy dają wybór: albo piszesz wniosek o zwolnienie, albo idziesz do dochodzeniówki. Wiedzą, jaka jest tu harówka. Zdarzały się dni, że przychodziłem do domu, siadałem do obiadu, żeby złapać oddech, a już dzwonił telefon i trzeba było znów lecieć do pracy. Nie chcę nawet mówić, ile razy byliśmy zwracani sprzed drzwi domu, kiedy wydawało się, że na dziś skończyliśmy. Praca w wydziale dochodzeniowym daje dużą satysfakcję, ale wymaga determinacji, samozaparć i pracowitości.

Czy ta praca skazuje na samotność? Chyba trudno wytrzymać z kimś, kogo ciągle nie ma. Nie wiadomo kiedy wróci, co robi. A kiedy już jest, ma tylko ochotę położyć się i odpocząć.

Która żona wytrzyma, gdy dzwoniąc, pyta męża, o której wróci i co robi, a w odpowiedzi słyszy: nie wiem i nie mogę ci powiedzieć. Podobno w naszym zawodzie wskaźnik rozwodów jest wyższy niż w środowisku dziennikarzy czy aktorów. Prawdopodobnie tak jest. Ten zawód może częstokroć burzyć życie rodzinne.

Archiwum X to zwieńczenie całego pańskiego dorobku?

Dla mnie tak. Jest to pewne ukoronowanie wszystkiego, co do tej pory robiłem. Tutaj mogę wykazać się wiedzą i doświadczeniem. Niejednokrotnie byłem na miejscu zdarzenia, dlatego zaznajamianie się ze sprawami, których nie prowadziłem wcześniej, nie utrudnia mi pracy, a wręcz pozwala mieć właściwą perspektywę. To pasjonująca gra z aktami i przede wszystkim z historią, bo sprawy są leciwe. Bardzo mi to zajęcie odpowiada. Jedynym dyskomfortem jest brak sukcesów. Można powiedzieć, że tu tkwi haczyk. Mając szczęście, może się zdarzyć, że trafi się na kilka drobnych spraw, które uda się rozwikłać w jednym roku. Są jednak takie, przy których niesamowicie mozolnie rzeźbimy, dokładając wszelkich starań. Nie możemy pochwalić się spektakularnym sukcesem, że oto zapukaliśmy do kogoś o szóstej rano i drzwi otworzył nam sprawca. Mamy często przeświadczenie co do pewnych osób, ale brakuje dowodów, że jest to poszukiwany przez nas przestępca. Bezsilność w kwestii udowodnienia winy jest, niestety, także elementem tej pracy. Jednak zawsze wierzymy w to, że sprawca zrobi błąd, pęknie lub zdarzy się coś, co pomoże nam go ująć. Zawsze trzeba na to liczyć, tak zresztą zwykle dzieje się w życiu. Wyczulam młodszych kolegów na jeszcze jedną ważną rzecz.

Otóż czasem bywa, że policjanci spotykają się wspólnie i rozmawiają na temat jakiejś sprawy. Niestety, to wszystko jest policyjnym pieprzeniem. Ścigamy się w tworzeniu jakichś dziwnych teorii, kto mógł coś zrobić lub gdzie mógł pojechać itd. Trzeba wszystko pracowicie posprawdzać. Każdy szczegół. Wtedy możemy się spotkać znowu i mamy konkrety. Kawa na ławę. Policja musi pracować na faktach, żeby potem z czystym sumieniem móc powiedzieć: „Tak. Kupił bilet do Dębicy i był widziany w kasie przed północą”. Ważne, by eliminować ślepe ścieżki i okoliczności, z których nic nie wynika.



ŁÓDŹ
– SERIA ZABÓJSTW
HOMOSEKSUALISTÓW



To pierwsza tak duża sprawa, z jaką zetknąłem się w Archiwum X, i jedyna, której mimo wielu lat starań nie udało się wyjaśnić.

1988 rok

Wczesnym popołudniem 23 września około godziny 15.00 Iwona Starska poinformowała KRP Łódź Górna o wydobywających się z mieszkania sąsiada zapachach gazu i rozkładających się zwłok. Drzwi były zamknięte. Dzięki pomocy straży pożarnej ekipa dochodzeniowo-śledcza weszła przez okno. Na podłodze pod przewróconą częścią segmentu meblowego leżały zwłoki właściciela lokalu, Grzegorza Mordeckiego (trzydzieści siedem lat). Był ubrany. Nogi miał spętane przewodem elektrycznym, którego koniec zawiązano wokół jego lewej ręki. Gaz ulatniał się, ponieważ odkręcono kurki kuchenki. Mieszkanie splądrowano.

Oględziny zwłok przeprowadzone z udziałem lekarza medycyny sądowej ujawniły na ciele ofiary sześć ran kłutych (trzy klatki piersiowej i trzy na plecach) oraz kilka ran ciętych prawego przedramienia. Sekcja zwłok

wykazała, że bezpośrednią przyczyną zgonu była rana kłuta klatki piersiowej zadana ostrym narzędziem, naruszająca czynność serca.

Według zebranego materiału dowodowego zabójstwa dokonano 19 września (poniedziałek) pomiędzy 19.00–22.00. Zabezpieczono kilkanaście śladów linii papilarnych, ślady krwi i przypuszczalne narzędzie zbrodni: nóż kuchenny Mordeckiego. Skradziono magnetowid JVC, radiomagnetofon produkcji polskiej, aparat fotograficzny Smiena, kasety wideo, złotą biżuterię, sygnety i obrączkę, pieniądze polskie i nieznaczące ilości zagranicznych, męski kozuch oraz płaszcz skóropodobny, dwie torby turystyczne, album z fotografiami i klucze do mieszkania.

Prawdopodobnie motywem zabójstwa był rabunek. Trudno jednak stwierdzić, czy był on konsekwencją morderstwa, czy też zabójstwo było następstwem planowanego rabunku.

Zabity mężczyzna mógł uchodzić za osobę majątną. W przeszłości pracował za granicą, posiadał konto, często wyjeżdżał w celach handlowych. W mieszkaniu miał magnetowid, co w tamtych czasach uchodziło za przejaw luksusu. Niewykluczone, że właśnie on skusił mordercę. Ustalenia oraz posiadane informacje pozwoliły milicji na postawienie trzech hipotez dotyczących sprawcy:

1. Zabójstwa mogła dokonać osoba wywodząca się ze środowisk homoseksualistów mieszkających w Łodzi lub w innym rejonie Polski. Przyczyną konfliktu mogły być nieporozumienia wynikające z zazdrości o innych partnerów lub nieporozumienia wynikające z rozliczeń za świadczone usługi homoseksualne.

2. Zabójstwa mogła także dokonać osoba wywodząca się ze środowiska przestępczego, mieszkająca lub przebywająca w okolicy miejsca zamieszkania ofiary. Ustalono, że w kręgu znajomych Mordeckiego znajdowały się osoby w przeszłości karane za przestępstwa kryminalne, a miejsce, w którym mieszkał denat, charakteryzuje się dużą liczbą odnotowanych przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu.

3. Sprawca mógł wywodzić się ze środowiska osób zajmujących się handlem poza granicami Polski. Ktoś mógł być znany Mordeckiemu i prowadzić z nim interesy. Wiedząc o jego zasobach finansowych oraz planach wyjazdu za granicę, liczył się z możliwością zdobycia dużej gotówki.

Śledczy ustalili, że denat miał liczne kontakty nie tylko wśród homoseksualistów w Łodzi, ale też wśród gejów w całym kraju. Przez jego mieszkanie przewinęło się wiele osób. Odbywały się tam huczne spotkania towarzyskie, głównie homoseksualistów.

Dziesiątego września Grzegorz Mordecki wrócił do domu po kilkudniowym pobycie w szpitalu. W nocy z 17 na 18 z czterema gejami bawił się na przyjęciu urodzinowym Mateusza Kornwalika. Nad ranem wszyscy przenieśli się do mieszkania Mordeckiego. Goście wyszli przed południem. Wtedy też bliski przyjaciel gospodarza, Waldemar, obiecał, że wpadnie do niego z kolegami w poniedziałek wieczorem (19 września). Tego dnia około godz. 14.00 Grzegorz spotkał się z Dariuszem, znajomym z pracy. W restauracji Pod Samowarem omówili wspólny wyjazd na Węgry i ustalili, czym będą handlować za granicą. Rozstali się w okolicach dworca Łódź Fabryczna, skąd Dariusz wrócił do domu w Zduńskiej Woli.

Z zeznań sąsiada wynikało, że o godzinie 19.00 Mordecki opuścił mieszkanie, żeby (jak powiedział panu Romanowi) odwiedzić kuzyna. Poszedł jednak na pikietę przy dworcu Łódź Fabryczna. 40 minut później zjawili się trzej mężczyźni, którzy go szukali. Gdy pan Roman poinformował ich, że Grzegorz wkrótce wróci, zaczęli na niego w bramie. Już będąc u siebie, sąsiad zobaczył przez okno Mordeckiego w towarzystwie dwóch nieznanych mu mężczyzn. Cała szóstka weszła do mieszkania. Ponieważ jedną z osób typowanych na sprawcę zabójstwa był Marcin P., syn siostry żony sąsiada, milicjanci sądzili, że pan Roman celowo gmatwał zeznania, opowiadając o zajściu w bramie, do którego doszło trzy dni wcześniej, a nie w dniu zabójstwa. Niestety, nie zweryfikowali tego w pierwszym śledztwie.

Sąsiadki denata: Janina, Franciszka, Wiktoria i Jadwiga zeznały, że około godziny 19.30 słychać było dobiegające z mieszkania Mordeckiego dziwne odgłosy przypominające przewracanie mebli oraz jęki. Wyszły na klatkę schodową sprawdzić, co się dzieje. Wiktoria widziała rękę cicho zamykającą drzwi do mieszkania Mordeckiego, natomiast Jadwiga zauważyła zbiegającego po pewnym czasie młodego mężczyznę, który mógł wyjść z mieszkania ofiary. Zeznania czterech kobiet jednoznacznie opisywały odgłosy walki pomiędzy Mordeckim a napastnikiem. Jednak z jego mieszkania często dochodziły dziwne hałasy. Sąsiedzi zdążyli do nich przywyknąć, więc nie wzbudziły odpowiedniej w takiej sytuacji

reakcji. Nie ulegało wątpliwości, że Mordecki po spotkaniu w restauracji i rozstaniu z kolegą pod dworcem pozostał tam, starając się „nawiązać kolejny kontakt homoseksualny”. Gdy „poderwał nową zdobycz”, poszedł z mężczyzną lub grupą mężczyzn do swojego mieszkania, gdzie około godziny 19.30 nieznani sprawcy dokonali zabójstwa.

Na podstawie zeznań sąsiadek powstał portret pamięciowy: ***Poszukiwany mężczyzna ma około 30 lat, wzrost 176 cm, włosy jasne blond, czesane do tyłu, kręcone, przypominające trwałą ondulację. Krępa budowa ciała, twarz okrągła, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami.***

Żeby wynieść wszystkie skradzione przedmioty, potrzebne były co najmniej dwie duże torby. Widziany młody mężczyzna nie miał żadnej torby ani innych przedmiotów, czyli po pewnym czasie musiał wrócić do mieszkania po łup. W środku mógł też przebywać drugi sprawca, który zachował zimną krew i to on wyniósł skradzione rzeczy.

Sprawdzono i rozpracowano kilkanaście osób. Większość z nich nie potrafiła podać sensownego alibi, które pozwoliłoby wyeliminować je z kręgu podejrzanych. Przesłuchiwani mieli motyw, bywali w domu Mordeckiego i przypominali mężczyznę z rysopisu.

Pierwszym podejrzanym był Maciej Z. Ze współnikami dokonywał napadów rabunkowych na homoseksualistów. Odpowiadał wyglądem portretowi pamięciowemu i miał kontakty w środowisku gejowskim. Ofiarę znał z widzenia. Prawdopodobnie wiedział, gdzie mieszka. Milicjanci udowodnili mu się szereg przestępstw kryminalnych, nie udało im się jednak zgromadzić dowodów, że zabił Mordeckiego.

Na podstawie ustaleń operacyjnych zebranych w toku śledztwa wytypowano nowego podejrzanego. Był nim Jan B. Wyglądem bardzo przypominał sprawcę. Kilkakrotnie odwiedził denata. Podczas jednej z wizyt ukradł mu kurtkę. Dziesięć dni przed zabójstwem wynajął mieszkanie w okolicach dworca Łódź Fabryczna, miejsca, gdzie morderca spotkał ofiarę. Nie miał wiarygodnego alibi. Chociaż nie udowodniono mu związku z zabójstwem, nie został jednoznacznie wyeliminowany z kręgu potencjalnych sprawców.

Kolejnym podejrzanym okazał się Waław S. Jego odciski palców zabezpieczono w mieszkaniu Mordeckiego. Znał go i odwiedził dwa dni przed śmiercią. Był z nim umówiony w dniu zabójstwa, ale na spotkaniu się nie pojawił. Do wieczora przebywał w mieszkaniu swojej ciotki, potem

poszedł na spacer. Do domu wrócił około 21.00. Nie miał alibi na czas zabójstwa. Podczas okazania został wskazany jako osoba bardzo podobna do mężczyzny zbiegającego po schodach.

W kręgu podejrzanych znalazł się też Jakub W. Miał kontakty w środowisku gejowskim. Identycznie jak w poprzednich przypadkach znał z widzenia ofiarę, najprawdopodobniej wiedział, gdzie mieszka. Dokonywał napadów rabunkowych na osoby homoseksualne. Udowodniono mu napaści w innych częściach kraju. Nie zebrano jednak dowodów potwierdzających jego udział w zabójstwie Grzegorza Mordeckiego.

Rozpracowując środowisko gejowskie, korzystano z informatorów. Uzyskane wiadomości sukcesywnie sprawdzano i w miarę możliwości weryfikowano. Wykorzystana została także prowokacja. Na rynkach, targowiskach i w innych miejscach nielegalnego zbytu milicjanci szukali rzeczy skradzionych z mieszkania Mordeckiego. Nie udało się uzyskać jakiegokolwiek wiedzy, która wskazywałaby winnego. Śledztwo zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawcy.

Analizujący sprawę detektywi Archiwum X ocenili, że śledczy wykazali się dużym zaangażowaniem i inwencją w rozpracowaniu osób typowanych. Kiedy jednak podczas przesłuchania podejrzani zaprzeczyli, że popełnili tę zbrodnię, milicjanci przestawali się nimi interesować. A właśnie wtedy powinno się stosować bardziej wyrafinowane metody pracy operacyjnej, żeby zebrać informacje, które potwierdziłyby udział podejrzanych w zabójstwie Mordeckiego.

Lato 1989 roku

Rankiem 4 sierpnia dyżurny Komisariatu III Łódź Polesie odebrał telefon od kobiety. Poinformowała o znalezieniu kluczy na klatce schodowej oraz nieprzyjemnym zapachu wydobywającym się z mieszkania jej sąsiada Piotra Palickiego. Do drzwi dobijali się koledzy mężczyzny, zaniepokojeni jego nieobecnością w pracy. Nikt nie odpowiadał.

Na miejsce została wysłana ekipa dochodzeniowa. Drzwi otworzono znalezionymi kluczami. Zwłoki 40-letniego właściciela ubranego tylko w podkoszulkę i bieliznę leżały na podłodze. Ręce związane na klatce piersiowej pętlą ze sznurka pakowego, nogi skrępowano paskiem od spodni. Podczas oględzin ujawniono także knebel ze ścierki oraz pętle z ręcznika na dolnej części twarzy i szyi. Zwłoki miały silne zmiany pośmiertne z gigantyzmem gnilnym. Przyczyną śmierci było uduszenie poprzez zakneblowanie ust oraz zadziergnięcie pętli na szyi. Sekcja nie wykazała obrażeń wewnętrznych. Czas dokonania zabójstwa oszacowano na 30 lipca, pomiędzy 18.00 a 11.00 dnia następnego.

Mieszkanie zostało splądrowane i przeszukane. Zabezpieczono tylko ślady linii papilarnych i sznurek, którym skrępowano mężczyznę. Motywem zabójstwa był rabunek. Skradziono telewizor Junost i 90 tysięcy zł. Piotr Palicki nie posiadał w domu wartościowych rzeczy. Założono, że jeśli sprawca działał w celach rabunkowych, to raczej nie znał denata. Mógł być po raz pierwszy w jego mieszkaniu. Nie wykluczono także, że morderca działał z innego powodu, np. z zazdrości o partnera, a upozorowanie rabunku miało zmylić śledczych. Gdyby jednak zabójca chciał coś pozorować, nie zabierałby tak dużego i ciężkiego telewizora. Ograniczyłby się do kradzieży drobnych przedmiotów.

Palicki mieszkał samotnie. Był gejem. Nie stosował jednak „zasady stałego partnera”. Nie ustalono tożsamości mężczyzny, który spotykałby się z nim przez dłuższy czas, tworząc związek. Ukrywał swoją orientację seksualną, nie afiszując się w pracy i sąsiedztwie. Dwa razy w roku aranżował przyjęcia z okazji imienin, na których pojawiały się przeważnie te same osoby. Imprezy organizował w kilku turach: dla rodziny, kolegów heteroseksualnych i znajomych gejów. Wielu jego znajomych nie wiedziało, że był homoseksualistą. Jeden z funkcjonariuszy prowadzących śledztwo stworzył kolejną hipotezę. W mieszkaniu mogło dojść do spotkania z mężczyzną zaproszonym przez gospodarza. Gdy gość usłyszał propozycję współżycia, wywołało to jego agresję i w efekcie doprowadziło do zabójstwa. Przyjęto, że sprawca mógł pochodzić ze środowiska „żuli” (osób wykorzystujących finansowo gejów i świadczących im usługi homoseksualne), a więc musiał obracać się w miejscach, gdzie spotykali się homoseksualiści. Denat często wyjeżdżał w sprawach zawodowych poza Łódź. Pracował w oddziale PTTK, organizując wycieczki i obozy. Dużo

podróżował po Polsce. Miał nieograniczone możliwości, by nawiązywać znajomości. Nie bywał stale w punktach spotkań łódzkich homoseksualistów: w pobliżu dworca Łódź Fabryczna i placu Dąbrowskiego. Jeśli się tam pojawiał, to raczej sporadycznie i przypadkowo. Mógł poznać sprawcę na pikiecie gejów w innym mieście.

Już po kilku dniach wytypowano potencjalnego zabójcę. Rok wcześniej doszło do kradzieży w mieszkaniu Palickiego. Właściciel wskazał jako sprawcę Arkadiusza R. Milicjanci dowiedzieli się, że Palicki obawiał się zemsty. Podejrzany Arkadiusz R. także był gejem. Przez pewien czas w 1989 roku mieszkał w domu Palickiego. Wyprowadzając się, ukradł mu m.in. książki. Jednak w czasie gdy doszło do zabójstwa Piotra, siedział w więzieniu i nie korzystał z „przepustki nagrodowej”. Został wyeliminowany z grona podejrzanych.

Ponadto przyjęto, że morderstwo mogło być następstwem nieporozumień z jedną lub kilkoma osobami, z którymi denat często grywał w karty. Spotkania brydżowe odbywały się od dłuższego czasu w kręgu tych samych znajomych.

Po raz ostatni widziano Piotra 30 lipca w Brzezinach, gdzie odwiedził matkę. Musiał wyjść wcześniej, ponieważ „ktoś miał do niego przyjechać”. Spieszył się. Z jego zachowania wynikało, że bardzo zależało mu na tym spotkaniu. Już dzień wcześniej, rozmawiając z kolegą, wspomniał, że jest umówiony. Nie zdradził jednak żadnych szczegółów. Milicjanci założyli, że spotkanie miało mieć charakter kontaktu homoseksualnego. Trzydziestego pierwszego lipca sąsiadka, wychodząc z mężem na zakupy, znalazła na klatce schodowej klucze, które (jak się później okazało) należały do Palickiego. Mężczyzna już wtedy nie żył. Sąsiadka zeznała także, że dzień wcześniej podczas wieczornego spaceru z psem przed blokiem nie widziała świateł w mieszkaniu Piotra. Zwykle o tej porze były włączone. Palickiego mogło jeszcze nie być w domu lub leżał już martwy w swoim mieszkaniu.

Podczas śledztwa nie udało się ustalić wyglądu sprawcy. Przyjęto, że jeśli działał sam, musiał być silnym i dobrze zbudowanym młodym człowiekiem, który poradziłby sobie z broniącym się i walczącym o życie czterdziestolatkiem. W trakcie krępowania Piotr był nieprzytomny. Analizując sposób, w jaki został związany, założono, że sprawców było dwóch.

Miesiąc po znalezieniu zwłok Palickiego doszło do kolejnego napadu rabunkowego w bliskim sąsiedztwie. Właściciela zaatakowano w drzwiach i związano w podobny sposób, w jaki skrępowany był Palicki. Potem napastnicy splądrowali mieszkanie, zabierając pieniądze i cenne przedmioty. Wyszli z przeświadczeniem, że związany mężczyzna się udusi. Ofiara wyswobodziła się jednak z więzów i powiadomiła milicję. Właściciel mieszkania nie był gejem. Mieszkał z żoną. Jednym ze sprawców okazał się jego były pracownik. Szybko przyjęto, że zabójcami Palickiego mogli być Krzysztof K. i jego nieznany współnik.

Milicja sprawdziła kilka osób, najdokładniej Krzysztofa K. Ustalono, gdzie mieszkał, oraz rozpracowano jego kontakty towarzyskie i przestępcze, aby znaleźć drugiego ze sprawców napadu na sąsiada Palickiego. Był nim Zbigniew S. Zatrzymany przyznał się do udziału w napaści i jednocześnie złożył zaskakujące zeznania: latem 1989 r. Krzysztof K. zabił swoją ciotkę, Pelagię S. Udusił kobietę w jej mieszkaniu w Łodzi, a potem ukradł złotą biżuterię. Zbigniew S. nie miał żadnych informacji na temat zabójstwa Palickiego. Krzysztof K. w trakcie przesłuchań przyznał się do morderstwa Pelagii S. oraz do napadu rabunkowego na swojego byłego pracodawcę. Nie znał jednak Palickiego i nigdy nie był u niego w domu.

Śledztwo ugrzęzło. Dochodzenie umorzono z powodu braku wykrycia sprawcy. Detektywi Archiwum X, którzy po dwudziestu latach badali tę sprawę, zanotowali: ***Prowadzono rozpracowanie środowiska gejowskiego w Łodzi. Jednak robiono to pobieżnie z małym wykorzystaniem informatorów. Przesłuchanych zostało kilku znanych milicji homoseksualistów, którzy nie znali Palickiego, bowiem nie bywali na tzw. pikietach. Nie współpracowano z jednostkami milicji w miastach, gdzie Palicki bywał i mógł być legitymowany na pikietach. Działania operacyjne podjęte w sprawie nie pozwoliły ustalić sprawcy zabójstwa. Nie sprawdzono wielu okoliczności, np. listy członków obozu archeologicznego w Przysieku koło Torunia, którym kierował Palicki do 13.07.1989 roku. Niewykluczone że właśnie tam poznał osobę, z którą był umówiony 30.07.1989 roku.***

Jesień 1989 roku

Dochodziła północ, gdy do KRP Łódź Bałuty zadzwoniła zdenerwowana kobieta. Zgłosiła zabójstwo syna, Adama Galosa (lat pięćdziesiąt). Zofia, zaniepokojona informacjami od znajomych poszukujących jej syna, postanowiła sprawdzić, dlaczego Adam nie odbierał telefonów. Do jego mieszkania pojechała razem z córką Martą. Ponieważ drzwi były zamknięte tylko na klamkę, weszły do środka i znalazły zwłoki.

Ciało leżało na wznak w poprzek tapczanu w zakrwawionej pościeli. Denat ubrany był tylko w podkoszulkę podciągniętą do góry. Oględziny drzwi wejściowych nie wykazały śladów włamania. W mieszkaniu panował bałagan. W pokoju, gdzie leżały zwłoki, na stole stała butelka po alkoholu i dwie puste puszki. Skradziono magnetowid Fisher z pilotem, pilot do telewizora Sony, kasety wideo, lornetkę, książeczkę oszczędnościową, złoty sygnet z rubinem, złotą bransoletkę z grubymi oczkami, złotą spinkę do krawata z masą perłową, złoty łańcuszek z krzyżykiem, złote spinki do koszuli w kształcie krawatu, zegarek na rękę w kolorze białym, kurtkę skórzaną, skórzaną walizkę, ręczniki.

Ekipa zabezpieczyła kilkanaście śladów linii papilarnych, ślady krwi ofiary (oznaczone symbolem A) i prawdopodobnego sprawcy (oznaczone symbolem B), ustnik papierosa ze śliną i włosiem oraz zakrwawiony nóż kuchenny o długości 25 cm, własność ofiary i przypuszczalne narzędzie zbrodni. Przyczyną zgonu była rana zadana nożem. Ostrze przebiło klatkę piersiową na wylot. Cios zadano z tzw. poprawką bez wyciągnięcia noża z rany. Na ciele ofiara miała siedem ran kłutych oraz kilkanaście siniaków i otarć naskórka. Świadczyły o tym, że Galos stoczył walkę z napastnikiem. Zabójstwa dokonano 21 listopada około godziny 23.00.

Adam Galos był uważany za człowieka zasobnego w gotówkę. Pracował jako piosenkarz w łódzkiej Estradzie. Dobrze zarabiał. Wiele osób zwracało się do niego z prośbą o pożyczki. Miał zwyczaj noszenia przy sobie kilkuset dolarów oraz złotych, którymi imponował przygodnie poznawanym partnerom. Milicja nie wykluczyła, że pokazał pieniądze sprawcy, kiedy był pijany i pobudzony, co spowodowało agresywną reakcję drugiego mężczyzny. Morderstwa mogła dokonać osoba ze środowiska łódzkich

gejów lub z innej części kraju. Przyczyną konfliktu mogły też być nieporozumienia, których podłożem była zazdrość o partnerów albo „wynikające z rozliczeń finansowych za świadczone usługi homoseksualne”.

Śledczy uparli się, że sprawcą zabójstwa był „żul”. Za tą wersją przemawiał fakt, że Galosa ostatni raz widziano, gdy poznał młodego mężczyznę, z którym poszedł potem do mieszkania. Kilka dni przed śmiercią Adam został zaproszony na imieniny znajomego, Jana. Na imprezie pojawił się, za zgodą gospodarza, ze swoim młodym przyjacielem Olafem Strzałką. Ich znajomość rozpoczęła się od spotkań w kawiarni pod szkołą i zafundowania kilku upominków. Podczas pierwszej wizyty Strzałki w mieszkaniu Galosa oglądali film pornograficzny i uprawiali seks. Od tej pory regularnie się spotkali, ale chociaż pięćdziesięciolatek był zauroczony młodym mężczyzną, nie przeszkadzało mu to nawiązywać kontakty z innymi partnerami.

W trakcie imprezy imieninowej Galos dużo pił, ale (według zeznań innych gości) nie był „upity do nieprzytomności”. Zresztą miał opinię człowieka z mocną głową. Często pił sam. Około godziny 21.00 Olaf wyszedł, bo czuł się nieswojo w nieznanym i dużo starszym towarzystwie. Galos dał mu pieniądze na taksówkę. Po pewnym czasie zostali tylko gospodarz, Adam oraz ich wspólny znajomy, Michał. Przed północą dwaj ostatni wyszli z mieszkania i ruszyli w kierunku ulicy Narutowicza i restauracji Orfeusz. W trakcie spaceru Michał, który nie był gejem, ale wiedział o homoseksualizmie Adama (opowiadał o swoich ostatnich podbojach), zorientował się, że miał on ochotę kogoś poderwać. Zatrzymali się na przystanku tramwajowym przy Narutowicza. Galos od razu zwrócił uwagę na stojącego niedaleko młodego mężczyznę.

– ***Patrz, jaki ładny chłopak. Podejdziemy?***

– ***Idź, idź. Mnie chyba nie potrzebujesz...***

Galos podszedł do nieznanego, poczęstował go papierosem i zagaił rozmowę. Po chwili wrócił do Michała.

– ***Chyba się podobam. Zabierzemy go?***

– ***Jesteś dużym chłopcem, bawcie się. Ja już idę.***

– ***Czekaj, poznajcie się.***

Galos gestem przywołał nowo poznanego mężczyznę.

– ***To Michał, mój stary przyjaciel.***

- ***Dobry wieczór, nie za późno na spacer?***
- ***No tak, ale widzę że wy się dopiero rozkręcacie...***

Po krótkiej wymianie zdań mężczyźni pożegnali się, podając sobie dłonie. Galos w towarzystwie chłopaka poszedł w kierunku dworca Łódź Fabryczna na postój taksówek. Michał tuż po powrocie do swojego mieszkania postanowił zadzwonić do kolegi, żeby sprawdzić czy bezpiecznie dotarł do domu. Była godzina pierwsza w nocy. Po kilku sygnałach połączenie zostało przerwane. Jakby ktoś podniósł słuchawkę i rozłączył rozmowę. Gdy Michał zadzwonił ponownie, usłyszał tylko sygnał odłożonej słuchawki.

Milicja założyła niemal z pewnością, że zabójcą był młody mężczyzna poznany przez Galosa w okolicach parku Moniuszki. W mieszkaniu Adam poczęstował sprawcę alkoholem. Następnie doszło albo miało dojść między nimi do stosunku, po którym (lub w trakcie którego) Galos został zaatakowany. Przygotowano rysopis: ***Wiek około 20 lat, średnia budowa ciała. Wzrost 170 cm, włosy blond z pasemkami. Sprawca miał kurtkę dżinsową, pumpiaste spodnie dżinsowe i półbuty lakierki w kolorze białym, szpic butów w kolorze czarnym.*** I rozpoczęto poszukiwania.

Prowadzono też rozpracowanie operacyjne środowiska gejowskiego. Zgromadzono wiele danych. Śledczy wykorzystali wiedzę informatorów. Na zabójcę wytypowano Jarosława T. Był w przeszłości partnerem ofiary. Karano go za włamanie. W czerwcu 1989 roku został zwolniony warunkowo z zakładu karnego. Wielokrotnie pożyczał od Adama pieniądze. Pożyczki te miały charakter bezzwrotnych wymuszeń. Pierwsza hipoteza zakładała, że piosenkarz miał słabość do Jarosława. Druga: że się go obawiał. Niewykluczone że był przez niego bity. Milicja nie zatrzymała jednak Jarosława T. i nie sprawdziła jego alibi.

W trakcie śledztwa ujawniono, że miesiąc przed morderstwem piosenkarza okradziono innego geja, Arkadiusza Włodka. Napadu dokonał mężczyzna o rysopisie podobnym do poszukiwanego zabójcy Galosa. Około godziny pierwszej w nocy, w okolicy parku Moniuszki Arkadiusz został zaczepiony przez obcego mężczyznę stojącego na przystanku tramwajowym. Zaprosił go do siebie, a po wejściu do mieszkania został przez niego sterroryzowany długim nożem kuchennym. Napastnik związał mu ręce i nogi przewodem elektrycznym, usta zakneblował szalikiem. Zabrał walkmana Sanyo, magnetofon, pięć kaset, dwa złote łańcuszki, 100

tys. zł, zegarek i dzinsową kurtkę. Włodek nie powiadomił milicji o napadzie. Odradził mu to znajomy.

Ustalono jeszcze jedną ofiarę tego samego napastnika. W listopadzie 1989 roku w parku Moniuszki do przystojnego młodego mężczyzny podszedł nieznajomy. Uzgodnili, że odbędą stosunek w krzakach. Gdy dotarli do ustronnego miejsca, mężczyzna przystawił ofierze nóż do gardła i kazał się rozebrać. Zabrał 40 tys. zł i zegarek. Uciekł, gdy usłyszał kroki zbliżającego się przechodnia. To zajście również nie zostało zgłoszone.

Napady odbyły się w niemal identycznych okolicznościach co zabójstwo Galosa. Milicja sądziła, że gdyby pobudzony alkoholem Adam nie stawiał oporu, nie zostałby ugodzony śmiertelnie nożem, tak jak dwaj poprzedni geje. Prawdopodobnie podjął zdecydowaną próbę obezwładnienia przeciwnika. Wywiązała się walka, podczas której zdesperowany złodziej uderzał nożem na oślep, aż zadał śmiertelny cios.

1990 rok

W styczniu w Wydziale Kryminalnym KWP w Łodzi rozpoczęto operację pod kryptonimem „Partner”. Jej celem było ustalenie, kto zabił Adama Galosa. Było to już trzecie odnotowane zabójstwo homoseksualisty w krótkim czasie. Sprawy prowadzone dotychczas przez poszczególne jednostki zostały przejęte przez Wydział Kryminalny KWP. Funkcjonariusze nie wiedzieli jeszcze, że to nie koniec serii morderstw.

Udało się przeniknąć do niezwykle hermetycznego w tamtym okresie środowiska homoseksualistów i przestępców regularnie napadających na gejów. Bandyci czuli się bezkarni. Wiedzieli, że ofiary nie zgłoszą przestępstwa w obawie przed zdemaskowaniem i społecznym ostracyzmem. W trakcie działań operacyjnych wzięto pod lupę kilkadziesiąt osób. Szukano podobieństwa do rysopisów sprawców i intensywnie weryfikowano alibi tych ludzi. Milicja miała znikomą ilość dowodów. Niemożliwe było ustalenie miejsca pobytu większości rozpracowywanych tuż po zabójstwach mężczyzn i sprawdzenie ich alibi. Jako główne

kryterium eliminacji z kręgu podejrzanych śledczy przyjęli wyniki badań porównawczych z materiałem od prześwietlanych osób. Od wszystkich pobierano odciski do daktyloskopii, ślinę, krew oraz włosy. Jako dodatkowe kryterium eliminacji wykorzystano posiadane informacje agenturalne i wywiady na temat rozpracowywanych. Detektywi opierali się również na własnych odczuciach i spostrzeżeniach, jakie nasuwały się po analizie zgromadzonego materiału oraz zapisu przesłuchań:

Łukasza A.: stałego bywalca pikiet w okolicach Teatru Wielkiego, gdzie nawiązywał kontakty homoseksualne. W kwietniu 1989 roku poznał Marcina Sz. Sterroryzował go nożem kuchennym, a następnie okradł ze złotego sygnetu. Poszkodowany nie zgłosił tego zajścia milicji.

Mariusza B.: sprawcy zabójstwa homoseksualisty na terenie Czech w 1993 roku.

Rafała D.: karanego za kradzieże. Na krótko przed zabójstwem Galosa zakładał zamek w drzwiach jego mieszkania. Był też zainteresowany odkupieniem telewizora. Umówili się na kolejną wizytę, ale po zatrzymaniu w grudniu 1990 roku w Katowicach zeznał, że nigdy więcej nie widział się z Galosem.

Teodora D.: homoseksualisty, osobnika o skłonnościach sadystycznych, wielokrotnie karanego za gwałty na nieletnich, poszukiwanego listem gończym za zabójstwo w 1990 r. portiera, którego pobił, a następnie związanego podpalił. Po zatrzymaniu odmówił składnia zeznań i pobrania do badań próbek włosów, krwi i śliny.

Stanisława H.: częstego bywalca na dworcach kolejowych w Łodzi, mającego kontakty z homoseksualistami (znał Galosa) i dokonującego różnego rodzaju przestępstw, takich jak okradanie śpiących czy kradzieże z włamaniem.

Patryka K.: typowanego na zabójcę Adama Galosa z uwagi na utrzymywanie bliskich kontaktów homoseksualnych z denatem oraz przeszłość kryminalną.

Henryka J.: rozpracowywanego po tym, gdy w trakcie penetracji pikiet gejowskich zaobserwowano samochód osobowy Łada, który jak się okazało, dwa dni wcześniej Henryk J. kupił od mieszkańca Małkini. Przesłuchiwany oświadczył, że nigdy nie kupował takiego samochodu, a kilkanaście dni wcześniej na Śląsku skradziono mu dowód osobisty.

W trakcie okazania fotografii Henryka J. sprzedający rozpoznał go jako kupca.

Mariana G.: przywódca (pseudonim „Żołnierz”) zorganizowanej grupy przestępczej dokonującej napadów rabunkowych na gejów na terenie łódzkich pikiet oraz w ich mieszkaniach. Sposób działania grupy przypominał okoliczności, w których ginęli homoseksualiści w Łodzi. Potencjalnym sprawcą mógł być każdy z członków bandy. Zwłaszcza że odpowiadali rysopisom zabójców. Posiadali też szerokie kontakty w środowisku gejowskim. Bywali często i o różnych porach w miejscach spotkań homoseksualistów, mogli więc poznać któregoś z denatów. Większość homoseksualistów bała się ich, ponieważ znani byli z dużej brutalności. Kradzieże i rozboje były przecież także motywami zabójstw każdej z ofiar.

Sławomira Z.: sprawcy napadu rabunkowego na geja Mateusza N., latem 1992 roku. Przyszłą ofiarę poznał na pikiecie w okolicach dworca Łódź Fabryczna. Już w jej mieszkaniu, gdy jedli i pili alkohol, zaatakował. Na przemian bił i dusił, aż Mateusz N. stracił przytomność. Z jego mieszkania Sławomir Z. ukradł magnetowid, kasety wideo, aparat fotograficzny i ubrania. Wszystko sprzedał przygodnie napotkanym osobom w Łodzi. Na miejscu zdarzenia zostawił reklamówkę, w której znalazły się zapiski pozwalające na jego identyfikację i zatrzymanie. Zeznał, że gdy pili alkohol, Mateusz N. próbował go dotykać, co spowodowało wybuch agresji i atak. Był przekonany, że zabił. Żeby sprawdzić, czy mężczyzna żyje, kopnął go w brzuch. W trakcie napadu poplamił się krwią ofiary, więc przebrał się w koszulę i kurtkę Mateusza N. Stanowczo oświadczył, że nie ma nic wspólnego z innymi zabójstwami homoseksualistów w Łodzi. Z materiałów wynikało, że w latach 1988–1991 przebywał w zakładzie karnym w Łupkowie i nie korzystał z przepustek, kiedy dochodziło do morderstw. Był jednak w Łodzi, gdy zginął Grzegorz Mordecki. Handlował rajstopami i skarpetami na rynku Górniak, bardzo blisko domu ofiary. Być może Mordecki, planując wyjazd handlowy na Węgry, nawiązał z nim kontakt i chciał kupić większą ilość towaru po niższej cenie. Mógł także zaprosić go do domu. Sławomir Z. to człowiek agresywny, skory do bójek. Szczególnie źle odnosił się do homoseksualistów, traktując ich jak ludzi gorszego sortu. Wymuszał posłuszeństwo i gardził nimi. Widok mężczyzny w samej bieliźnie doprowadzał go do furii. Jego nienawiść do gejów była

efektem próby gwałtu, którą przeżył jako ośmiolatek. Na wolności utrzymywał jednak kontakty z homoseksualistami. Chodził do nich, żeby się umyć i najeść. Znał swoją siłę i potrafił się bić, więc nie obawiał się mężczyzn, którzy go zapraszali. Pasował do portretu psychologicznego, który można sporządzić dla sprawców tego typu zabójstw, jak te w Łodzi. Byłby głównym podejrzanym, gdyby nie alibi.

Wszystkie działania policji prowadzone przez kilkanaście miesięcy przyczyniły się do bezpośredniego rozpoznania środowiska homoseksualistów. Pikiety były infiltrowane i obserwowane, pozyskano nowych informatorów. Rozpracowanie odbywało się w różne dni o różnych porach, stosowano podsłuchy. Policja uzyskała wiele wartościowych danych operacyjnych. Ustalono przede wszystkim personalia napadanych gejów, którzy nie zgłaszali tych zjść organom ścigania. Rozmowy z nimi pomogły określić rysopisy sprawców. Jednak liczba osób w tym środowisku i ich zawile relacje sprawiały trudności detektywom. Brakowało policjantów do infiltracji, bo rozpracowywano także spore środowisko ludzi trudniących się handlem kradzionym towarem. Przenikano do melin, komisów i lombardów. Sprawdzano paserów. Odzyskanie któregoś z przedmiotów pochodzących z rabunku mogłoby pomóc w dotarciu do sprawców. Minimalna ilość materiału dowodowego w postaci śladów nie pozwoliła ustalić winnych zabójstw.

1992 rok

Tuż przed godziną 23.00 Komenda Rejonowa Policji Łódź Bałuty została poinformowana o odnalezieniu zwłok Konrada Saskiego (lat czterdzieści osiem) w jego domu przy ulicy Ścisłej. To jednorodzinny budynek w zwartej zabudowie szeregowej. Ofiara zajmowała pokój i kuchnię na parterze. Pozostałe pomieszczenia wynajmowano przygodnym sublokatorom.

Zwłoki leżały na dywanie przykryte poduszkami i kołdrą. Mężczyzna miał na sobie tylko podkoszulkę oraz kalesony opuszczone do połowy ud. W ustach przewód elektryczny, zaciśnięty i zawiązany z tyłu na supeł.

Sekcja zwłok wykazała ranę tłuczoną czaszki o długości 8 cm w okolicy czołowo-ciemieniowej, złamanie kości nosa, opuchnięcia i krwawe podbiegnięcia w okolicach prawego oka. Przyczyną zgonu były rana głowy i uduszenie przewodem. Zabójstwa dokonano 22 lutego, mniej więcej o godzinie 21.00.

Sprawca, opuszczając mieszkanie, pozostawił otwartą bramę prowadzącą na teren posesji. Denat i pozostali sublokatorzy rygorystycznie ją zamykali. Z zeznań sąsiadki wynikało, że 22 lutego brama była na pewno zamknięta. Wieczorem kobieta usłyszała szczekanie psa Saskiego, które po kilku minutach ustało. Gdy o świcie następnego dnia wychodziła z domu, zauważyła otwartą bramę. Nikt jej nie zamknął aż do wieczora, kiedy to zostały odkryte zwłoki Saskiego.

Ponieważ od włączonego grzejnika zapaliły się dywan i pufa, wszystkie przedmioty w mieszkaniu ofiary pokrywała warstwa sadzy. Zabezpieczono dwa odciski linii papilarnych na stojących w pokoju szklankach oraz kilka włosów, które denat miał w zaciśniętej ręce. Badania daktyloskopijne dały wynik negatywny. Ślady były słabej jakości i posiadały zbyt małą ilość cech niezbędnych do identyfikacji. Włosy pochodziły z głowy zabitego. Detektywom nie udało się zabezpieczyć żadnego materiału porównawczego w postaci śladów biologicznych.

Skradziono magnetowid i kalendarz, w którym Saski zapisywał wszystkie swoje kontakty, także adresy i telefony partnerów seksualnych. Śledczy założyli, że motywem był napad rabunkowy. Świadczyły o tym przeszukanie mieszkania i kradzież. Saski uchodził za człowieka majątnego. Mieszkał w Łodzi od 1985 roku. Przeprowadził się tu z Wrocławia. Założył własny biznes, prowadził smażalnię Rybka. Sprzedał ją zimą 1992 roku za 170 mln zł. Pieniądze trafiły na dwie książeczki oszczędnościowe. Saski mógł pochwalić się zabójcy tą sprzedażą.

Ponieważ w przeszłości różni ludzie odgrażali się Saskiemu za utrzymywanie stosunków homoseksualnych z członkami ich rodzin, nie wykluczano, że do zabójstwa doszło właśnie w trakcie takiej awantury. Podczas rozpracowania przyjęto założenie, że zbrodni dokonał mężczyzna widziany w mieszkaniu ofiary przez sublokatorkę. Mogła być to także osoba ze środowiska gejowskiego lub „żuli” z Łodzi. Inne hipotezy: zabójca to osoba heteroseksualna, wynajmująca wcześniej mieszkanie w domu ofiary lub powiązana z nią przez pracę.

Jeden z detektywów przyjął teorię, że zabójstwo było zemstą za zakażenie wirusem HIV, zgwałcenie lub wprowadzenie w środowisko homoseksualne kogoś z członków rodziny sprawcy. Przemawiały za tym burzliwe życie seksualne, jakie od lat prowadził Saski, oraz fakt, że interesował się młodymi niedoświadczonymi chłopcami, którzy wcześniej nie mieli kontaktów homoseksualnych. Saski był aktywnym gejem, bywał na pikietach, głównie w okolicy dworca Łódź Fabryczna oraz parku Moniuszki. Często przyjeżdżał swoim fiatem 125p. Nie pokazywał się jednak w gejowskich kawiarniach Orfeusz czy Teatralna. W trakcie dochodzenia nie udało się znaleźć żadnego homoseksualisty z Łodzi, z którym zamordowany kontynuowałby znajomość.

W smażalni zatrudniał tylko młodych mężczyzn w wieku od dwudziestu do dwudziestu dwóch lat, najczęściej spoza Łodzi. Oprócz pracy oferował im nocleg w swoim domu, którego część została przerobiona na mniejsze pokoje wynajmowane różnym osobom, także pracownikom smażalni Rybka. Nigdzie nie rejestrował ani nie meldował sublokatorów. Anonse zamieszczał w dziale ogłoszeń lokalnej prasy i na tzw. podcieniach u zbiegu ulic Zielonej i Piotrkowskiej. Zapewniały mu stały napływ młodych osób, które w Łodzi szukały pracy oraz miejsca do zamieszkania. Swoim sublokatorom regularnie proponował odbycie stosunków homoseksualnych w zamian za niższą opłatę wynajmu.

Jak wielu homoseksualistów zamieszczał ogłoszenia w magazynie „TOP”. Używał nazwisk: Małkowski, Haller, Strasowski. Proponował nawiązywanie kontaktów towarzyskich, a jako adres nadsyłania ofert i fotoofert podawał numer skrytki pocztowej. Gdy jakaś mu się spodobała, wysyłał odpowiedź. W przypadku akceptacji ze strony kontaktującego się z nim geja uzgadniał termin jego wizyty w Łodzi. Najczęściej proponował przyjazd w piątek, kiedy sublokatorzy wyjeżdżali do swoich domów. Odbierał gościa na dworcu i tu odwoził w niedzielę wieczorem po spędzonym wspólnie weekendzie. Policji nie udało się ustalić, czy było to płatne prostytuowanie się, czy seksturystyka.

Na podstawie zeznań i działań operacyjnych odtworzono ostatnie godziny życia Saskiego.

Dwudziestego pierwszego lutego przed południem pojawił się na targowisku, skąd odjechał po kilku godzinach. Ponownie był widziany dopiero późnym wieczorem. Zobaczyła go wychodząca z domu

sublokatorka, Iwona. Saski przebywał w swoim pokoju, towarzyszył mu nieznany mężczyzna, domniemany zabójca. Sporządzono portret pamięciowy podejrzanego: wiek około trzydziestu lat, średnia budowa ciała, włosy blond, ostrzyżone na pazia, lekko kręcone z grzywką na czole.

Rozpoczęto intensywne rozpracowanie koncentrujące się na Wojciechu B., który wpadł w ręce policji dzięki zdjęciu zabezpieczonemu w mieszkaniu zamordowanego wcześniej Adama Galosa. Fotografia została pokazana sublokatorce. Rozpoznała mężczyznę, którego widziała w mieszkaniu na krótko przed śmiercią ofiary. Niestety, nie udało się potwierdzić kontaktów Wojciecha B. z Saskim. Jako zabójcę typowano również Macieja K. Jego korespondencję odkryto na miejscu zbrodni. Nie miał alibi. Jednak w trakcie okazania nie został rozpoznany. Nie zgodził się też na pobranie mu włosów, krwi, śliny i odcisków palców do materiałów porównawczych.

Rozpracowując środowisko gejowskie, szukano powiązań z wcześniejszymi zabójstwami. Na podstawie listów i zapisków z domu Saskiego próbowano zorientować się, czy osoby w nich wymienione pasują do rysopisu. Bez rezultatu. Policja dotarła także do informacji, że Saski utrzymywał relacje z osobami w Lublinie. Gdy w 2010 roku detektywi Archiwum X powrócili do sprawy, nie znaleźli żadnej próby weryfikacji kontaktów lubelskich. Pomimo wielomiesięcznych działań policji i nowych wątków wciąż trwającego rozpracowania „Partner” zagadka zabójstwa Saskiego pozostała niewyjaśniona.

1993 rok

Jedenastego lipca po południu Czesława S., Helena R. i Wiesława M. zawiadomiły komisariat policji Łódź Bałuty o odnalezieniu w mieszkaniu zwłok Karola Józwiaka, ich wspólnego znajomego. Na miejsce została wysłana ekipa dochodzeniowo-śledcza.

Ciało ofiary, ubrane tylko w biały szlafrok, leżało na podłodze przy tapczanie. Oględziny przeprowadzone z udziałem lekarza medycyny sądowej wykazały obrażenia z tyłu głowy, złamanie nosa, rany twarzy,

małżowiny usznej, lewej ręki oraz wiele otarć i sińców na całym ciele. Podczas sekcji zwłok ustalono, że przyczyną zgonu było uduszenie.

Na miejscu zbrodni technicy zabezpieczyli koszulę z długimi rękawami z rozwodnionymi plamami krwi (należącą najprawdopodobniej do sprawcy) oraz ślady biologiczne: krew, niedopałki papierosów oraz kilkanaście śladów linii papilarnych. Z mieszkania skradziono radiomagnetofon OSAKA, kurtkę skórzaną z łątek zapinaną na suwak, portmonetkę skórzaną koloru wiśniowego i nóż kuchenny z ebonitową czarną rączką o ostrzu długości 10 cm. Chociaż denat nie był osobą majątną, dla sprawcy jego status materialny mógł być wystarczającym bodźcem do dokonania zabójstwa. W śledztwie nie rozpatrywano jednak tylko motywu rabunkowego.

Karol Józwiak był emerytem, homoseksualistą mieszkającym samotnie w bloku w śródmieściu Łodzi. W przeszłości żonaty, nie miał dzieci. Znany i lubiany w towarzystwie gejowskim, nowe znajomości nawiązywał najczęściej na terenie pikiet, głównie w okolicach parku Moniuszki i dworca Łódź Fabryczna. W okresie poprzedzającym zabójstwo nie był z nikim związany na stałe. W wąskim gronie znajomych, z którymi utrzymywał przyjacielskie kontakty, znalazło się kilka kobiet z sąsiedztwa. Na podstawie wszystkich zebranych materiałów operacyjnych oraz procesowych detektywi Archiwum X podczas analizy zabójstwa w 2010 roku wykazali, że zabójcą był młody mężczyzna przedstawiający się jako Jacek. Do mieszkania Józwiaka przyprowadził go jego przyjaciel, Zygmunt Wilczak.

Dwa dni przed zabójstwem Wilczak szukał nowych znajomości na pikiecie przy placu Dąbrowskiego. Czekając na autobus MPK, zauważył stojącego w okolicy wiaty dla pasażerów młodego mężczyznę. Był pewny, że to gej, więc podszedł i zaproponował wypicie kawy w swoim mieszkaniu. Jacek, tak się przedstawił, zaakceptował propozycję. W autobusie Zygmunt Wilczak spotkał znajomego lekarza Irka, który także został zaproszony na kawę.

Kiedy gospodarz przygotowywał poczęstunek, Irek wypytywał Jacka o sprawy osobiste. Mężczyzna mieszkał z chorą matką i pracował w zakładach Dzierżyńskiego. O sobie mówił niechętnie, zastanawiał się nad każdą odpowiedzią. Według Wilczaka nie było to spowodowane jego ociężałością umysłową, tylko wyrafinowaniem. Gdy po wypiciu kawy Irek

wyszedł, Zygmunt zaproponował Jackowi stosunek, na który ten ochoczo się zgodził. Podczas zabawy w łóżku zauważył u młodego kochanka duże doświadczenie. Po stosunku Jacek zwierzył się, że podczas pobytu w zakładzie poprawczym, miał wtedy piętnaście lat, został zgwałcony przez wychowawcę i od tamtej pory był homoseksualistą.

Wilczak przestrzegał zasady, by nie zostawiać na noc obcych w swoim mieszkaniu. Skłamał, że spodziewa się gości, więc Jacek musi wyjść. Kochanek spokojnie przyjął do wiadomości jego życzenie. Poprosił o bilet na autobus. Ponieważ Zygmunt miał tylko banknoty o dużym nominale, wyszedł razem z Jackiem, żeby rozmienić pieniądze na postój taksówek. Wręczył mu 10 tys. zł i odprowadził na przystanek. Umówili się na spotkanie następnego dnia po południu na placu Dąbrowskiego. Kierowca autobusu zapamiętał samotnego mężczyznę, który wsiadł na ulicy Lutomierskiej i zapytał o cenę biletu. Zlitował się nad nim, gdy okazało się, że nie miał przy sobie wystarczającej kwoty. Jacek wysiadł z autobusu na pierwszym przystanku przy PDT Uniwersal.

Dziesiątego lipca Wilczak spotkał się z Jackiem w umówionym miejscu i zasugerował odwiedzinę u znajomego, Karola Józwiaka. Zastali u niego innego homoseksualistę, Leszka M., z którym kiedyś mieszkał starszy mężczyzna. Chwilę później pojawiła się sąsiadka Helena i przypomniała gospodarzowi o imieninach znajomej. Oboje wyszli, a po 30 minutach zatelefonowali z zaproszeniem od solenizantki. Cała grupa bawiła się niemal do północy. Tańczyli, pili alkohol i rozmawiali. Jacek nie odzywał się. Helena zeznała: **Widać było u niego duże zażenowanie w kontaktach z kobietami, czego przykładem było picie bruderszaftu, kiedy nie wiedział, jak pocałować kobietę.** Potem impreza przeniosła się do mieszkania Józwiaka. Po wypiciu butelki wina goście wyszli. Został tylko Jacek, któremu podczas drogi powrotnej starszy mężczyzna zaproponował stosunek. Od tego czasu nikt nie widział już Józwiaka żywego. Następnego dnia Wilczak próbował kilka razy dodzwonić się do znajomego. Ten nie odbierał telefonu. Zaniepokojone uczestniczki imprezy postanowiły sprawdzić, co się dzieje z Karolem. Otworzyły drzwi do mieszkania kluczami, które Helena miała właśnie na wypadek podobnych sytuacji. Po wejściu do środka znalazły zwłoki.

Policja założyła, że między mężczyznami miało dojść do kontaktu seksualnego. Świadczyły o tym zaścielone łóżko oraz rozebranie ofiary.

Następnie z nieznaney przyczyny (rabunek lub dziwne zachowanie) doszło do gwałtownej bójki, podczas której młody i silny napastnik udusił starszego i słabszego od siebie mężczyznę. Sprawcą mógł być także ktoś inny. Na podstawie zeznań sporządzono portret pamięciowy: **Wiek 27 lat, wzrost 178 cm, średnia budowa ciała, twarz owalna, włosy ciemny blond, usta pełne, uszy przylegające, oczy piwne, w kącie lewego oka wytatuowana kropka nosząca ślady usuwania, na krtani tatuaż z wyraźną kropką, na palcach lewej dłoni tatuaż trudny do odczytania, uszkodzony mały palec prawej ręki, obuwie nr 8. Szeroki w biodrach, w pasie około 90 cm. Mógł pracować fizycznie, o czym świadczy umięśnienie ramion oraz wygląd rąk.**



Nielatwo przejść przez sito rozmów i eliminacji, żeby stać się kryminologiem. Do dziś próg wejścia jest wysoki, choć zawód ten nie cieszy się już taką estymą jak w erze Edwarda Gierka. Laboratoriów prywatnych jest obecnie mnóstwo, dlatego na mało płatną i potwornie absorbującą pracę w kryminalistyce decyduje się niewielu.

W kręgu zainteresowania policji znalazło się kilkadziesiąt osób. Szukano wśród zamieszkałych w rejonie ulicy Rzgowskiej, pracujących w zakładach Eskimo, notowanych kryminalnie. Z grupy podejrzanych wykluczano przez okazanie świadkom. Funkcjonariusze przeanalizowali informacje agenturalno-operacyjne oraz wcześniejsze zabójstwa. Poprosili też o pomoc inne jednostki policji z Polski o wytypowanie ewentualnego sprawcy. Działania te nie przyczyniły się bezpośrednio do ustalenia, kto zabił, ale pogłębiły wiedzę na temat domniemanego zabójcy.

Dwa lata po zabójstwie Wilczak zobaczył sprawcę na pikiecie (siedział w samochodzie osobowym). Kilka dni później zgłosił się na policję, opowiedział o zdarzeniu i podał rejestrację z Bełchatowa, ale szczegóły zacierały mu się w pamięci. Wkrótce zmarł na AIDS. W ostatniej fazie życia mieszkał z innym mężczyzną. Partner Wilczaka, którego odwiedzili detektywi z Archiwum X, też był chory na AIDS. Śledczy są pewni, że człowiek, którego wciąż szuka policja, nie żyje, bo współżył z nosicielami.



KATOWICE
– RABUNKI I MORDERSTWA
KOBIET W CHORZOWIE 1980
I 1989 R.



Śląsk ma w policyjnych kręgach opinię najbardziej mrocznego regionu Polski. Statystycznie do najcięższych przestępstw, takich jak zabójstwa i gwałty, najczęściej dochodzi właśnie na południu kraju. Tutejsi detektywi wydziałów kryminalnego i dochodzeniowo-śledczego dzięki swojej niezłomności i fachowości zyskali w polskich organach ścigania miano prawdziwych zawodowców. Mimo że działali skutecznie, kilka spraw długo pozostawało niewykrytych. Dlatego w 2005 roku katowickie Archiwum X rozpoczęło działalność jako jedna z pierwszych tego typu komórek w kraju. Rekrutuje się z najlepszych funkcjonariuszy o najdłuższym stażu. Ich zasada: zabierają się do starych spraw według kolejności archiwum wywiadu kryminalnego. Powracają do dawnych dochodzeń, szukając nowego „zaczepu”. Od 2005 roku rozwiązało siedem spraw przed przedawnieniem spośród dwustu, jakimi zajmowała się wówczas policja w wydziale dochodzeniowo-śledczym. Pierwszą rozpracowywaną zagadką była sprawa, którą w przeszłości prowadził jeden z obecnych policjantów Archiwum X (przed laty piastował stanowisko naczelnika Wydziału Kryminalnego KMP w Chorzowie).

1989 rok

Szóstego maja w kamienicy przy jednej z głównych ulic w Chorzowie, nieopodal kina Panorama, znaleziono zwłoki właścicielki mieszkania, Stanisławy Krobin. Ciało leżało na plecach na podłodze w środkowej części kuchni. Nogi związane na wysokości kostek linką żeglarską o średnicy centymetra. Ręce, skrupowane na plecach, związane drugim kawałkiem linki na wysokości nadgarstków. W ustach knebel z ręcznika frotté. Na oczach plaster o szerokości 5 centymetrów. Obok zwłok okulary oraz część sztucznej szczęki.

Mieszkanie splądrowano. Rzeczy porzucano po pokojach, drzwiczki stojącego w pokoju kredensu wyłamano. Przybyła na miejsce zdarzenia ekipa dochodzeniowo-śledcza (z Miejskiego Urzędu Spraw Wewnętrznych) przystąpiła do czynności operacyjno-śledczych. Zabezpieczyła ślady, rozpoczęła wstępną rekonstrukcję zajścia oraz przesłuchania świadków. Ustalono, że sprawcy, opuszczając miejsce zbrodni, zamknęli drzwi wejściowe na zamek zatrzaskowy. Celowo pozostawili klucze w drzwiach od wewnątrz, żeby trudniej było się dostać do mieszkania.

Trzy dni później milicjanci przeprowadzili oględziny kontrolne. Udokumentowano wiele cennych przedmiotów ze złota, bony depozytowe, książeczkę mieszkaniową oraz wartościowe obrazy. Oględziny nie przyczyniły się jednak do ustalenia, jakie rzeczy zostały skradzione.

Sekcja zwłok, przeprowadzona 9 maja w Zakładzie Medycyny Sądowej w Katowicach, wykazała, że przyczyną śmierci było uduszenie wskutek zakneblowania. Stwierdzono, że dodatkowym czynnikiem zmniejszającym drożność dróg oddechowych było przesunięcie protezy szczękowej poprzez ucisk knebla. Sprawcy wetknęli ręcznik w gardło ofiary zbyt głęboko. Odnotowano mnogie złamania żeber oraz sińce i krwawe podbiegnięcia świadczące o tym, że ofiara była maltretowana i kolankowana (przyciskana kolanem do podłoża).

W protokole milicyjnym zapisano: ***Wynik sekcji zwłok oraz sposób działania sprawców pozwoliły na przyjęcie tezy, że w tym konkretnym przypadku brak zamiaru dokonania bezpośredniego zabójstwa. Świadczy o tym także fakt, że sprawcy obezwładnili ofiarę, skrupowali ją i zasłonili***

oczy. Przypuszczalnie chcąc utrudnić własną identyfikację. Jednakże sprawcy krępując ofiarę, tak jak to uczyniono, musieli mieć świadomość możliwości popełnienia zabójstwa i godzili się na to. Dlatego przyjęto, że sprawcy popełnili zabójstwo.

Funkcjonariusze założyli, że sprawcy przyszli okraść mieszkanie. Zastawszy na miejscu właścicielkę, obezwładnili ją w sposób, który mógł spowodować jej śmierć.

Prokuratura rejonowa w Chorzowie wszczęła śledztwo z art. 148 kodeksu karnego. W jego toku ustalono, że Stanisława Krobin była szanowaną osobą. Jej mąż był właścicielem kina we Lwowie. Kobieta przez lata kierowała największym kinem w mieście. Będąc już na emeryturze, dorabiała na pół etatu w katowickim kinie Rialto. Uchodziła za osobę majątną. Znajomi (m.in. siostrzeniec zmarłej, Marcin Mikołajewski, oraz jej sąsiadki) zeznali, że była niezwykle ostrożna. Po zmroku nie wpuszczała do mieszkania nikogo, nawet członków rodziny.

Opierając się na zeznaniach świadków, przede wszystkim Marii Rozłuckiej, która ostatnia widziała ofiarę 4 maja około południa, oszacowano, że do morderstwa doszło tego dnia po godzinie 12.00 i nie później niż o godzinie 9.00 kolejnego dnia, kiedy to pracownica kina Zbigniewa Mroczek pukała do mieszkania ofiary, ale nikt nie otworzył. Na miejscu zbrodni zabezpieczono wiele śladów kryminalistycznych: ślady linii papilarnych, kawałki linki żeglarskiej oraz plastry, a także ślady biologiczne. Sposób wiązania węzłów na linie wskazywał, że sprawca znał się na żeglarstwie.

W trakcie śledztwa milicja otrzymała anonim wysłany z Międzyzdrojów. Nadawca podawał pewne okoliczności zabójstwa, a charakter listu sugerował, że mógł napisać go sprawca przestępstwa. Z treści wynikało, że autor podróżował pociągiem z Katowic do Międzyzdrojów. W trakcie jazdy usłyszał rozmowę dwóch mężczyzn. Przechwalali się, że dokonali rozboju w chorzowskim mieszkaniu przy ulicy Wolności, krępując tam jakąś kobietę.

Do Międzyzdrojów natychmiast wyruszyła ekipa dochodzeniowa, żeby ustalić nadawcę listu. Założono, że sprawca po dokonaniu rozboju pojechał wydać pieniądze na Wybrzeżu. Przesłuchano pracowników poczty i przeprowadzono szczegółowe rozeznanie w mieście. Sprawdzone hotele, kluby żeglarskie i sklepy handlujące sprzętem żeglarskim. Niestety, nikt

z rejonu Śląska nie zameldował się w tym czasie nad morzem. Namierzono co prawda kilka podejrzanych osób, ale nie miały one żadnego związku z prowadzonym śledztwem.

List zbadali także biegli z zakresu daktyloskopii. Nie udało się znaleźć na nim żadnych śladów linii papilarnych.

Mimo listu i tropu w Międzyzdrojach śledztwo nie nabrało rozpędu. Przesłuchano sześćdziesiąt osób i sprawdzono alibi każdej z nich. Szukano przedmiotów pochodzących z kradzieży. Śledczy usiłowali znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia, wciąż z negatywnym skutkiem. Badaniom mechanoskopijnym poddano uszkodzone meble w mieszkaniu. Zabezpieczono mikroślady na ubraniu ofiary. Ślady daktyloskopijne z miejsca zbrodni porównywano z odciskami palców osób bywających w mieszkaniu przy ulicy Wolności. Bez rezultatów. Podejmowane starania nie dały odpowiedzi na pytanie: kto zabił. Trzeciego listopada 1989 roku śledztwo zostało umorzone przez prokuraturę rejonową w Chorzowie.

2005 rok

Policjanci Archiwum X dokonali analizy zabezpieczonych śladów kryminalistycznych, żeby znaleźć nowe okoliczności, które mogłyby przyczynić się do przełomu w chorzowskiej sprawie. Biegli w laboratorium orzekli, że do badań specjalistycznych wyodrębniających profil DNA nadają się fragmenty plastra, którym ofierze zaklejono oczy, i linki żeglarskiej, którą była skrępowana.

Śledczy wykorzystali nowe możliwości, w tym rejestr odcisków NN w bazie automatycznej identyfikacji AFIS. Pieczołowicie pracowali nad określeniem cech odcisków palca ujawnionego i zabezpieczonego w 1989 roku. Ustalono, że odcisk linii papilarnych oznaczony jako ślad numer 3, zdjęty z metalowej kasetki, był zgodny z odbitką palca znajdującą się w bazie. Trafienie, potocznie nazywane hitem, przyniosło przełom. Odciski należały do Waldemara Dałkowskiego, zamieszkałego w Świnoujściu przy ulicy Kopernika. Do mężczyzny należały także trzy odciski linii papilarnych opisane w aktach jako ślady 1 a, b, c

i zabezpieczone w mieszkaniu Krobin. Bezdyskusyjnie brał udział w zbrodni w Chorzowie.

W przeszłości Dałkowski był marynarzem, pod koniec lat 90. prowadził firmę zajmującą się malowaniem okrętów. Jego pracownicy zabezpieczali poszycie statków warstwą antykorozyjną. Podczas prac z wysokiego rusztowania spadł mężczyzna, poważnie łamiąc nogi. W trakcie dochodzenia milicja natrafiła na niedopełnienie obowiązków pracodawcy i postawiła Dałkowskiemu zarzuty. W tym okresie wydziały dochodzeniowo-śledcze daktyloskopowały wszystkich zatrzymywanych.

W grudniu 2005 roku, dwa tygodnie po pomyślnej identyfikacji daktyloskopijnej w bazie AFIS, Waldemar Dałkowski został ujęty w Świnoujściu przez policjantów z wydziału dochodzeniowo-śledczego jako podejrzany o zabójstwo Stanisławy Krobin. Był zaskoczony prokuratorskim postanowieniem o zatrzymaniu. Detektywi Archiwum X mieli jedynie 48 godzin, by dowieźć podejrzanego, przesłuchać i przedstawić mu zarzut, doprowadzając przed oblicze sądu.

Laboratorium kryminalistyczne czekało w gotowości, żeby jak najszybciej (tuż po przywiezieniu podejrzanego do Chorzowa) pobrać odciski palców i zacząć je wnikliwie analizować, potwierdzając zgodność ze śladami zabezpieczonymi na miejscu zbrodni w 1989 roku. Po kilku godzinach wydało pozytywną opinię. Stała się ona podstawą do tego, żeby postawić zarzut Dałkowskiemu i na wniosek prokuratora doprowadzić go przed sąd.

Mężczyzna został szczegółowo przesłuchany. Nie chciał odpowiadać na pytania dotyczące jego związku z zabójstwem. Zaprzeczał, żeby kiedykolwiek był w Chorzowie. Szedł w zaparte, popełnił przy tym podstawowy błąd: gdyby zeznał twierdząco, nie wzmogłoby to czujności detektywów. Sąd rejonowy już następnego dnia zastosował środek zapobiegawczy i wydał wniosek o tymczasowy trzymiesięczny areszt. Śledztwo wszczęto ponownie. Policjanci wielokrotnie przywozili Dałkowskiego z aresztu do komendy na przesłuchania. Nie przekraczali swoich uprawnień, jedynie rzeczowo informowali, co może mu grozić. On jednak stanowczo twierdził, że nie miał nic wspólnego z morderstwem. Dochodziło do kuriozalnych sytuacji. Na przykład w trakcie procesu sąd na prośbę podejrzanego powołał w charakterze świadka przesłuchującego go

policjanta, który miał potwierdzić zeznania Dałkowskiego, że nie zabił Stanisławy Krobin.

Wreszcie nastąpił zwrot. Mężczyzna przyznał, że to on, żeby zmylić trop, wysłał milicji list z informacją o rozmowie dwóch mężczyzn w pociągu. Dodał, że był w Chorzowie, jednak nie sam. Był z nim Jarosław Modlin. Znali się od dziecka i wychowywali na jednym podwórku. Zimą 1989 roku Dałkowski nie mógł zdobyć pracy jako marynarz i wpadł w kłopoty finansowe. Modlin zaproponował spory zarobek. Dałkowskiemu nie wolno było zadawać żadnych pytań, a wyruszyć mogli już następnego dnia. Zgodził się. Z gigantyczną żądzą zysku wyruszyli ze Świnoujścia na Śląsk. Dojechali do Katowic, stamtąd pieszo dotarli do Chorzowa. Rzekomo tam, gdzie Modlin chciał dokonać rozboju. Na ulicy Wolności weszli do kamienicy i zapukali do właściwych drzwi. Otworzyła kobieta. Wepchnęli ją do środka i obezwładnili. Po splądrowaniu mieszkania i zabraniu kilku wartościowych rzeczy wrócili piechotą do Katowic i wsiadli do powrotnego pociągu do Świnoujścia. Dałkowski był zszokowany brutalnością kompana. Dręczyło go sumienie, bo zostawili pobitą starszą kobietę w sytuacji zagrażającej jej życiu. Dlatego wyszedł z pociągu w Międzyzdrojach i na kolanie sklecił kilka zdań w liście, który wysłał milicji w Chorzowie. Sądził, że dzięki anonimowi uda się uratować ofiarę napadu.

W pierwszej kolejności detektywi starali się ustalić miejsce pobytu Modlina i zatrzymać go. Mieli nadzieję na konfrontację i uzupełnienie zeznań Dałkowskiego. Modlin był doskonale znany organom ścigania na Wybrzeżu. Wielokrotnie zatrzymywany, zaliczył kilka odsiadek za włamania i rozboje. Zdążył dorobić się opinii bandyty trzęsącego całym środowiskiem przestępczym w północnej Polsce. Gdy odnaleźli go funkcjonariusze Archiwum X, przebywał w hospicjum niedaleko Koszalina. Krótko przed zatrzymaniem Dałkowskiego wdał się w bójkę. Trafił jednak na silniejszego od siebie. Został tak dotkliwie pobity, że doznał nieodwracalnych zaburzeń neurologicznych określanych jako zespół Korsakowa. Był w stanie wegetatywnym. Nie mógł mówić ani się poruszać.

Prokurator, który prowadził tę sprawę w Katowicach, zwrócił się z prośbą do prokuratury rejonowej w Koszalinie, aby wyznaczyła swojego pracownika, który uda się z detektywami do podejrzanego, żeby przedstawić mu zarzut i szczegółowo przesłuchać. Na miejscu nikt

o przybyciu policjantów nie wiedział. Dopiero następnego dnia odnalazł się telegram i można było przesłuchać podejrzanego. Na każde pytanie w rodzaju: „czy będzie pan składał wyjaśnienia” lub „czy przyznaje się pan do popełnienia przestępstwa”, Modlin odpowiadał, wydając z siebie nieartykułowane dźwięki. W protokole odnotowano, że nie było możliwe nawiązanie logicznego kontaktu z podejrzanym. Los sam wymierzył przestępcy sprawiedliwość.

W Chorzowie prokurator zdecydował się na powołanie biegłych, żeby ustalili, czy Modlin może wziąć udział w postępowaniu przygotowawczym. Tymczasem policjanci sprawdzali, czy Dałkowski mógł kłamać, celowo matacząc w zeznaniach i nasyłając prokuratora na ciężko chorego człowieka, który nie mógł potwierdzić jego wersji. Okazało się, że był to jednak zbieg okoliczności. Zgromadzony materiał wystarczył jedynie na wnioskowanie kary sześciu lat pozbawienia wolności. Dałkowski usłyszał zarzut udziału w napadzie rabunkowym bez zarzutu zabójstwa.

Modlin mógł zorganizować taki napad, bo w latach 90. zatrzymano go w podobnych okolicznościach w Opolu. Wtedy zeznał, że przebywając w różnych aresztach śledczych w całej Polsce, dowiedział się od innych osadzonych, że w Opolu mieszka bogaty mężczyzna, którego warto okraść. Włamanie nie udało się. W trakcie kradzieży do mieszkania wrócił właściciel i Modlin został zatrzymany na gorącym uczynku. W opinii detektywów areszty śledcze są giełdą adresów, którymi wymieniają się przestępcy z różnych rejonów kraju, by możliwie jak najbardziej utrudnić policyjne dochodzenia. Błędem pierwszego śledztwa było założenie, że sprawca pochodził ze Śląska, a nad morze pojechał tylko po to, żeby wysłać list milicji. Nie założono, że mogło być odwrotnie. Podczas procesu przed sądem rejonowym Dałkowski został skazany na 12 lat więzienia.

Podczas prac nad zgromadzeniem dokumentacji niezbędnej do analizy w kolejnym śledztwie największym problemem okazało się odtworzenie zniszczonych akt. Wyparowały w niejasnych okolicznościach. Misterne odszukiwanie wszystkich dokumentów trwało dwa lata.

Komuś zależało, żeby zniknęły, dlatego umieścił je na liście papierów do zmielenia (w policji i prokuraturze niepotrzebne i przedawnione dokumenty się niszczy). Akta sprawy prokuratorskiej składają się jednak z dwóch elementów: akt głównych i akt podręcznych prokuratora. Te drugie to kopie

wszystkich postanowień, projekty zarządzeń i decyzji oraz pokwitowania odbioru akt podczas prac w dochodzeniu. Ten, kto chciał usunąć dokumentację sprawy, nie wiedział o tym, dlatego doprowadził do zniszczenia jedynie akt głównych, a nie całego kompletu.

Nie przewidział także dociekliwości detektywów, którzy będą ponownie badać zagadkę sprzed lat. Zniszczone akta zawierały nazwiska, adresy, telefony i listę świadków. Policjanci musieli więc stworzyć nowy wykaz osób mających związek ze sprawą. Następnie ustalali ich obecne adresy i jeździli po całym kraju, weryfikując dane i namierzając ludzi mogących mieć wiedzę niezbędną do rozwiązania sprawy. Chciano ponownie ich przesłuchać. Śledczych interesowało wszystko, co zapamiętali ze swoich pierwszych zeznań. Przesłuchani zostali nawet prokurator, który w chwili spotkania z detektywami Archiwum X był już adwokatem, oraz były senator z Krakowa zajmujący się niegdyś badaniami poligraficznymi. Postępowanie dotyczące odtworzenia akt zakończono 1 lutego 2007 roku.

1980 rok

Z akt sprawy: *W dniu 12 października 1980 roku w mieszkaniu przy ul. Wolności w Chorzowie (ta sama ulica, przy której zamordowano także Stanisławę Krobin!) ujawniono zwłoki właścicielki mieszkania Cecylii Wrzosek, lat 80. Została uduszona, po wcześniejszym skrępowaniu nóg kablem telefonicznym i rąk bandażem elastycznym oraz jedwabną koszulką. Zwłoki zostały ujawnione przez sąsiadów Władysława Pięć i Lucjana Pałką, którzy wielokrotnie pukali do drzwi, jednak nikt im nie otwierał. Zawiadomili milicję. Po przyjeździe patrol wyłamał drzwi i wszedł do środka, potwierdzając, że doszło do zabójstwa. Tego samego dnia, na podstawie protokołu patologa, prokuratura rejonowa wszczęła śledztwo w sprawie pozbawienia życia Cecylii Wrzosek oraz kradzieży na jej szkodę pieniędzy w walucie polskiej i obcej na kwotę o nieustalonej wartości oraz nieznanymi bliżej wyrobów jubilerskich ze złota i srebra.*

Sekcja zwłok (przeprowadzona 13 października przez lekarza Mieczysława Jędrychowskiego w Zakładzie Medycyny Sądowej

w Katowicach) wykazała, że przyczyną śmierci było uduszenie przez zatkanie otworów oddechowych kneblem ze szmaty. Na twarzy denatki stwierdzono obecność szarej tkaniny przytwierdzonej bandażem elastycznym o szerokości 16 cm. Wykazano też zasinienie twarzy, liczne krwawe wybroczyny pod opłucną i pod osierdziem oraz obustronne złamanie żeber, które wskazywało na ucisk na klatkę piersiową przez tzw. kolankowanie. Obrażenia szyi świadczyły o duszeniu.

Z akt sprawy: W toku prowadzonych czynności procesowych zgromadzono materiał dowodowy uzasadniający wydanie postanowienia o przedstawieniu zarzutów przestępstwa Mikołajowi Leszczyńskiemu. Postanowieniem z dnia 23 grudnia 1980 roku postępowanie przeciwko wyżej wymienionemu zostało zawieszono na skutek niemożności ustalenia miejsca jego pobytu. W dniu 6 kwietnia 1981 roku Mikołaj Leszczyński został zatrzymany przez funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Bielsku-Białej podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy. W dniu 13 kwietnia 1981 roku Mikołajowi Leszczyńskiemu przedstawiono zarzut popełnienia przestępstwa z art. 148 par. 1 k.k. Podejrzany nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu, wyjaśnił jedynie, że nie pamięta, gdzie przebywał w październiku 1980 roku. W trakcie postępowania nie udało się zgromadzić materiału dowodowego, który pozwoliłby na skierowanie do sądu wojewódzkiego, obecnie okręgowego, w Katowicach aktu oskarżenia przeciwko Mikołajowi Leszczyńskiemu. W konsekwencji w dniu 31 grudnia 1981 roku wydano postanowienie o umorzeniu postępowania przeciwko podejrzanemu wobec braku dowodów dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia czynu przez wyżej wymienionego.

2005 rok

Śledczy z Archiwum X przesłuchali w charakterze świadka Rafała Okonowskiego, przedsiębiorcę z Bielska-Białej, szukającego w tym czasie kontaktu z policją. Mężczyzna dowiedział się, że powstała grupa do badania spraw niewykrytych. Wielokrotnie dzwonił do katowickiego wydziału

dochodzeniowego. Zeznawał dobrowolnie. Chciał obciążyć Leszczyńskiego. Opowiadał, że próbują zabić go gangsterzy, którzy mają na sumieniu napad w Chorzowie. O napadzie dowiedział się od swojego pracownika Kacpra Jerzyny, który był bliskim znajomym Leszczyńskiego. Po napadzie na mieszkanie Cecylii Wrzosek w 1980 roku grasowali na terenie Bielska-Białej. Przestępczy duet rozpadł się po kłótni o podział łupów. Leszczyński miał układy z Okonowskim, którego firma jako jedyna na Śląsku sprowadzała ze Stanów Zjednoczonych trudno dostępne w Polsce materiały budowlane. Mężczyźni zajmowali się także skupowaniem i wyłudzaniem działek budowlanych. Pokłócili się jednak o udziały w spółce i walczyli ze sobą poprzez zastraszanie i przekupywanie kontrahentów. Konflikt zaostriżył się do tego stopnia, że Leszczyński zorganizował zamach na współnika. Dom Okonowskiego został ostrzelany z karabinu maszynowego.

Gdy policjanci z Archiwum X przyjechali do Bielska-Białej, żeby zebrać zeznania w sprawie z 1980 roku, dowiedzieli się najpierw o strzelaninie i zamachu na życie ich informatora. Okonowski relacjonował: ***Zatrzymali się przy bramie. Nad wejściem poszła pierwsza seria. Nad oknami kolejna. Następny razem, kiedy wyjeżdżałem z garażu, zdetonowali ładunek. Odłamki zniszczyły całą bramę. Mój mercedes ma grubą blachę, na szczęście, bo mnie na miejscu by ukatrupili.***

Detektywi początkowo nie wierzyli w barwną opowieść. Sądziли, że to jedynie konfabulacja mająca odwrócić uwagę od sedna dochodzenia. Zweryfikowali informacje i okazały się one prawdziwe. Zeznania Okonowskiego stały się podstawą pracy operacyjnej.

Śledczy znaleźli w aktach notatkę o przeprowadzonych badaniach poligraficznych, ale nie było ich wyników. Docent Morawski zeznał po latach, że całą dokumentację przekazał milicji. Pamiętał, że podejrzani Jerzyna i Leszczyński okazali się niewinni. Jednak przy badaniu drugiego z nich wynikło, że był zamieszany w napad i morderstwo. Wariograf był wówczas nowinką techniczną. Wybiórczo korzystano z niego w trakcie śledztw, ale wyniki badań nie miały żadnego znaczenia w gromadzeniu dokumentacji procesowej. Obecnie sądy dopuszczają w procesach wyniki badań wykrywaczem kłamstw.

Nie udało się też dotrzeć do kopii wyniku ***badania porównawczych śladu tkaniny zabezpieczonego na folii czarnej z poręczy łóżka w mieszkaniu***

denatki ze spodniami sztruksowymi zabezpieczonymi od Mikołaja Leszczyńskiego. Do ich przeprowadzenia powołano biegłych z zakładu kryminalistyki KWP w Katowicach. Postanowienie wydano 30 kwietnia 1981 roku.

W aktach znaleziono także informację, że trzy miesiące przed śmiercią Wrzosek na próbie włamania do jej mieszkania złapano Zenona Skarbka. Mężczyzna został ponownie przesłuchany, tym razem w sprawie morderstwa. Zeznał, że o potencjalnych łupach w mieszkaniu „wdowy po ginekologu” wiedział też Leszczyński i mógł zorganizować kradzież. O wartościowych przedmiotach i pieniądzach w mieszkaniu przy ulicy Wolności w Chorzowie usłyszał pod koniec 1979 roku. Leszczyńskiego poinformował Jerzy Pietrusiak, który z kolei dowiedział się od znajomej rodziców, Aurelii Matkowskiej. Kobieta opowiadała o majątku Wrzoskowej podczas imprezy imieninowej u Pietrusiaków. Chwaląc się prezentem od przyjaciółki, mówiła, że to wdowa po bogatym ginekologu, a jej mieszkanie to istne muzeum. Przygotowania do napadu Leszczyński rozpoczął od wypytania Pietrusiaka o szczegóły życia zamożnej chorzowianki. Sprawdził w książce telefonicznej, czy przyszła ofiara ma telefon, i ustalił jej dokładny adres. Potem kilka razy pojechał do Chorzowa z Zenonem Skarbkiem, żeby przeprowadzić rozpoznanie. Dwudziestego czwartego lipca 1980 roku Skarbek został ujęty przez funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej podczas próby włamania do mieszkania Cecylii Wrzosek.

2006 rok

Dziewiętnastego czerwca w katowickiej prokuraturze okręgowej przesłuchano w charakterze świadka Kacpra Jerzynę. Mężczyzna opisał przebieg zdarzeń w dniu 11 października 1980 r. i rolę, jaką odegrał Mikołaj Leszczyński. Przesłuchanie prokuratorskie trwało osiem godzin.

Leszczyński poprosił Jerzynę, żeby pojechał z nim do Chorzowa, żeby pomóc mu w skontaktowaniu się z ludźmi, z którymi prowadził interesy (dłużnicy unikali z nim kontaktu, dlatego niezbędna okazała się interwencja). Plan był prosty: Jerzyna miał zapukać do wskazanego

mieszkania w Chorzowie i oświadczyć, że dostarcza telegram. Po przyjeździe na miejsce przeszli przez bramę przy ulicy Jagiełły, weszli na podwórze kamienicy, a następnie do klatki schodowej mieszczącej się przy ulicy Wolności. Gdy Jerzyna zapukał do wskazanych drzwi na pierwszym piętrze, Leszczyński ukrył się na półpiętrze między kondygnacjami. Nie chciał być widoczny. Drzwi otworzyła starsza kobieta. W tym momencie Leszczyński zbiegł ze schodów i agresywnie wepchnął kolegę do mieszkania. Na głowie miał pończochę. Rzucił się na kobietę, przewrócił na podłogę, złapał za szyję i przydusił. Następnie kolankując ofiarę, skrępował jej ręce bandażem elastycznym i koszulą, a nogi kablem telefonicznym. W usta wepchnął knebel i obwinął go bandażem elastycznym, zakrywając nos i usta kobiety. Potem pobiegł w głąb mieszkania. Jerzyna został w przedpokoju. Nie wiedział, jak zareagować. Leszczyński nakazał mu wyjść na zewnątrz i dokładnie wszystko obserwować. Sam przeszukał mieszkanie, ukradł złotą zastawę stołową, biżuterię i gotówkę. Jerzyna odwiózł współnika do Żor, gdzie ten wynajmował mieszkanie, i wrócił do Bielska-Białej. Po kilku dniach Leszczyński skontaktował się z nim i kazał przywieźć buty, w których był w mieszkaniu podczas napadu. Poinformował, że okradziona kobieta zmarła, bo udusiła się z powodu polipów w nosie. Zabronił mówienia komukolwiek o tej sprawie.

Groźba okazała się skuteczna. Chociaż Jerzyna był wielokrotnie przesłuchiwany w sprawie zabójstwa Cecylii Wrzosek, nigdy nie opisywał szczegółowo zdarzeń, których był świadkiem, bo bał się Leszczyńskiego. Po dwudziestu latach uznał, że już się nie boi, ponieważ Leszczyński został skazany na karę 15 lat więzienia za sprawstwo kierownicze w wyroku zabójstwa.

Udział w napadzie to przestępstwo, które już się przedawniło, dlatego detektywi Archiwum X zdecydowali się zrobić z Jerzyny świadka. Liczyli, że doprowadzi do przedstawienia zarzutów wciąż wymykającemu się prokuraturze Leszczyńskiemu.

Piątego lipca 2006 roku Jerzyna wziął udział w eksperymencie procesowym (wizji lokalnej), podczas którego raz jeszcze opisał przebieg zdarzeń z października 1980 roku. Jego zeznania miały duże znaczenie w gromadzeniu zupełnie nowych informacji o zabójstwie. Kolejne przesłuchania przeprowadzono w obecności biegłego sądowego psychologa, który w opinii napisał: ***Procesy poznawcze i intelektualne***

Kacpra Jerzyny funkcjonują prawidłowo, warunkując prawidłowe zapamiętywanie i odtwarzanie swoich spostrzeżeń. U świadka nie stwierdzono wad pamięci powodujących konfabulację. Relacje mają zasadniczo logiczną strukturę i są spójne.

Mikołaj Leszczyński otrzymał areszt nakładczy. Przesłuchany w charakterze podejrzanego nie przyznał się do zarzucanego mu czynu i wyjaśnił, że rzeczywiście wiedział o zamożności Cecylii Wrzosek. Planował dokonanie kradzieży z włamaniem, dlatego wcześniej przyjeżdżał do Chorzowa na obserwację mieszkania kobiety. Zabójstwa dokonał jednak Jerzyna ze swoim bratem Olgierdem Nowackim, on tylko pomógł pozbyć się wyrobów ze złota, które zabrali z mieszkania Wrzosek. Jerzyna go pomógł, bo są w konflikcie. Policjanci wyjaśnili tę kwestię. Wykazali, że do incydentów między Leszczyńskim a Jerzyną dochodziło w latach 1999–2001. Nie miały one wpływu na przestępstwo z roku 1980.

To, co mówił Leszczyński, było dla policji mało wiarygodne. Materiał dowodowy mocno go obciążał; w szczególności zeznania Jerzyny, które zostały drobiazgowo zweryfikowane. Wersja Leszczyńskiego była także sprzeczna z zeznaniami innych świadków, w tym prokuratora, który prowadził pierwsze postępowanie. Podczas nierejestrowanej rozmowy w prokuraturze mężczyzna perfidnie przyznał się do winy, kpiąc jednocześnie, że nie ma na niego żadnych dowodów. Prokurator opowiedział o tym detektywom podczas prac odtwarzających akta.

W charakterystyce sprawy odnotowano: ***Mając na uwadze zgromadzony materiał, uznano, że Mikołaj Leszczyński wykazał swoim zachowaniem znamiona zarzucanej mu zbrodni zabójstwa, o czym świadczył sposób zachowania sprawcy, dysproporcja sił pomiędzy oskarżonym a pokrzywdzoną, brak jakiegokolwiek pomocy ze strony oskarżonego w stosunku do ofiary. Dodatkowo Mikołaj Leszczyński działał wobec Cecylii Wrzosek w sposób gwałtowny, brutalny i bezwzględny. W chwili popełniania zbrodni był dwudziestotrzyletnim silnym mężczyzną, który zaatakował niedołązną osiemdziesięcioletnią kobietę.***

Dziewiętnastego grudnia 2007 roku skierowano akt oskarżenia do sądu okręgowego w Katowicach. Na mocy wyroku, który zapadł w 2010 roku, Leszczyński dostał 15 lat pozbawienia wolności. Odwołał się i sąd apelacyjny złagodził mu karę do lat 12. Wyszedł po czterech latach ze względu na zły stan zdrowia. Odwiedzała go konkubina. Często

przychodziła z charakterystycznym notesem. W trakcie widzeń skazany rozliczał ją z zadań i zlecał kolejne. Kobieta zbierała także informacje na temat bieżącej pracy Archiwum X. Prawdopodobnie obawiając się ustaleń śledczych, Leszczyński wydelegował kogoś, kto dotarł do pracownicy sekretariatu prokuratury. Zastraszył ją i w konsekwencji doszło do zniszczenia akt głównych. Podczas rozmowy z prokuratorem detektywi sporządzili listę wszystkich osób mających dostęp do dokumentów. Trafili na pracownicę sekretariatu prokuratury, która dziwnie zachowywała się podczas przesłuchania. Ewidentnie sugerowała, że brała udział w niszczeniu akt. Niestety, policjanci oprócz podejrzeń nie mieli przeciwko niej żadnych dowodów.

Według niepotwierdzonych informacji tuż po rozboju w 1980 roku Leszczyński pojechał do Austrii, żeby sprzedać przedmioty skradzione w Chorzowie. Tam uzyskał walutę, która stała się podstawą jego **wysokiej klasy działalności przestępczej i obrotu dużymi pieniędzmi**. Nie podzielił się z Jerzyną łupami z włamania (policjanci przypuszczali, że Wrzoscowa miała w domu także neseser z dolarami, dlatego nie ukradł wartościowych obrazów). W latach 80. miał pseudonim „Kwadrat”. Tak określało się mieszkanie do kradzieży. Zdaniem detektywów z Archiwum X wiele nieruchomości w Bielsku-Białej należy do Leszczyńskiego. W nie inwestował pieniądze z działalności przestępczej. Przed procesem rozwiódł się, ale żona została jego konkubiną. Na nią i na córki przepisywał akty własności nieruchomości.



Niemal każdy korytarz prowadzący do archiwum wywiadu kryminalnego wygląda obskurnie. Policjanci dochodzeniowo-śledczy spędzają tu całe zawodowe życie.

§

Rozmowa z Szerszeniem, detektywem Archiwum X w Katowicach

Często macie pewność, kto zabił, ale brakuje wam dowodów, które przekonają prokuratora?

W tej chwili jest wiele takich przypadków. Policjant może mieć pewność, kto jest winny, ale jeśli nie jest w stanie tego udowodnić, zebrać wystarczająco dużo obciążających dowodów, polegnie. Mogę opowiedzieć o dwóch zbrodniach doskonałych. Wiemy, kto się ich dopuścił, ale winni nie ponieśli żadnej odpowiedzialności karnej. Jeden przestępca został uniewinniony przez sąd, drugi nie był nawet zatrzymany, bo prokurator nie wyczuł momentu, kiedy można byłoby to zrobić. Obecnie jest już to niemożliwe, bo sprawa się przedawniła.

Jak się pracuje ze świadomością, że bandyta nie poniósł żadnej kary, a wymiar sprawiedliwości nie działa?

Trudno. Niektórych to wkurza i daje napęd do tego, żeby jeszcze intensywniej prowadzić dochodzenia. Inni zrzucają to z siebie, zapominają i pracują dalej. Nie jesteśmy jedynymi, którzy powinni dostrzec ten problem. Ponad policją są jeszcze dwie ważne instytucje: prokuratura i sąd. Niejednokrotnie najtrudniej przekonać prokuratora do naszych spostrzeżeń i uwag, a w dalszej kolejności i sądy. Uważam, że w postępowaniach jest poważna wada. Nikt nie słucha policjantów, choć nasze wskazówki są drogocenne. Jesteśmy przecież najbliżej spraw i widzimy, co działa w naszym systemie sprawiedliwości dobrze, a co źle.

Policjant zajmuje najniższą pozycję w hierarchii systemu sprawiedliwości?

Poniekąd tak. Niektórzy mogą nas uważać za gorszych, bo mało znaczących. A przecież to my prowadzimy sprawy i znamy je od podszewki. Zastanawiam się, czy nie warto stworzyć instytucji oficera

śledczego, który byłby w trakcie procesów przesłuchiwany przed sądem na okoliczność sposobu dochodzenia do pewnych wniosków, prowadzenia postępowania i przedstawienia swojej tezy dotyczącej śledztwa. Proces zyskałby, gdyby to policjant był sprawozdawcą całego dochodzenia. Sędzia nie jest w stanie poznać wszystkich szczegółów, czasem kluczowych dla spraw. W sądzie podczas rozpraw nasze teorie rozłączą się i gubi się ich sens. Jest wiele błędów, które ludzie popełniają, bo czegoś nie dopilnowali lub kogoś nie wysłuchali. Potem delikwent, który powinien siedzieć, jest zwalniany z powodu niedopatrzeń. Dzieją się cuda. Pierwszym lepszym przykładem niech będzie Katarzyna W.

Słynna mama Madzi z Sosnowca.

Gdyby sędzia poznał meritum od policjanta prowadzącego tę sprawę, może podjąłby inną decyzję. Miałby dodatkową wiedzę. Jednak funkcjonariusz nigdy nie jest dopuszczany do głosu. Prostym eksperymentem byłoby przekazanie trzech kompletów akt tej samej sprawy trzem sędziom. Myślę, że w takiej sytuacji każdy z nich podjąłby inną decyzję. Swobodna ocena dowodów nie zawsze daje dobre rezultaty.

Czyli na linii policja – prokuratura współpraca nie przebiega najlepiej?

Można tak powiedzieć. Wyjątki oczywiście są. Gdyby nie prokurator Grześkowiak i jego dociekliwość przy sprawie Katarzyny W., nie skończyłoby się to skazaniem i finałem, jaki wszyscy poznaliśmy. Czuć sprawiedliwości się tępi. Co roku przychodzą do mnie do wydziału aplikanci. Wydają się zapaleni i przejęci pracą do granic możliwości. Jednak kiedy zostają już prokuratorami, ten entuzjazm gdzieś ulatuje. Prokuratura zaczyna zamieniać się w adwokaturę. Zamiast ścigać, zajmuje się tworzeniem strategii, w jaki sposób sprawa będzie broniona przed sądem. Mieliśmy zły model postępowania sądowego, gdzie prokurator siedział na tyłku, nie działając w ogóle w terenie. Prokuratorzy mają przecież dyżury i z dyżuru idą na rozprawę. Jak w takiej sytuacji mają bronić sprawy i doprowadzić do skazania, skoro nie znają najistotniejszych szczegółów śledztwa? Każdorazowo prokurator prowadzący postępowanie przygotowawcze powinien być w sądzie na rozprawie jako twardy oskarżyciel. Tam, gdzie jest prosta sprawa, prokurator i sąd mają proste zadanie, z którego przeważnie wywiązują się doskonale. Natomiast

wszędzie, gdzie pojawiają się zawiłości i mnóstwo niuansów, adwokaci potrafią je wyłapać i zastosować na korzyść swojego klienta. Jeśli prokurator nie przedstawia zdecydowanie swojego stanowiska i nie zna sprawy, nie dochodzi do wyroków, na jakie zasługują przestępcy.

Ustawodawca, regulując ten problem, mógłby uzdrowić system?

I to w dużym stopniu. Obecnie sędzia przeprowadza wszystkie dowody.

A co wtedy robi prokurator?

Stoi w tozde i słuca. Był pan kiedyś świadkiem na jakiejś rozprawie?

Nigdy.

Jako policjant w kilku sprawach zeznawałem w charakterze świadka. Tak dzieje się zwłaszcza wtedy, gdy jesteśmy pierwsi na miejscu zdarzenia. Nie przesłuchuje się jednak nas na okoliczność przebiegu postępowania, tylko pierwszych czynności. Wówczas sędzia zadaje pytania, obrońca także to robi, a prokurator milczy, choć aż się prosi, by wyłapywał wszystko na korzyść sprawy. Ale do tego potrzebne są ta wiedza oraz inna konstrukcja systemu z obowiązkami i uprawnieniami prokuratorskimi.

Taka sytuacja ośmiela bandytów?

Na tyle, by cynicznie grać w sądzie. Sam fakt, że bandyci mają tę wiedzę i potrafią doskonale wykorzystywać luki, świadczy niedobrze o naszym systemie sprawiedliwości. Mamy nawet sprawę morderstwa, w której zabójca został uniewinniony. Sąd nie dociekał, dlaczego ślady podejrzanego były na miejscu zbrodni. Podczas procesu biegły powołany przez sąd zachwiał aktem oskarżenia. Stwierdził, że nie można ustalić, kiedy powstały odciski palców i czerwieni wargowej zabezpieczone w mieszkaniu ofiary. Jego zdaniem nie można wykluczyć, że podejrzany zostawił je tam kilka dni przed śmiercią denata. Dodatkowo luźno związane więzy oraz podłożenie pod szyję ręcznika świadczą o tym, że ofiara sama się podduszała w wyniku praktyk autoerotycznych i zginęła z powodu nieszczęśliwego wypadku. Gdyby było to zabójstwo, musiałyby być na miejscu zbrodni ślady walki, a takich nie znaleziono. Wyobraża pan to sobie: ofiara, która ma 2,7 promila alkoholu we krwi! Przecież to dętka, można z nią zrobić wszystko. Biegły podważył także opinię psychologa

policyjnego, który przygotował profil psychologiczny sprawcy. Uznał, że w 70 proc. profil mordercy pasuje także i do niego. Sąd nie przesłuchał biegłego badającego oskarżonego, tylko przesłuchał zupełnie innego biegłego, który przyjechał z Warszawy, nie znając akt sprawy. Policjanci nawet nie wiedzieli, że sąd tego biegłego powołał. Niemożliwe jest, żeby ustalić, kiedy powstały ślady daktyloskopijne, to czysta spekulacja. Nie wolno tego robić. Można jedynie stwierdzić, że te ślady są. Na każdą tezę obrony prokurator mógł stworzyć kontrtezę, jak choćby taką, że ofiara nie pozwoliłaby, aby ktoś ukradł rzeczy właściciela mieszkania, którym opiekowała się przez dwa tygodnie. Sąd okręgowy w Katowicach oczyścił oskarżonego z zarzutu zabójstwa. Podobno kiedy mężczyzna usłyszał wyrok, z wrażenia aż się zachwiał. Z sądu wyszedł jako wolny człowiek. Prokuratura nie przyłożyła się do tej sprawy. Zebrane dowody były za słabe, żeby skazać człowieka, choć do dyspozycji były odciski palców, czerwień wargowa ze szklanki, ślady DNA z ubrania, które porzucił sprawca, przebierając się w czyste ciuchy skradzione z miejsca zbrodni. Miał motyw i zgadzał się jego profil. Był podany na srebrnej tacy!

Nie korciło was, żeby coś z tym zrobić?

Co mogliśmy zrobić? Jedyne narazić się na sprawę o zniesławienie sądu. Może inny sędzia osądziłby to inaczej. Już w 1990 roku podczas pierwszego śledztwa pojawiła się teza, że ofiara przyprowadziła do mieszkania kogoś, kogo znalazła na dworcu. Do tej tezy idealnie wpisuje się oskarżony, który od 1990 roku był regularnie legitymowany na dworcach PKP w całym kraju, szukając tam kontaktów. Można by zrobić z tego postępowanie poszlakowe. Potrzebna jest jednak wola prokuratora i sądu.

Co znajduje się w tej pancernej szafie za pana plecami?

Około dwustu spraw z naszej działalności. Wyszliśmy z założenia, że każdą z nich musimy badać osobno. Wiem, że niekiedy policjanci typowali tylko te, w których jest większe prawdopodobieństwo wykrycia sprawców, lub dostawali polecenie, żeby zająć się konkretnym przypadkiem. My działamy po kolei. Zaczynamy od gruntownego poznania akt. Dalej spotykamy się ze wszystkimi jednostkami, w których było prowadzone pierwsze śledztwo. Wiele starych spraw nie jest w ogóle ewidencjonowanych w systemie

policyjnym, dlatego zwykle wszystko zaczyna się od zarejestrowania tych dokumentów. Nikt nie pomyślał, żeby zdigitalizować stare sprawy od okresu przedawnienia.

Od 2005 roku jeździmy do jednostek policji podległych komendzie wojewódzkiej i prosimy o wykaz wszystkich RSD zabójstw (rejestr śledztw i dochodzeń) od okresu przedawnienia, czyli sprzed trzydziestu lat. Poświęcamy kilka dni, by kartka po kartce wynotować niewykryte sprawy. Początkowo nasza praca sprowadzała się do inwentaryzacji. Jeśli my nie zajęlibyśmy się merytorycznie tymi sprawami, czekałyby już tylko na przedawnienie. Jesteśmy ostatnią szansą na ujęcie sprawców. Na przykład w Częstochowie mamy do sprawdzenia czterdzieści sześć zabójstw, od 1981 roku do dziś, które jeszcze się nie przedawniły. Czytamy od deski do deski każdy tom akt i według przygotowanego wcześniej formularza wypisujemy *modus operandi*, zabezpieczone ślady, rodzaj przeprowadzonych badań oraz przepytanych świadków. Jeśli stwierdzamy, że coś trzeba zbadać, docieramy do dowodów rzeczowych i od początku wszystko analizujemy. Zaczynamy od oceny tych dowodów. Sprawdzamy, które nadają się do badań w laboratorium kryminalistycznym. Jeżeli są do tego odpowiednie, informujemy prokuraturę o naszych zamiarach. Zazwyczaj wszystkie zgody dostajemy od ręki. Najważniejsze w pierwszej analizie jest stwierdzenie, czy na miejscu zbrodni są jakiegokolwiek niezidentyfikowane ślady daktyloskopijne. Jeżeli takie są, ustalamy, czy zostały wcześniej zarejestrowane w systemie AFIS. Ponieważ jednostki terenowe zwykle nie mają na to czasu, to my wysyłamy komplet tych śladów do laboratorium, czekając na informację zwrotną. Jeśli udaje się ustalić, do kogo należą ślady, możemy rozpracować, kim jest ten człowiek, co robi, gdzie mieszka. Wówczas zaczyna się nowe dochodzenie w ścisłej współpracy z prokuraturą. Samo trafienie w AFIS nie jest żadnym materiałem dowodowym. Dlatego trzeba zebrać i potwierdzić wiele informacji o osobie, którą się interesujemy. Jeśli prokurator wydaje wniosek o zatrzymanie, przywozimy człowieka do prokuratury na przesłuchania i pobieranie odcisków daktyloskopijnych oraz próbek DNA. Jeśli podejrzany jest zatrzymany w innym mieście, tak jak w przypadku uniewinnionego sprawcy był to Dworzec Centralny w Warszawie, zostaje sporządzona dokumentacja osadzenia w areszcie. Od nas jedzie konwój, przywozi go do Katowic. Prokurator przejmuje podejrzewanego,

przedstawia mu zarzut i taka osoba formalnie staje się podejrzanym. Wówczas możemy z nim rozmawiać. W tym przypadku zatrzymany nie chciał współpracować. Był starym kryminalistą, więc wiedział, że nie musi zeznawać. Milczał. Kiedy zatrzymujemy kogoś nienotowanego, przesłuchania idą lepiej. W tym przypadku, kiedy sąd uniewinnił ewidentnego sprawcę, zacząłem zastanawiać się nad sensem mojej pracy. Można było mu udowodnić kradzież, do czego wystarczą odciski palców na miejscu zdarzenia, ale morderstwa już nie. Skoro ślady daktyloskopijne i biologiczne na miejscu zbrodni należały do zatrzymanego, powinien odpowiadać za zabójstwo. Pasował do profilu i miał motyw. Dowodowo wszystko wskazywało na niego. Jednak trzeba przełknąć taką porażkę i dalej jak najlepiej robić swoje. My gromadzimy tylko dowody w śledztwie, dalej wszystko w rękach prokuratora i sądu. Sukcesy policji nie zawsze są sukcesami wymiaru sprawiedliwości.

Dziennikarze są wam pomocni, nagłaśniając stare sprawy w mediach?

Jeśli myśli pan, że teksty odświeżają ludziom pamięć i dzięki temu zgłaszają się nowi świadkowie, to tak się nie dzieje. W jednej z lokalnych gazet powstał nawet cykl z gatunku „997”. Opisywano stare sprawy, ale w żaden sposób nie przydało się to w dochodzeniach i gromadzeniu nowych dowodów. Jedyne, co do nas dociera, to informacje wypuszczane przez osadzonych, którzy chcą złagodzić sobie wyrok i wymyślają jakieś nowe okoliczności. Liczą, że policja połknie haczyk. Oczywiście każdą informację musimy sprawdzić. Szybko weryfikujemy, co jest kłamstwem i manipulacją, a co prawdą.

Po jedenastu latach pracy w Archiwum X wiemy, że raczej nie pojawi się świadek, który powie coś nowego na temat sprawy. Możemy liczyć tylko na siebie. Na początku wydawało się nam, że pójdzie sprawnie, bo udało się trafić kilka hitów w bazie AFIS. Ale zmieniono przepisy dotyczące rejestracji w AFIS. Odstąpiono od notowania w niej sprawców wypadków czy alimenciarzy, więc baza zubożała. Możemy rejestrować tylko osoby do postępowania karnego, w którym zabezpieczono ślady daktyloskopijne. Od 2009 roku widzimy, że mimo iż wysyłamy podobną liczbę śladów daktyloskopijnych do badań porównawczych w AFIS, skończyły się hity. Przepisy związały nam ręce. Każdy policjant przyzna, że wszyscy, którzy popełnili kiedyś przestępstwo, wcześniej czy później zrobią coś, co sprawi,

że policja będzie mogła zebrać nowe dane i weryfikować z tym, co nie zostało wykryte. Może taki człowiek nie dopuści się włamania i będzie żył uczciwie, ale np. doprowadzi do wypadku, a wtedy jest szansa, że udowodnimy mu inne przestępstwo, bo zostaną pobrane od niego karty daktyloskopijne z odciskami dłoni i palców. Życzyłbym sobie, żeby absolutnie każda osoba podejrzana o popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa, łącznie z pijanymi kierowcami, została zarejestrowana w systemie AFIS.



POZNAŃ
– ZABÓJSTWO DZIEWCZYNKI



1998 rok

Czwartek, 19 marca. W łazience mieszkania będącego częścią jednej ze starych kamienic przy ulicy Średniej w Poznaniu policja zastała zwłoki dziecka. Ofiarą była dwunastoletnia Lilka Press. Rodzice nastolatki dopiero po powrocie z pracy zauważyli, że coś było nie tak. Pierwszy pojawił się ojciec, około godziny 15.00; kilka minut potem brat Lilki, czternastoletni Sebastian, chwilę później matka. Zdziwił ich panujący nieład oraz to, że mieszkanie nie było zamknięte na klucz. Zaskoczył bałagan w pokoju Lilki i jej starszej siostry Asi, bo dziewczynki bardzo dbały o porządek. Zaniepokoiła rozrzucona pościel i zrzucony z szafki budzik, który zatrzymał się na godzinie 8.50. Straszną prawdę odkryli w łazience. Znaleźli Lilkę owiniętą prześcieradłem i zanurzoną w wannie. Dziewczynka nie żyła. Rodzice natychmiast wezwali pogotowie i policję. Przybyły na miejsce lekarz określił, że zgon nastąpił między 8.00 a 9.00 rano.

Feralnego dnia rodzeństwo Lilki wyszło do szkoły wcześniej niż zwykle. Asia zaczęła zajęcia tuż po siódmej rano, brat niedługo później. Nastawili więc siostrze budzik na 8.30, żeby nie spóźniła się do szkoły. Ostatnia osoba wychodząca z mieszkania Pressów miała obowiązek zatrzaskać za sobą drzwi. Tego dnia najwyraźniej tą osobą nie była Lilka...

Rozpoczęły się rutynowe oględziny. Ekipa dochodzeniowo-śledcza z komendy rejonowej Poznań Nowe Miasto uwijała się jak w ukropie. Zabezpieczano ślady i przedmioty z pokoju dziewczyn. Pościel z łóżka i piżamę, w której została znaleziona Lilka, spodenki, które miała naciągnięte na głowę, rzemyk, który nosiła na szyi, oraz kolczyki, które miała w uszach. Na miejscu zbrodni zabezpiecza się przedmioty w całości, aby potem można je było zbadać w laboratorium.

Śledczy przepytali wszystkie osoby w bezpośrednim sąsiedztwie. Niestety, nikt nic nie widział ani nie słyszał. Funkcjonariusze zebrali szczegółowe informacje dotyczące Lilki, zrekonstruowali nie tylko ostatnie 48 godzin jej życia, ale i to, jaka była. Wszystko mogło pomóc w śledztwie. Z relacji bliskich i sąsiadów wyłonił się obraz dobrze ułożonej, pogodnej dziewczynki, która wyróżniała się sportową pasją. Trenowała gimnastykę artystyczną, poświęcała jej niemal każdą wolną chwilę. Dobrze się uczyła. Rodzice pękali z dumy, gdy dostała zaproszenie do wzięcia udziału w turnieju sportowym we Francji. Stało się to kilka dni przed jej śmiercią.

Bliscy zeznali, że słyszeli, jak dwunastolatka chwaliła się koleżankom, że ma dużo starszego chłopaka. Wnikliwie badając ten wątek, śledczy odkryli niepokojące fakty. Ustalili, że dziewczynka często bywała w domu przyjaciółki matki, Bożeny Dębickiej, swojej chrzestnej. Ta trzydziestopięcioletnia kobieta wcześniej owdowiała i miała nowego, aż o dziesięć lat młodszego męża, Cezarego. Jej córki z pierwszego małżeństwa były w podobnym wieku, co dzieci Pressów. Podczas przesłuchania Dębicka opowiedziała śledczym o dziwnym zdarzeniu sprzed kilku miesięcy. Lilka wpadła wówczas do nich po szkole, chcąc koniecznie widzieć się z „wujkiem”, a ponieważ nie było go w domu, zostawiła dla niego list. Złożona na pół kartka z niewyrobnym jeszcze pismem uczennicy zawierała dwa zdania: „Czarku, musimy sobie coś wyjaśnić. Ten pocałunek nie daje mi spokoju”. Bożena przeczytała liścik, a przekazując go mężowi, domagała się wyjaśnień. Ten zapewniał, że nie doszło do

żadnych pocałunków, z wyjątkiem tych niewinnych podczas składania życzeń imieninowych. Dziewczynka po prostu coś niewłaściwie odebrała. Bożena zbagatelizowała zajście.

Nie zbagatelizowali go jednak śledczy. Cezary Dębicki został wytypowany jako osoba, którą trzeba wnikliwie przesłuchać. W trakcie zatrzymania policjanci zabrali ubranie, które podejrzany nosił 19 marca: czarny półgolf w białe wzory, spodnie dżinsowe, buty i kurtkę. Zabezpieczony został także list od Lilki.

W trakcie przesłuchania wyszło na jaw, że feralnego dnia Dębickiego nie było w pracy przez całe przedpołudnie. Przyszedł podpisać się na liście obecności, po czym zwolnił u kierownika, żeby rzekomo załatwić w sądzie sprawę alimentacyjną (na córkę z poprzedniego związku). Do sądu jednak nie dotarł. W pracy i w prokuraturze przedstawił potem wersję, że pojechał na kilka godzin do domu, gdyż podejrzewał, że żona go zdradza. Czaił się ponoć w rowie przy ulicy i zza krzaków obserwował budynek, sprawdzając, czy Bożena wychodzi albo przyjmuje jakichś gości. Niestety, jego wersji wydarzeń nie można było potwierdzić.

Dębicki był przesłuchany jedynie w charakterze świadka. Śledczym zapadła w pamięć jego charakterystyczna, niemodna już fryzura z lat 80. „na Limahla” oraz fakt, że początkowo zbyt gorliwie zaprzeczał, że miał z Lilką jakiegolwiek kontakty. Tymczasem jego żona zeznała, że zawsze dziwiła się, jak często Cezary bez niej odwiedzał Pressów. Nawet zastała go tam kilka razy tylko z Lilką. Tłumaczył się wówczas, że przyszedł do Pressów na kawę. Żonę zdziwiła poranna pora tych odwiedzin, wszak jej siostra i mąż zawsze byli w pracy, dzieci w szkole, jedynie Lilka zaczynała lekcje nieco później.

Początkowo Cezary zaprzeczył, dopiero gdy śledczy poinformowali go, że w pokoju dziewczynek było mnóstwo jego odcisków palców, zmienił taktykę. Przyznał, że owszem, przebywał niekiedy sam w pokoju z Lilką, ale tylko dlatego, że słuchali tam razem muzyki. Policjantom wydało się podejrzane, że dorosły mężczyzna, przychodząc z żoną i trzema pasierbicami do znajomych, nie spędzał czasu z dorosłymi, tylko siedział w pokoju z dwunastolatką, a ani jej rodziców, ani ciotki to nie dziwiło. Ponieważ jednak na tym etapie śledztwa w materiale dowodowym nie znalazło się nic, co pozwoliłoby go aresztować, Dębicki został wypuszczony.

Zabezpieczone na miejscu zdarzenia dowody niezbitnie wskazywały na to, że dwunastolatka została zamordowana. Biegli orzekli, że do zabójstwa doszło na tapczanie, potem zwłoki przeniesiono do łazienki. Ciało ułożono na prawym boku, głową do drzwi. Dziewczynka miała podkulone nogi, na sobie koszulkę podciągniętą do wysokości żeber, a na głowie naciągnięte spodenki od piżamy. To od razu zwróciło uwagę prokuratury i policji, bo sprawcy znający swoje ofiary często zasłaniają im twarz. Porzucony w przedpokoju radiomagnetofon miał sugerować rabunkowy motyw tego zabójstwa. Morderca próbował upozorować włamanie.

Lilka miała otarcie na szyi z lewej strony za uchem i delikatny ślad przy oku, świadczące o walce ze sprawcą. Biegli orzekli, że nie została jednak wykorzystana seksualnie, a śmierć poniosła przez uduszenie od tyłu rzemykiem, który nosiła na szyi.

Według hipotetycznej rekonstrukcji całego zajścia sprawca wszedł do mieszkania, kiedy Lilka jeszcze spała. Gdy doszło do próby kontaktu intymnego, dziewczynka zaczęła się bronić. Być może postraszyła, że powie o wszystkim rodzicom. Wówczas doszło do szarpaniny, ale przewaga sprawcy była duża. Dorosły mężczyzna szybko obezwładnił dwunastolatkę i udusił ją. W trakcie szamotaniny z szafki obok spadł budzik (został znaleziony na łóżku), z którego pod łóżko wypadła bateria. Wskazówki zatrzymały się na godzinie 8.50.

Dębicki został zwolniony z tymczasowego aresztu, ale śledczy kontynuowali dochodzenie, aby udowodnić jego winę. W laboratorium kryminalistycznym w Komendzie Wojewódzkiej w Poznaniu na swetrze podejrzanego biegli ujawnili mikroskopijną plamkę krwi. Był to jednak rok 1998. DNA nie badano tak precyzyjnie jak teraz. Gdy biegli uprzedzili, że podczas badania tak mały ślad zostanie bezpowrotnie zniszczony, a same analizy mogły nie dać pożądanego efektu, prokuratura ich zaniechała.

Nieoczekiwanie po kilku miesiącach pojawił się w śledztwie nowy wątek. Babcia Lilki zeznała, że brat ofiary, jej wnuczek Sebastian, miał coś wspólnego z zabójstwem siostry. Kobietę niepokoiło agresywne zachowanie chłopaka, które znacząco nasiliło się po śmierci Lilki. Prawdopodobnie była to reakcja nastolatka na ogromny stres, jaki przeżywał w związku z tragiczną śmiercią siostry, ale zapytany przez babcię, kto mógł to zrobić, wykrzyczał że on. Przesłuchiwany po zeznaniach babci Sebastian niezmiennie powtarzał, że zabił Dębicki.

Dowodów na jego winę jednak nie było. A im więcej czasu upływało od zdarzenia, tym trudniej było ustalić jakiegokolwiek nowe fakty. Chociaż prokuratora nie rezygnowała, co jakiś czas wracała do sprawy i analizowała ją, sprawdzając, czy coś nie zostało pominięte albo czy istnieje jeszcze jakaś okoliczność, która może pomóc w ujęciu mordercy, rok później śledztwo zostało umorzone.

2009 rok

W wydziale dochodzeniowo-śledczym w Poznaniu pojawił się nowy funkcjonariusz. Dostał same trudne i niewyjaśnione sprawy, odgrzebał też zabójstwo Lilki Press. Wnikliwie zapoznał się z aktami i zaczął analizę.

Najpierw zajął się niezbadaną dotychczas mikroplamką na swetrze Cezarego Dębickiego zabezpieczonym w pierwszych godzinach dochodzenia w 1998 roku. Od tamtego czasu nastąpił spory postęp w genetyce, można więc było powołać biegłych genetyków dysponujących znacznie bardziej zaawansowanymi metodami. Mikroślad był dobrze przechowywany i na szczęście nie uległ rozkładowi. Po kilkunastu dniach analiz niezbitnie wykazano, że to żeńskie DNA, a na podstawie badań matki, siostry i brata ofiary (rodzina w najbliższym stopniu pokrewieństwa ma identyczne DNA) okazało się, że w 100 proc. mikroślad na swetrze Dębickiego to krew Lilki Press. Podobnie jak włosy znalezione na tym samym swetrze. To wystarczające dowody, aby powrócić do sprawy, ale niewystarczające do postawienia podejrzanego w stan oskarżenia. Dębicki nadal mieszkał w Poznaniu i prowadził sklep z częściami elektrotechnicznymi oraz pogotowie elektryczne czynne 24 godziny na dobę. Bardzo zmienił się fizycznie, przytył i się postarzał. Dawno rozwiódł się z Bożeną, a z córką z pierwszego związku nie utrzymywał kontaktu.

Policja postanowiła jeszcze raz przesłuchać wszystkich świadków, bo czasami coś komuś się przypomniało. Matka Lilki zeznała, że po dwóch latach od śmierci córki na ulicy przed domem zaczęła ją jakaś kobieta. Zapytała, czy są postępy w dochodzeniu i czy morderca został aresztowany. Kiedy dowiedziała się, że niestety nie, zdziwiła się, mówiąc, że przecież

widziała sprawcę. Pamiętała też doskonale ten feralny dzień, bo rozpoczynała właśnie pracę jako księgowa w zakładzie mechanicznym po drugiej stronie ulicy, dosłownie 150 metrów od domu Pressów. Policja nie przesłuchiwała jej w 1998 roku, więc nie występowała w aktach. A ponieważ matka Lilki po śmierci córki długo była w szoku, nie uznała wówczas tej rozmowy za ważną ani nie miała siły zawiadomiać o tym policji. Dopiero teraz przekazała informację funkcjonariuszom.

Na szczęście jej rozmówczyni wciąż pracowała w tym samym zakładzie mechanicznym, więc odnalezienie jej było proste. Zaproszona na przesłuchanie zeznała, że w dniu zabójstwa Lilki przyszła do pracy wcześniej, bo nie chciała się spóźnić. Ponieważ brama wjazdowa do warsztatu była zamknięta, stała i pałac papierosa, czekała, aż ktoś jej otworzy. Spostrzegła, że pod kamienicę, w której mieszkali Pressowie, podszedł jakiś mężczyzna. Od razu wydał się jej podejrzany, bo gdy ktoś wychodził z bramy, facet się chował. W końcu jednak wszedł do kamienicy, a przyszła księgowa rozpoczęła swój pierwszy dzień w nowej pracy. Gdy śledczy zapytali, czy pamięta, jak wyglądał ten dziwnie zachowujący się mężczyzna, odpowiedziała, że doskonale, bo miał śmieszny charakterystyczną fryzurę „na Limahla”.

Opis księgowej idealnie pasował do rysopisu Dębickiego z 1998 roku oraz do jego fotografii z tamtych lat na karcie kontrolera MPK (podejrzany pracował kiedyś jako „kanar”). Żeby się upewnić, zostało przeprowadzone tzw. okazanie. Policjanci pokazali księgowej zdjęcie Cezarego z karty oraz podobizny trzech innych mężczyzn. Kobieta jednoznacznie wskazała na Dębickiego. Mimo niemal całkowitej pewności co do podejrzanego prokuratura musiała wykonać jeszcze jedno: okazanie na żywo, czyli pokazanie świadkowi podejrzanego w gronie trzech innych mężczyzn przez lustro weneckie. Tym razem księgowa nie poznała zabójcy, lecz dla śledczych był to dobry znak, bo przez jedenaście lat Dębicki zmienił się tak bardzo, że w niczym nie przypominał długowłosego przystojniaka z 1998 roku.

Cezary został aresztowany. W jego mieszkaniu policja zabezpieczyła aparat fotograficzny, w samochodzie kilka pendrive'ów, w zakładzie elektrotechnicznym płyty i komputer. Dębicki od lat wynajmował mieszkanie w suterenie, które było zapuszczoną, brudną, śmierdzącą norą.

Wśród sterty ubrań i śmieci policja znalazła setki sztuk używanej bielizny dziecięcej (majtki spakowano do trzech dużych toreb), sztucznego penisa ze śladami używania, kajdanki i zdjęcia o treści pedofilskiej. Na płytach, pendrive'ach i w komputerze były filmy i zdjęcia pedofilskie i zoofilskie, a także sceny zawierające brutalną przemoc seksualną. W pamięci aparatu ostatnie dwa zdjęcia przedstawiały twarz śpiącej, trzynastoletniej dziewczynki, której ktoś przystawia penisa do ust.

Dębickiemu postawiono zarzut zabójstwa i posiadania treści pedofilskich. Nie przyznał się do zabicia Lilki. Wciąż trzymał się wersji, którą podawał podczas pierwszego zatrzymania w 1998 roku. Przyznał się jedynie do tego, że lubi dzieci i interesuje się pornografią z ich udziałem. Mówił, że podobają mu się nagie dziewczynki w wieku od 8 do 12 lat i że ściąga treści pedofilskie z internetu. Kłamał i robił to dość topornie, początek swojej pedofilskiej aktywności datował bowiem na rok 2001. Uparcie powtarzał, że wcześniej nie miał takich skłonności.

Z billingów jego telefonu wynikało, że prowadził bujne życie erotyczne i utrzymywał kontakty z wieloma kobietami. Policja musiała ustalić, czy podejrzany nie uczestniczył w innych przestępstwach na terenie Poznania. Komenda wojewódzka rozesłała jego profil do innych jednostek, ale nie natrafiono na żadne ślady ani zbieżności. Ponieważ Dębicki, gdy pracował jako konwojent i kierowca, jeździł po całym kraju, najczęściej na Śląsk, śledczy szczegółowo sprawdzili, czy oddziały na południu kraju posiadają akta przestępstw na tle seksualnym i zabójstw dzieci, z którymi mógł mieć związek.

W miarę upływu czasu podejrzany kolejny raz zmienił wersję swoich zeznań. Wymyślał fikcyjne wydarzenia i postaci, mataczył w kwestii posiadania treści pedofilskich. Na pytanie, skąd krew Lilki wzięła się na jego swetrze, odpowiedział, że dziewczynka miała czasem krwawienia z nosa, a jako że spędzał w jej domu sporo czasu, krew mogła się dostać na jego sweter przy składaniu życzeń. Rodzina Pressów nie potwierdziła wersji o krwawieniach z nosa Lilki. Dziewczynka była zdrowa jak rydz.

Cezary Dębicki został skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Złożył apelację, której sąd odwoławczo-apelacyjny nie uwzględnił. W efekcie kasacji sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, który utrzymał w mocy wyrok dożywocia.

W skargach i zażaleniach pisanych w więzieniu Dębicki powtarzał, że policja z prokuraturą uknuły przeciwko niemu intrygę. Złożył nawet pozew do sądu, ale wynikły z tego proces szybko się zakończył. Biegli wydali miażdżące opinie na jego temat, przede wszystkim potwierdzając pedofilskie skłonności Dębickiego. Zaznaczyli, że na wolności może stwarzać duże zagrożenie, zwłaszcza dla dzieci.

[zapraszam na... \(P\)](#)



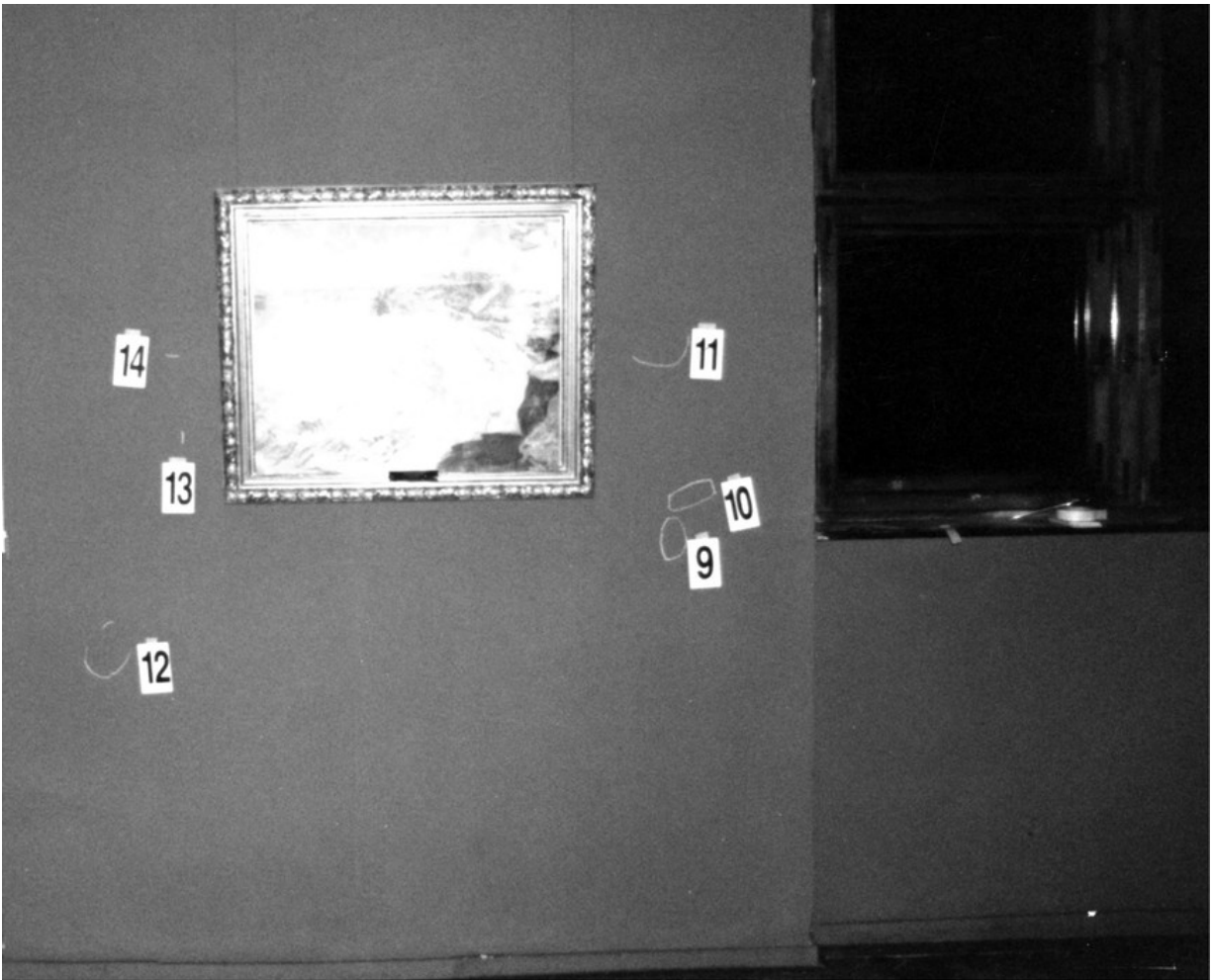
**POZNAŃ
– KRADZIEŻ MONETA**



W stolicy Wielkopolski Archiwum X funkcjonowało od 2004 do 2008 roku. Większość niewyjaśnionych spraw dotyczyła zabójstw. Śledczy nie mieli jednak uprawnień procesowych, nie mogli przesłuchiwać świadków ani przeprowadzać eksperymentów, podjęto więc decyzję, że zespół w tym kształcie nie powinien funkcjonować. Zmieniono formułę jego działania oraz nazwę. Jako zespół analityczno-procesowy zaczął pracować w ramach wydziału dochodzeniowo-śledczego.



Falsyfikat „Plaży w Pourville” namalowany w 2000 roku na zamówienie złodzieja przez nieznanego autora z Ukrainy na rynku w Krakowie. Mimo prymitywnej kopii udało się rozpoznać kradzież dopiero po trzech dniach!



Galeria impresjonistów w poznańskim Muzeum Narodowym. Oględziny miejsca kradzieży. Numery na ścianie to ujawnione przez techników z grupy dochodzeniowo-śledczej ślady daktyloskopijne.

„Plaża w Pourville”

W opinii kustoszki Muzeum Narodowego w Poznaniu jedną z niewielu dobrych stron polskiej rzeczywistości pod zaborami były wystawy malarstwa. W 1904 roku Niemcy zorganizowali wielką ekspozycję impresjonistów francuskich, inaugurującą działalność nowego gmachu. Na wystawie zostało przez niemieckiego kolekcjonera zakupione i подарowane muzeum dzieło Claude'a Moneta „Plaża w Pourville”. Po odzyskaniu

niepodległości Kaiser Friedrich Museum stało się Muzeum Wielkopolskim. Zmieniło nieco profil, a jedyne w polskich zbiorach dzieło wielkiego impresjonisty pozostało rarytasem. Tak wielkim, że zostało skradzione. Wycięto je z ramy bardzo niefortunnie, bo złodziej przeciął sygnaturę, która uwiarygodniała eksponat i podbijała jego wartość.

Obecnie muzeum ma różne zabezpieczenia: od systemów alarmowych i kamer, po specjalne urządzenia monitorujące stan obrazu. Jest także nadzór pań pilnujących krążących niestrudzenie po salach muzeum. Gdy skradziono dzieło Moneta, w planach było dobudowanie nowego skrzydła i zainstalowanie nowych zabezpieczeń. Złodziej ubiegł muzealników tuż przed remontem. Co ciekawe, w 1968 roku zniknął z tej placówki „Autoportret w jakuckiej czapce” Jacka Malczewskiego. Wybuchła wielka afera, bo kilka dni później ówczesny dyrektor muzeum dostał anonimowy list, w którym złodziej poinformował, że płótno można odebrać w przechowalni bagażu w skrytce na Dworcu Głównym. Kradzież okazała się jedynie prowokacją, której celem było zwrócenie uwagi na słabe zabezpieczenia. Sprawca wykorzystał wędkę. Otworzył małe okno w szklanym dachu, spuścił żyłkę z haczykiem i „podebrał” ramę wiszącą bez żadnego zabezpieczenia.

2000 rok

Pewnego dnia do muzeum w Poznaniu wpłynął faksem wniosek, którego autor, przedstawiając się z imienia i nazwiska oraz podając się za studenta ASP, poprosił o możliwość zrobienia szkicu obrazu Heinricha von Zügela „Przez las” z 1911 roku. Otrzymał zgodę, pojawił się w muzeum, rozłożył dużą teczkę ze szkicami i zaczął rysować. Nikt nie podejrzewał, że mężczyzna miał w swoim szkicowniku przygotowaną kopię „Plaży w Pourville”, której oryginał wisiał obok dzieła von Zügela. Gdy pilnująca sali kobieta przechodziła do innych galerii, złodziej wycinał skalpelem z ram obraz francuskiego impresjonisty. Wracał do szkicowania, gdy stukanie obcasów sygnalizowało powrót strażniczki. Wreszcie po kilku

godzinach podmienił obraz i opuścił budynek. Nikt z ochrony nie zajrzał do jego teki, aby sprawdzić, czy niczego nie wynosi.

W muzeum obowiązywał obchód sal tuż przed zamknięciem. Wszystko wydawało się w porządku. „Plaża w Pourville” znajdowała się tam, gdzie powinna, bo nikt nie przypuszczał, że to falsyfikat. Dopiero we wtorek, podczas porannego obchodu kustosz zauważył, że jedna z krawędzi obrazu nienaturalnie odstawała od ramy... I w tenże wtorek 19 września 2000 roku policjant z wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu, będąc już w domu, odebrał telefon. Dowiedział się, że ma natychmiast jechać do Muzeum Narodowego. Na miejscu zastał istny kocioł. Zaparkowane radiowozy blokowały ulicę, co chwilę przyjeżdżały i odjeżdżały kolejne. W głównej galerii roіło się policjantów, każdy gdzieś wydzwaniał, przekazywał wiadomości i nowe polecenia. Byli też wszyscy szefowie: komendant komisariatu i kilku jego zastępców, zastępcą komendanta miejskiego oraz pracownicy komendy wojewódzkiej, z wydziałów kryminalnego i dochodzeniowo-śledczego. Kradzież obrazu postawiła na nogi całą poznańską policję.

Spokojne przesłuchanie świadków graniczyło z cudem. Każdy był przepytany przez kolejnych policjantów, a przecież informacje trzeba zbierać szczegółowo. Funkcjonariusze rozmawiali z ludźmi, którzy tego dnia pracowali w muzeum, i wzywali na przesłuchania osoby, które mogły mieć bezpośredni kontakt z obrazem. Przed gmachem muzeum zebrała się spora grupa reporterów. Oficer prasowy przekazał dziennikarzom krótki komunikat o kradzieży „Plaży w Pourville”. Mimo że oficjalne informacje były lakoniczne, wiadomość stała się sensacją w kraju. Telewizje i rozgłośnie radiowe trąbiły tylko o tej kradzieży. Zaczęły się spekulacje, jak obraz ubezpieczony na milion dolarów mógł tak po prostu zniknąć. Padały oskarżenia o lekkomyślność, brak zabezpieczeń i systemów antywłamaniowych. Policja cedziła informacje, aby nie utrudniać śledztwa.

Kluczowe stało się ustalenie daty kradzieży. Przecież falsyfikat mógł wisieć w muzeum kilka tygodni lub miesięcy! Policja zabezpieczyła kopię wykonaną na sprasowanej tekturze oraz mnóstwo odcisków palców na odwrocie. Zabezpieczona została także rama obrazu z fragmentami oryginału oraz wysłany z Olkusza faks, który posłużył do badań grafologicznych.

Złodziej musiał być w muzeum co najmniej dwa razy, bo falsyfikat był precyzyjnie przygotowany pod konkretne wymiary. Policjanci przeszukali budynek, podejrzewając, że obraz ukryto, aby sprawca mógł go wynieść w dogodnym momencie. Pierwsza hipoteza zakładała, że Monet został zrabowany przez profesjonalistów zajmujących się nielegalnym obrotem dziełami sztuki i trafił w ręce bogatego kolekcjonera za granicą. Kolejna, że złodziej nie miał sprecyzowanych planów, co zrobić z obrazem, a w chwili gdy sprawa stała się głośna, przestraszył się i ukrył płótno, myśląc, że nikt nie odważy się go kupić. Teorię o zorganizowanej grupie wykluczało pozostawienie mnóstwa odcisków linii papilarnych i prymitywna kopia. Gdyby złodziej zadał sobie więcej trudu, udany falsyfikat „Plaży w Pourville” mógłby wisieć w muzeum do dziś.

Policjanci próbowali odtworzyć przebieg kilku ostatnich dni w muzeum. Przesłuchania i analizy prowadziły na trop dwóch ochroniarzy, którzy przyszedli do pracy na jeden dzień i nie informując nikogo, więcej się nie pokazali. Stali się pierwszymi podejrzanymi. Policjanci pojechali do Ostrzeszowa przeszukać ich i zatrzymać do wyjaśnienia. Znalezione trzy butelki wódki bez akcyzy. Podejrzani, w wieku około trzydziestu lat, zostali przewiezieni do komendy w Poznaniu. Przesłuchiwanie było osobne. Gdy śledczy zapytał jednego, czy nie leczył się psychiatrycznie, ten odpowiedział, że matka zaprowadzała go nie do psychiatrii, ale do psychologa. I zaczął zeznawać. Okazało się, że obaj mężczyźni, dowiedziawszy się o braku dobrze płatnych nadgodzin, więcej w pracy się nie pokazali. Policjanci nie mieli wątpliwości, że niedoszli ochroniarze nie ukradli Moneta.

W kolejnych dniach badany był trop faksu z Olkusza. Pracownicy muzeum zeznali, że w niedzielę niemal cały dzień człowiek w golfie, podający się za studenta, malował szkic obrazu „Przez las”. Sprawdzono więc personalia rzekomego studenta ASP, lecz w Olkuszu nie było takiego człowieka w żadnej ewidencji. Dane okazały się fałszywe. Funkcjonariusze sprawdzili także numer, z którego „student” dzwonił do muzeum w Poznaniu. Telefonowano z budki.

Dwie pracownice twierdziły, że dobrze zapamiętały osobę podającą się za studenta z Olkusza. Chociaż portrety pamięciowe sporządzone na podstawie ich zeznań bardzo się od siebie różniły, bo kobiety nie były

jednak do końca pewne, jak złodziej wyglądał, jego finalna podobizna została opublikowana w prasie. A gdy pokazała ją też telewizja, poznańska komenda oraz lokalne komisariaty zostały zalane doniesieniami od obywateli. Zgłoszenia płynęły nawet od osadzonych w zakładach karnych. Ruszyła machina weryfikująca te informacje. W jednym przypadku policjant prowadzący sprawę kradzieży skontaktował się z miejskim komisariatem, z którego przyszło zgłoszenie. Gdy poprosił o sprawdzenie personaliów typowanego człowieka, okazało się, że w rejonie mieszka osoba, która za każdym razem po obejrzeniu w telewizji „Magazynu Kryminalnego 997” wskazywała na sąsiada jako ewentualnego sprawcę pokazywanych w programie przestępstw.

Policjanci wybrali się z portretem pamięciowym sprawcy do Olkusza. W mieście działał Związek Artystów Wiejskich, którego członkowie spotykali się w plenerze, aby razem malować. Funkcjonariusze szukali kogoś, kto mógłby stworzyć nieudolną kopię Moneta. Portret pamięciowy pokazali prezesowi związku. Ten po namyśle podał nazwisko Szymona Małeckiego. Śledczy rzucili się na nowy trop, bo ulegając gigantycznej presji społecznej, zatrzymywali każdego, kto w danym momencie wydawał się podejrzany. Najpierw rozpoznanie: kim był Małecki i jak wyglądało jego życie. Potem: sprawdzenie billingów telefonu, czy dzwonił z domu do Poznania. Oraz porównanie pisma Małeckiego z teczki dowodu osobistego znajdującej się w urzędzie gminy (każdy obywatel wypełniał wniosek o dowód własnoręcznie) z zabezpieczoną próbką pisma z faksu, który „student” przysłał do muzeum. Wreszcie z nakazem prokuratorskim pojechali zatrzymać Małeckiego i przeszukać jego dom. Niczego nie znaleźli. Zatrzymali nie tylko Szymona, ale także jego młodszego brata Dariusza, studenta z porażeniem mózgowym. Szczęśliwie dla obu zatrzymanych do Olkusza razem z policjantami pojechała ekipa techników kryminalistycznych. Zdjęli odciski palców braci na karty daktyloskopijne do porównania ze śladami zabezpieczonymi na miejscu kradzieży w muzeum. Nie było zgodności, więc Małeccy zostali zwolnieni.

lata 2002–2006

Analiza billingów zabezpieczonych w Poznaniu wykazała, że ktoś z prywatnego mieszkania w Olkuszu telefonował do muzeum w okresie zbliżonym do kradzieży. Teoretycznie mogło mieć to związek ze sprawą, gdyż detektywi zakładali, że kradzież zorganizowało kilka osób. Policja ponownie pojawiła się w Olkuszu. Przesłuchani zostali Kazimierz Zabawa (właściciel mieszkania) i jego żona Danuta. Trzydzieści pięć lat wcześniej mężczyzna był karany za drobną kradzież i funkcjonował w kartotece policyjnej. Okazało się, że w 2000 roku Zabawa sprzedawał mieszkanie i wtedy do Olkusza przyjechało dwóch mężczyzn w rzucającym się w oczy sportowym bmw na krakowskich numerach. Oglądając mieszkanie jako potencjalni kupcy, zapytali, czy mogą skorzystać z telefonu. Wybrali numer Muzeum Narodowego w Poznaniu. Nowy ślad prowadził więc do Krakowa.

W tym czasie policjanci dostali także cynk z komendy w Szczecinie. Dwóch informatorów, niezależnie od siebie, utrzymywało, że w Szczecinie przebywał ktoś, kto oferował do sprzedaży skradzione dzieło Moneta. Po ustaleniu nazwiska: Mariusz Szymczak, zaczęło się rozpracowanie operacyjne. Dwa lata wcześniej mężczyzna został zatrzymany przez policję w Poznaniu, gdy wiozł do Szczecina obrazy przywłaszczony w Krakowie. Tamtejsza jednostka powiadomiła Poznań, że Szymczak wysiadzie na tutejszym dworcu i będzie miał przy sobie skradzione obrazy. Mężczyzna został wtedy aresztowany. Teraz pojawił się nowy trop i powiązanie Szymczaka z kradzieżą „Plaży w Pourville”. Mógł być zamieszany przez ludzi z bmw, którzy dzwoniли do muzeum z mieszkania w Olkuszu. Funkcjonariusze przypuszczali, że obraz mógł znajdować się w Szczecinie. Rozpoczęła się policyjna infiltracja kolekcjonerów sztuki. Z klauzulą tajności w aktach. Policjant z wymyślonym życiorysem przeniknął do tego środowiska. Zajęło mu to kilka tygodni. Spotkania w drogich restauracjach i hotelach, markowe samochody, obecność na głośnych aukcjach i ostentacyjne szastanie dużymi kwotami na zakup dzieł sztuki dały upragnione rezultaty. Było lato 2003 roku. Policjant nawiązał odpowiednie kontakty i umówił się z Szymczakiem na kupno obrazu Moneta. Kiedy doszło do spotkania, okazało się, że nie ma żadnego płótna.

W kolejnym roku dochodzenia policja wpadła na nowy ślad. Do Poznania dotarła informacja zdobyta przez stołeczną Komendę Główną, że dwaj bracia z Wrocławia mogą mieć skradzione dzieło sztuki. Warszawa rozpracowywała tych ludzi, Poznań czekał na obrót wydarzeń. Gdy

prokurator wydał nakaz zatrzymania i przeszukania podejrzanych, ekipa wyruszyła do Wrocławia. Wiozła georadar do sprawdzenia murów i ścian, ponieważ pojawiło się przypuszczenie, że obraz mógł zostać zamurowany. Miejscem do przeszukania okazał się stary blok, pustostan. Już na pierwszy rzut oka śledczy nabrali wątpliwości, żeby sprawca słynnej kradzieży przebywał w takiej ruderze. Mieszkanie podejrzanych było norą o powierzchni zaledwie 10 mkw., a bracia okazali się alkoholikami. Przed laty byli wprawdzie zamieszani w paserstwo skradzionych obrazów, ale ich odciski palców nie pasowały do tych zabezpieczonych w muzeum. Jeszcze jeden ślepy trop.

Nadszedł grudzień 2005 roku. W wydziale kryminalnym Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu pojawił się mężczyzna, który twierdził, że wie, kto może stać za kradzieżą obrazu. Przez dłuższy czas przebywał zagranicą. Kiedy wrócił do kraju, wpadł mu w ręce stary numer czasopisma „Detektyw”, w którym została opisana kradzież „Plaży w Pourville”. Gdy w 1999 roku studiował w nieistniejącej już poznańskiej Wyższej Szkole Sztuk Stosowanych, kolega ze studiów rzekomo mu się zwierzył, że chce ukraść jakieś wartościowe płótno z muzeum. Miał nawet pomysł, jak to zrobić. Chciał udawać studenta i uzyskać zgodę na kopiowanie obrazu, aby w odpowiednim momencie podmienić oryginał na falsyfikat. Policjanci natychmiast podjęli działania. Drobiazgowe rozpoznanie podejrzewanego i jego środowiska nie dały jednak żadnego rezultatu i zaprzestano kolejnych czynności.

Taka zabawa w kotka i myszkę trwała prawie sześć lat. Kolejne tropy okazywały się ślepą uliczką, wreszcie sprawę umorzono. I zapewne obraz nie zostałby odnaleziony do dziś, gdyby nie przełom technologiczny. Ale zanim on nastąpił i mógł przynieść rezultaty, kluczowa okazała się obecność na miejscu przestępstwa tuż po kradzieży we wrześniu 2000 roku biegłego z zakresu daktyloskopii. Był zdumiony tym, ile osób przebywało w muzeum. Obawiał się, że taki tłum doprowadzi do zatarcia śladów lub niepotrzebnie naniesie nowe przed oględzinami. Technicy prowadzili je przez całą noc. Pracowali w ciszy i skupieniu. Głównie w galerii, skąd zabrano Moneta. Na kopii obrazu, ramie i ścianie, na której wisiał, zostały ujawnione i zabezpieczone ślady linii papilarnych. Na potrzeby śledztwa śledczy sprawdzili odciski palców wszystkich stu dwudziestu osób pracujących w muzeum. Porównania ze śladem na obrazie nie wykazały

zgodności. Technicy używali proszku daktyloskopijnego i pędzla z marabuta. Zabezpieczona została także kopia obrazu z ramą, zaś przedmioty, na których mogły znajdować się kolejne ślady, zabrano, żeby przebadać je w warunkach laboratoryjnych. Efektywność kryminologów jest wówczas znacznie większa.

Istnieją różne techniki ujawniania śladów na podłożach chłonnych, takich jak kopia obrazu, i niechłonnych, takich jak rama. Kopia „Plaży w Pourville” została wykonana na kartonie prążkowanym. Jego nierówności częściowo zakłócały przebieg ujawnianych śladów linii papilarnych, bo nie było ich ciągłości, jedynie fragmenty. Karton przypominał fakturę płótno, sprawca użył go celowo, aby jak najbardziej zbliżyć się do oryginału.

Ponieważ kradzież dzieła była zuchwała i spektakularna, podczas oględzin po raz pierwszy została użyta nowa metoda ujawniania linii papilarnych na powierzchniach chłonnych, przy wykorzystaniu DEFOF-u, środka, który kilka dni wcześniej otrzymali biegli z laboratorium. Odkryto sporo śladów po niezamalowanej stronie falsyfikatu, gdzie widoczne były odciski dłoni powstałe wskutek naciskania całą powierzchnią na spodnią część tektury, na której namalowano kopię. Ślady były świeże, łatwe do zabezpieczenia i dalszej identyfikacji. Odcisk nadający się do dalszych badań daktyloskopijnych znaleziono także na ramie.

W tym samym czasie, jesienią 2000 roku, ruszył w Warszawie system automatycznej identyfikacji daktyloskopijnej AFIS. Nie każdy ślad nadawał się do analizy porównawczej w tym programie. Odciski musiały spełniać określone kryteria jakościowe i ilościowe oraz posiadać odpowiednią liczbę cech charakterystycznych budowy linii papilarnych, a także wyrazistość. Podstawowym kryterium była ocena biegłego technika w laboratorium. Początkowo do systemu wprowadzano jedynie odbitki opuszek palców (bez odcisków dłoni). Z nich składała się cała baza. Udało się dokonać selekcji śladów zdobytych w muzeum. Zostały wytypowane z założeniem, że technicy pojedą do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego (CLK) w Warszawie, gdzie były wówczas porównywane dowody z całej Polski. Żmudne przeszukania zabrały kilka dni i nie przyniosły rezultatu. Odciski z poznańskiego muzeum zostały zarejestrowane w bazie śladów niezidentyfikowanych zgodnie z procedurą dla dowodów, które mogą

należć do potencjalnego sprawcy. Przechowuje się je, dopóki nie nastąpi przedawnienie.

Gdyby nie upór biegłego, złodziej „Plaży w Pourville” nigdy nie zostałby odnaleziony. Kierownik laboratorium kryminalistycznego, jak typowy Wielkopolanin, nie dawał za wygraną. Badania trwały dziewięć lat. Biegły uczestniczył w nich od początku. Był na oględzinach. Ujawnił linie papilarne w muzeum, zabezpieczył i badał je przez lata. Nie tracił nadziei, że w którymś momencie karta daktyloskopijna sprawcy zostanie gdzieś zarejestrowana.

Praca biegłych nie polega wyłącznie na wyszukiwaniu śladów w AFIS. Na bieżąco, za pomocą lupy i mikroskopu, wykonują bezpośrednie identyfikacje śladów, które ciągle wpływają do laboratorium. Dokonują selekcji, które z nich nadają się do rejestracji w bazie AFIS. Ustalają tożsamość sprawców typowanych przez służby kryminalne i dochodzeniowe. W wolnej chwili powracają do starych śladów, niezidentyfikowanych i nieprzedawnionych.

W 2004 roku w wyniku niepłacenia alimentów niejaki Marcin Bąk został zarejestrowany w bazie AFIS. Niestety, policjant dokonujący zdjęcia odcisków przechował kartę daktyloskopijną w szafie. Dopiero po kilku latach została zarejestrowana w systemie identyfikacji automatycznej. Ponieważ Olkusz podlegał pod Kraków, karta Bąka znajdowała się w CLK w Krakowie.

lata 2009–2010

Nadszedł 16 grudnia 2009 roku. Podczas przeglądania bazy AFIS biegły dostał pozytywne potwierdzenie identyfikacji śladów. Prawdopodobieństwo było wysokie. Poprosił o konsultację drugiego specjalistę. Komputer wyświetlił na ekranie trzy karty daktyloskopijne. Jedna z nich mogła należeć do złodzieja obrazu. Rozpoczęła się szczegółowa analiza odcisku zabezpieczonego w muzeum z tymi wyrzuconymi przez system. Drugi biegły natychmiast rozpoznał odcisk z kradzieży Moneta, wielokrotnie badany w laboratorium. Trudno było jednak stwierdzić jednoznacznie, która

z kart pasowała do śladu z obrazu. Pozostało przebadanie reszty śladów. Biegli wydają opinię tylko, gdy są pewni w 100 proc. Wtedy można wprawić w ruch kolejne elementy dochodzenia: zatrzymanie podejrzanego i proces.

Specjalista skontaktował się zatem z koordynatorką w krakowskim laboratorium, aby w trybie pilnym, bez jakichkolwiek procedur, przesłać faksem całe karty daktyloskopijne zawierające także odciski dłoni, które wyrzucił AFIS. Normalnie procedura trwałaby tydzień, ale policjantom zależało na czasie. Po chwili wydruk z faksu trafił pod wysłużoną lupę doświadczonego biegłego. On już wiedział, że na coś trafił, bo jedna z kart była z Olkusza. Pierwsza nie pasowała. Po kilkudziesięciu minutach wyeliminował kolejną. Została ostatnia. Po niemal dziesięciu latach poszukiwań udało się zidentyfikować złodzieja. Był nim mieszkaniec Olkusza. Jego tożsamość została sprawdzona we wszystkich możliwych bazach danych.

Policjanci z wydziału kryminalnego zajmującego się przestępczością przeciwko mieniu już następnego dnia pojechali do Olkusza, aby zrobić rozpoznanie miejsca zamieszkania mężczyzny oraz zebrać informacje mogące przyczynić się do bezpiecznego zatrzymania typowanej osoby i odzyskania obrazu. Spędzili w mieście trzy dni. Marcin Bąk nigdzie nie pracował. Był po rozwodzie, troskliwie opiekował się niepełnosprawną córką. Nie stanowił żadnego zagrożenia, choć w miejscowym sądzie śledczy natrafili na starą sprawę z jego udziałem (naruszenia nietykalności cielesnej policjanta). Detektywi ustalali kontakty osobiste, adresy pracy najbliższej rodziny oraz miejsce przebywania podejrzanego, który nie mieszkał tam, gdzie był zameldowany.

Jeszcze w trakcie jazdy do Olkusza policjantom nie dawało spokoju pytania, dlaczego ukradł płótno. Działał na zamówienie czy jest kolekcjonerem gromadzącym nielegalnie dzieła sztuki? A może jest niezrównoważony psychicznie? Po rozpoznaniu informacje na temat domniemanego złodzieja zostały przekazane wydziałowi dochodzeniowo-śledczemu i prokuraturze okręgowej, która wyznaczyła termin zatrzymania na 12 stycznia 2010 roku.

Tego dnia, o godzinie szóstej rano cztery grupy policyjne rozpoczęły działania jednocześnie. Funkcjonariusze wiedzieli, że po dziesięciu latach przestępstwo kradzieży ulega przedawnieniu. Nigdy co prawda nie ulega

przedawnieniu własność, lecz po dekadzie podejrzany nie odpowiadałby karnie i mógłby zwrócić obraz bez żadnego procesu i związanych z nim konsekwencji. Zatrzymano mężczyznę oraz przeszukano miejsca, w których przebywał, był zameldowany i gdzie mieszkała jego rodzina. Marcin Bąk nie wyglądał na zaskoczonego. Sumienie nie dawało mu spokoju. Wyznał policjantom, że teraz „kamień spadł mu z serca”. Niestety, śledczym nie udało się odzyskać dzieła. Przeszukania trwały kilka godzin.

Podczas jazdy z zatrzymanym do Poznania rozpoczęło się kilkugodzinne przesłuchanie. Do znudzenia powtarzano jedno pytanie: „Gdzie jest Monet?”. Bąk odpowiadał niechętnie, ogólnikowo. Był przekonany, że dostanie dziesięć lat więzienia, co byłoby dla niego wielkim dramatem, bo musiałby na tak długo zostawić córkę, którą bardzo kocha. Po przyjeździe do Poznania policjanci zaproponowali zatrzymanemu „sześćdziesięć”, czyli art. 60 kodeksu karnego, dotyczący nadzwyczajnego złagodzenia kary w zamian za wskazanie miejsca ukrycia obrazu. O swoim zamiarze poinformowali prokuraturę, która wyraziła zgodę. Po długim namyśle Bąk oświadczył, że będzie rozmawiać tylko z prokuratorem. Podczas kolejnego przesłuchania przyznał się do kradzieży obrazu Moneta, ale wciąż nie chciał wskazać miejsca, w którym schował płótno.

Przedstawił za to całą historię samej sprawy. Przez jakiś czas przebywał we Francji, pracując dorywczo jako robotnik budowlany. Kiedy był w Paryżu, odwiedził Luwr i Muzeum Orsay. Zainteresowały go prace impresjonistów, zwłaszcza Claude’a Moneta. Po powrocie do kraju dowiedział się, że w Muzeum Narodowym w Poznaniu wystawione jest jedyne w Polsce dzieło artysty, „Plaża w Pourville”. Postanowił je zdobyć. Zamówił kopię obrazu o identycznych wymiarach. Miał ją przygotować uliczny malarz z krakowskiej starówki, pochodzący z Ukrainy. Drugi obraz, Heinricha von Zügela „Przez las” (ten, którego tworzenie szkicu odegrał w dniu kradzieży), namalowała mu znajoma. Po przygotowaniu falsyfikatów, podając się za studenta ASP, wysłał z poczty w Olkuszu faks do dyrekcji Muzeum Narodowego w Poznaniu z prośbą o wyrażenie zgody na wykonanie szkicu obrazu von Zügela. Gdy wniosek został rozpatrzony pozytywnie, przyjechał do muzeum, rozłożył przybory i zaczął szkicować. Cała operacja zajęła mu kilka godzin. Kiedy zamienił oryginał Moneta na kopię, zakończył szkicowanie drugiego obrazu i opuścił budynek. Jak przyznał, pomysł nasunął mu się po obejrzeniu filmu „Afera Thomasa

Crowna”, w którym bohater interesuje się jednym obrazem, jednak kradnie zupełnie inny (notabene także Moneta).

Choć Bąk wydawał się policji dziwny, badania wykazały, że był poczytalny. Wreszcie wyznał, gdzie ukrył płótno. W specjalnie przygotowanej skrytce w mieszkaniu rodziców, w którym był zameldowany. Tej samej nocy policjanci z prokuratorem i zatrzymanym Marcinem Bąkiem wrócili do Olkusza. Podczas wizji lokalnej mężczyzna wskazał schowek za szafą wnękową w przedpokoju. Do jej tyłu przybił gwoździami płytę paździerzową, zasłaniając zrabowany obraz. Podczas pierwszego przeszukania policjanci nie mieli specjalistycznego sprzętu, umożliwiającego badanie wnętrza ścian i innych powierzchni. Obraz owinięty w pokryte pajęczynami i kurzem płótno został wydobyty z kryjówki. Policjanci mogli wrócić do Poznania, aby obwieścić sukces.

Ponieważ oficer prasowy obawiał się przecieków i dezinformowania opinii publicznej, wymyślił, że najpierw zostanie podana informacja o zatrzymaniu złodzieja, odnalezieniu obrazu i jego drodze powrotnej do Poznania. Zapadła decyzja, że „Plaża w Pourville” trafi prosto do prokuratury. Tu czekali prokuratorzy, eksperci z muzeum mający potwierdzić autentyczność obrazu oraz dziennikarze. Zgromadzili się też policjanci pracujący przy sprawie. Gdy obraz został wniesiony, położony na stole i odsłonięty, zapadła cisza. Muzealnicy w skupieniu, ale i euforii dokonali oględzin. Potwierdzili, że to skradziony oryginał. Potem obraz zniesiono do sali konferencyjnej, żeby zobaczyli go dziennikarze.

Bąk, na wniosek prokuratury okręgowej w Poznaniu, został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące. Sądu uznał go za winnego popełnienia zarzucanego mu przestępstwa i skazał na trzy lata pozbawienia wolności. Złodziej opuścił więzienie po pół roku.

Obraz też miał szczęście. Złodziej nie zrolował go, a płótno przechowywał rozpięte płasko, dzięki czemu niewiele ucierpiało. Kiedy został odzyskany, muzealni konserwatorzy stanęli przed zadaniem przywrócenia mu świetności. Nie można było zrobić tzw. dublury, czyli nakleić istniejącego obrazu na wtórne płótno. Eksperci podjęli się misternej pracy scalania włókien z fragmentu, który ostał się w ramie, ponieważ złodziej zostawił w niej centymetrowy kawałek oryginalnego płótna, z częścią właściwą obrazu. Jednocześnie konserwacja była dobrym momentem do

przeprowadzenia poważnej analizy naukowej. Prace trwały półtora roku. Monet, który stworzył „Plażę w Pourville” w 1882 roku podczas letniego pobytu w Normandii, nie pokrył płótna oryginalnie werniksem, czyli zewnętrzną warstwą zabezpieczającą. Obraz, który muzeum posiadało do momentu kradzieży, był werniksowany, przez co bardzo pożółkł. Kiedy konserwatorzy ściągnęli tę chemiczną warstwę ochronną, okazało się, że znajdują się pod nią wspaniałe, czyste i lekkie barwy. To dlatego dziś wygląda piękniej niż przed zrabowaniem. Mimo kradzieży obraz nie stracił na wartości rynkowej. Trudno ocenić, ile „Plaża w Pourville” jest warta dziś. Kiedyś mówiło się, że trzy, cztery miliony euro.



WARSZAWA
– ZAGINIĘCIE DZIEWCZYNY
W CIĄŻY

N

Nowy Dwór Mazowiecki. Tylko 34 kilometry na północny zachód od centrum Warszawy. Miasto i jego okolice to teren zalewowy pomiędzy Wisłą, Narwią i Wkrą. Jedno z miejsc w pobliżu wału przeciwpowodziowego przez lata skrywało rozwiązanie zagadki zaginięcia ciężarnej dziewczyny. Aby je odkryć, potrzebna była pomoc z zewnątrz. Mimo że jednostka stołeczna policji nie posiada komórki do spraw niewykrytych (przy nierozwiązanych morderstwach i zaginięciach pracują policjanci Terroru Kryminalnego i Zabójstw), detektywi słynnego wydziału, dzięki własnemu uporowi i wyobraźni młodej prokuratorce z Nowego Dworu, doprowadzili sprawę do końca.

To jedyna z wielu opisywanych w tej książce spraw, w której prokurator wykazał się imponującym refleksem i zaryzykował, żeby dowieść winy podejrzanego, przez niemal pięć lat ciągle wywijającego się policji. Odkryta prawda okazała się szokująca i potworna.

2006 rok

Czwartego kwietnia w Prokuraturze Rejonowej w Nowym Dworze Mazowieckim zjawiała się Helena Solska. Zgłosiła zaginięcie córki Mariety. Wcześniej rodzina i policja przez kilka dni szukali dwudziestolatki. Bez rezultatu.

Przed prokuratorem rozpoczęło się szczegółowe odtwarzanie ostatniego dnia, w którym widziano Marietę. Dziewczyna wyszła z domu po południu 29 marca. Solska stwierdziła, że z zaginięciem córki mógł mieć coś wspólnego Rafał, chłopak Mariety. Podpowiadało jej to „serce matki”. Uzasadniała to także logicznie. Właśnie z nim córka miała się spotkać. Niespełna trzydziestoletni Rafał był po rozwodzie, z niewyjaśnioną sytuacją w związku z odpowiedzialnością za chore dziecko. Mieszkał w domu matki w Nowym Dworze Mazowieckim. Miał fatalną reputację. Rodzice od początku byli przeciwni, żeby Marieta wiązała się z takim człowiekiem. Para spotykała się wbrew ich sprzeciwom, co stało się przyczyną konfliktu między matką a córką. Marieta broniła swojego chłopaka. Znali się od czterech lat. Przez cały ten czas Rafał był gościem w domu swojej dziewczyny jedynie trzy razy.

Marieta studiowała politologię w Szkole Wyższej im. Bogdana Jańskiego w Warszawie i pracowała jako stażystka w jednej z firm w Nowym Dworze Mazowieckim. Przed zaginięciem przez dwa tygodnie przebywała na zwolnieniu lekarskim, na które skierował ją położnik prowadzący jej zaawansowaną już ciążę. Wychodziła z domu jedynie, żeby odebrać z przedszkola bratanek i spotykać się z Rafałem, ojcem dziecka, które niebawem miało przyjść na świat. Ostatnią osobą, która 29 marca widziała Marietę, była babcia. Dziewczyna nie powiedziała, dokąd idzie. Prawdopodobnie chciała załatwić jakąś drobną sprawę, bo nie wzięła żadnych dokumentów.

Następnego dnia Rafał zadzwonił do domu Solskich. Chciał wiedzieć, gdzie jest Marieta. Babcia, która odebrała telefon, odpowiedziała, że wnuczka nie wróciła na noc i zapytała, czy jej nie widział. Usłyszała, że dziewczyna nie przyszła na umówione spotkanie. Później mężczyzna pojawił się w domu Mariety, zostawił numer swojej komórki i poprosił, żeby koniecznie zatelefonowała, kiedy wreszcie wróci. Jak zeznała babcia, w ogóle nie wyglądał na zmartwionego. Rodzina rozpoczęła poszukiwania ciężarnej. Jej brat wielokrotnie dzwonił do Rafała, żeby spotkać się i ustalić, kiedy ostatni raz widział Marietę. Rozmawiał też z koleżankami

siostry. Rozwieszono ulotki o zaginięciu ze zdjęciem dziewczyny. Jej dokumenty zostały w domu, nie mogła więc wyjechać. Zanim w poszukiwania włączył się prokurator, rodzina sprawdziła okoliczne szpitale oraz izby zatrzymanych. Przepytano wszystkich znajomych oraz bliższych i dalszych krewnych.

Agnieszka Olszynka, jedna z koleżanek, zeznała, że dzień przed zaginięciem około godziny 18.00 widziała Marietę idącą w kierunku sklepu spożywczego. Towarzyszył jej nieznany mężczyzna. Kolejna znajoma, Barbara Byś, zdradziła nieco szczegółów związku Mariety i Rafała. Zakochana dziewczyna planowała, wbrew rodzicom, wspólną przyszłość z tym mężczyzną. Była jednak załamana podejściem Rafała. Nie interesował się jej ciążą, dawał także do zrozumienia, że nie traktuje poważnie ich wspólnej przyszłości. Byś pokazała prokuratorowi SMS-a od zaginionej, w którym Marieta żaliła się na trudną sytuację. Wykluczyła używanie jakiegokolwiek przemocy. Przesłuchano również Małgorzatę Żygułkę, była dziewczyną Rafała. Poznali się na stacji kolejowej, gdzie odbywała praktyki. Ich związek miał dość burzliwy przebieg. W 2002 roku zaszła w ciążę, ale nie udało się jej donosić. Po trzech latach bycia razem odkryła, że chłopak spotykał się potajemnie z inną. Tą drugą była Marieta. Nie chcąc trwać w beznadziejnym układzie, Małgorzata zerwała z Rafałem. Wkrótce dowiedziała się od niego, że jego nowa dziewczyna jest w ciąży. Twierdził, że tym razem chce zachować się właściwie i wychować dziecko. W dniu zaginięcia Mariety wysłał do Małgorzaty SMS-a z informacją, że jego dziewczyna pokłóciła się z matką, wyszła z domu i zniknęła.

W obrazie wyłaniającym się z pierwszych dni poszukiwań Mariety nie było niczego niepokojącego. Nic nie wskazywało na skłonności samobójcze kobiety. Nie znaleziono żadnych podejrzanych okoliczności czy kryminalnej przeszłości kogoś z jej otoczenia. Życiowe problemy Rafała także nie wzbudzały podejrzeń. Ot, jedna z wielu młodych par próbujących ułożyć sobie życie.

Podczas pierwszego przesłuchania Rafał Wiatr potwierdził, że znał Marietę od czterech lat. Poznali się Nowym Dworze Mazowieckim i zaczęli spotykać, kiedy się rozwodził. Podkreślał, że matka Mariety nie życzyła sobie, żeby się spotykali, dlatego w jej domu był niemile widziany. W październiku 2005 roku sytuacja nieco się zmieniła. Marieta dowiedziała się, że jest w ciąży. Zaprosiła do siebie Rafała, ponieważ rodzice chcieli

poznać ojca ich wnuka. Pytali o plany i szczegóły ich wspólnego życia. Jedyną osobą wciąż zawzięcie oponującą była babcia dziewczyny. Nie wyobrażała sobie, jak przyszli rodzice mogą żyć bez ślubu. Marieta chciałyby zalegalizować związek, ale Rafał się nie zgadzał. Zasłaniał się przykrymi doświadczeniami z poprzedniego małżeństwa. Tłumaczył, że brak ślubu nie oznacza braku odpowiedzialności.

Prokuratora najbardziej interesowało, co wydarzyło się w dniu zaginięcia. Rafał zeznał, że obudził go SMS od Mariety. Była godzina dziewiąta rano. Chwilę później opuścił dom i poszedł do Modlina, gdzie mieszkała jego ciocia Lusja. Minął stację PKP i szedł wzdłuż torów za cmentarzem, obok ZUS-u. Na miejsce dotarł około godziny 10.00. W domu cioci był do 13.00, bawił się z jej wnuczkiem. Stąd też wysłał wiadomość do Mariety, która dopytywała go, gdzie jest. Do Nowego Dworu wrócił pieszo. Jego trasa wiodła ulicami Paderewskiego i Warszawską. Dostał wówczas kolejnego SMS-a od Mariety z pytaniem, czy jest jeszcze w Modlinie. Odpisał, że już wraca i będzie w Nowym Dworze za godzinę. Po drodze wstąpił do byłej dziewczyny, Małgosi. Rozmawiali o jej planach zmiany pracy oraz o samopoczuciu przyszłej mamy. Potem poszedł w kierunku Nowodworzanki. Chciał zobaczyć, jak osiedle zmieniło się od czasu, gdy na nim mieszkał. Gdy przechodził obok szpitala, wysłał SMS-a do Mariety, że jest w pobliżu. Szybko odpisała, że wkłada kurtkę i wychodzi z domu. Mieli spotkać się na stacji benzynowej, tuż obok. Było po godzinie 14.00. Rafał czekał kilkanaście minut na umówionym miejscu, ale Marieta się nie zjawiła. Między 15.00 a 16.00 wysyłał wiadomości do dziewczyny. Chciał się dowiedzieć, gdzie jest i dlaczego nie przyszła na umówione spotkanie. SMS-y pozostały bez odpowiedzi. Wrócił do domu, zjadł obiad i usiadł przed telewizorem. Leciła „Moda na sukces”.

Zeznania uzupełniła matka Rafała. W dniu zaginięcia Mariety wróciła do domu około godziny 18.00. Syn brał kąpiel. Wieczorem wyszedł, bo musiał załatwić jakąś sprawę w sąsiednim bloku. Wrócił szybko, zdążył na mecz zaczynający się po 20.00. Prokuratorowi nie wydało się to szczególnie podejrzane. Pojawił się także świadek, który tego dnia widział Rafała, jak po południu wynosił śmieci. Zatrzymał się przy nim, przez chwilę rozmawiali. Było tuż po godzinie 15.00. Następnego dnia przed południem Rafał próbował dodzwonić się do Mariety, ale włączała się poczta głosowa.

Potwierdził rozmowę telefoniczną z babcią dziewczyny, spotkanie w domu Solskich i pomoc, którą zaoferował przy rozwieszaniu ulotki o zaginięciu.

Po tygodniu na przesłuchanie uzupełniające została wezwana Małgorzata Żygułka. Okazało się, że podczas pierwszej rozmowy z prokuratorem nie powiedziała całej prawdy. Przede wszystkim nie przedstawiła szczegółów dotyczących jej związku z Wiatrem. Przyznała, że bardzo często ją oszukiwał. Sumienie kazało jej być bezlitośnie szczerą. Opowiedziała o kłamstwach Rafała. Dotyczyły jego rzekomej pracy (nie pracował) i kontaktów z innymi kobietami. Przeczując zerwanie, próbował zatrzymać ją przy sobie. Słał setki wiadomości z wyznaniem miłości i pisał listy, w których snuł wizje ich wspólnej przyszłości.

Małgorzata nie potrafiła dokładnie określić, co robiła 29 marca. Na pewno była w pracy, nie mogła jednak przypomnieć sobie, czy w tym dniu odwiedził ją Rafał. Wydało się jej, że do żadnego spotkania nie doszło. Zeznała: ***Był u mnie 31 marca około godziny 10.00. W mieszkaniu był także mój chłopak Mariusz. Rafał powiedział nam, że Marieta zaginęła, nie wie, co się z nią dzieje i gdzie może teraz być. Tuż po wyjściu napisał do mnie SMS-a z pytaniem, czy będziemy parą.***

Ojciec zaginionej dziewczyny, pracownik kolei, na własną rękę sprawdzał, czy ktokolwiek widział Marietę wsiadającą do pociągu. Jego poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Natomiast jedna z dróżniczek zauważyła, jak młoda dziewczyna w widocznej już ciąży, rysopisem odpowiadająca Mariecie, szła w stronę stacji, w kierunku mostu na Narwi. Pod mostem stał młody mężczyzna, jego wygląd odpowiadał rysopisowi Rafała. Dziewczyna podeszła do niego. Przywitali się. Dalej szli wzdłuż torów. W pobliżu mostu znajdował się dom ciotki Rafała.

Chociaż wciąż nie było wiadomo, w jakich okolicznościach zaginęła Marieta, zeznania zaczęły prowadzić do jej chłopaka. Jednak w trakcie przesłuchania, kiedy dróżniczce zostało okazane zdjęcie Wiatra, stwierdziła, że widzi tego mężczyznę pierwszy raz. Policjanci z komendy z Nowym Dworze dokładnie przeszukali prawy brzeg Wisły na odcinku wskazanym przez świadka. Nie znaleźli niczego, co mogłoby mieć związek ze sprawą.

Dokonali także analizy bilingów z telefonów Rafała, Mariety i jej rodziny. W dniu zaginięcia dziewczyna wysłała do Rafała dwanaście SMS-

ów i otrzymała od niego dwadzieścia jeden wiadomości. W billingach była także jedna rozmowa. Ostatni SMS wychodzący z komórki poszukiwanej na numer telefonu Wiatra został zarejestrowany o 15.54. Odpowiedź przyszła dopiero o 17.58. Od tamtej pory, mimo wielokrotnych prób, nikomu nie udało się skontaktować z Marietą. Dodatkowo okazało się, że komórki Małgorzaty i Mariety były przez chwilę w zasięgu tego samego przekaźnika oraz, że między 14.00 a 15.14 telefon Rafała znajdował się w zasięgu przekaźnika poza Nowym Dworem Mazowieckim. Dokonano analizy billingów telefonu mężczyzny. Potwierdziła się informacja, że w dniu zaginięcia kontaktował się ze swoją byłą dziewczyną Małgorzatą.

Podczas pierwszego etapu śledztwa matka Mariety poprosiła o pomoc jasnowidza. W rozmowie z nim przyznała, że córka w ostatnim czasie była podenerwowana, nawet załamana, bo bardzo się na kimś zawiodła. Mogła wyjechać, żeby zrobić komuś na złość. Według jasnowidza niewykluczone, że dziewczyna pojechała do przyjaciółki w Warszawie. Albo do znajomej lub siostry osoby, w której była zakochana. Wyjazdem chciała zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, który ją lekceważył. Policja zweryfikowała informacje. Owszem, w stolicy mieszkały znajome dziewczyny, ale nie kontaktowała się ostatnio z żadną z nich.

Niedługo po zaginięciu Mariety Rafał zgłosił się na komendę. Twierdził, że nieznany mężczyzna zatelefonował do niego z zastrzeżonego numeru, mówiąc, że jego konkubina leży okaleczona w rejonie oczka wodnego w Skierkach. Policjanci natychmiast wyruszyli przeprowadzić rozpoznanie. Informacja się nie potwierdziła. Powstała teoria, że dziewczyna została utopiona. Konieczne stało się przeczesanie dna rzeki. O pomoc poproszono jednostkę ratowniczą straży pożarnej. Nie udało się niczego odnaleźć. Ratownicy wraz z policją założyli, że nurt rzeki mógł przenieść ciało na większą odległość.

W tym czasie ustalono, że jedna ze szkolnych koleżanek widziała Marietę w dniu zaginięcia około godziny 15.30 obok osiedlowego sklepu, w sąsiedztwie jej domu. Zachowywała się normalnie, ale sprawiała wrażenie smutnej. Policjanci sprawdzili zapis kamer ze stacji benzynowej, na której para miała się spotkać. Żadne z urzędzeń nie zarejestrowało nikogo, kto byłby podobny do poszukiwanej dziewczyny w ciąży. Okazano zdjęcia Mariety pracownikom stacji. Nikt jej wówczas nie widział. Zwrócono się z prośbą o pomoc do ośrodków samotnych matek, do których

Marieta mogła się zgłosić, prosząc o wsparcie, którego tak bardzo jej brakowało. Być może informacja od jasnowidza nie była precyzyjna, dlatego ten kierunek śledztwa wydał się logiczny. Wszystkie odpowiedzi z ośrodków i szpitali były negatywne. W tym czasie nie urodziło się żadne dziecko, którego matka odpowiadałaby personaliom zaginionej dwudziestolatki. Sprawdzone także urzędy dzielnicowe. Być może w którymś z nich Marieta złożyła wniosek o wyrobienie nowych dokumentów tożsamości. Nigdzie nie znaleziono takiego potwierdzenia. Jeden z pracowników pola golfowego w Rajszewie widział kobietę odpowiadającą rysopisowi Mariety, spacerującą trzy tygodnie wcześniej po wale wiślanym w okolicach Skierd. Nie był jednak pewny, czy to poszukiwana.

Miesiąc po zaginięciu za zgodą matki w lokalnych mediach i na stronach internetowych policji zostało pokazane zdjęcie dziewczyny. Detektywi dotarli do lekarza prowadzącego ciążę Mariety. Ustalili, że ostatni raz była na wizycie dwa tygodnie przed zniknięciem. Otrzymała wówczas zwolnienie lekarskie. Partol konny policji przeszukał teren Kępy Nowodworskiej. Szukano fragmentów odzieży i miejsc ze świeżo przekopaną ziemią. Powołano biegłych, których zadaniem było odtworzenie portretu psychologicznego zaginionej. Policjanci chcieli sprawdzić, jakie mogły być ewentualne motywy popełnienia samobójstwa. Na podstawie analizy zgromadzonego materiału i sytuacji życiowej Mariety (problemy w związku oraz napięcie w rodzinie związane z ciążą) biegli wydali opinię, że dwudziestolatka mogła targnąć się na życie. Dokładnie rok po zaginięciu dziewczyny strażacy pływacko-żeglarskie jeszcze raz przeszukali dno Wisły. Ponownie bez rezultatu. Ponieważ żadne z działań nie przyczyniły się zgromadzenia materiałów pozwalających wyjaśnić okoliczności zaginięcia, prokurator rejonowy w Nowym Dworze Mazowieckim podjął decyzję o umorzeniu śledztwa. Dwudziestego piątego kwietnia 2007 roku akta sprawy trafiły na półkę.

2010 rok

Zagadka powróciła trzy lata później podczas rozmowy z jednym z policjantów Stołecznego Wydziału Terroru Kryminalnego i Zabójstw. Prokuratorzy często dyskutują z policjantami na temat innych śledztw niż te, które prowadzą na bieżąco. Nieustępliwej pani prokurator z Nowego Dworu Mazowieckiego, która zainteresowała się zaginięciem Mariety, wydawało się, że okoliczności zakwalifikowane jako zaginięcie młodej dziewczyny to w istocie zabójstwo. Głównym podejrzanym pozostał jej chłopak, ale, niestety, niczego nie udało mu się udowodnić. Policja mogła jednak działać na mocy art. 327 kodeksu postępowania karnego:

§ 1. Umorzone postępowanie przygotowawcze może być w każdym czasie podjęte na nowo na mocy postanowienia prokuratora, jeżeli nie będzie się toczyć przeciw osobie, która w poprzednim postępowaniu występowała w charakterze podejrzanego. Przepis ten stosuje się odpowiednio w sprawie, w której odmówiono wszczęcia śledztwa lub dochodzenia.

§ 2. Prawomocnie umorzone postępowanie przygotowawcze wznawia się przeciwko osobie, która występowała w charakterze podejrzanego, na mocy postanowienia prokuratora nadrzędnego nad tym, który wydał lub zatwierdził postanowienie o umorzeniu, tylko wtedy, gdy ujawnią się nowe istotne fakty lub dowody nieznanne w poprzednim postępowaniu albo gdy zachodzi okoliczność określona w art. 11 umorzenie absorpcyjne, zawieszenie postępowania § 3. Przewidziane w ustawie ograniczenia okresu tymczasowego aresztowania stosuje się wówczas do łącznego czasu trwania tego środka.

§ 3. Przed wydaniem postanowienia o podjęciu lub wznowieniu prokurator może przedsięwziąć osobiście lub zlecić policji dokonanie niezbędnych czynności dowodowych w celu sprawdzenia okoliczności uzasadniających wydanie postanowienia.

§ 4. Po wniesieniu aktu oskarżenia sąd umarza postępowanie, jeżeli stwierdzi, że postępowanie przygotowawcze wznowiono mimo braku podstaw.

Zaginięcie Mariety to trudna sprawa. Brak ciała, żadnych śladów ani poszlak, które mogły być dla śledczych podstawą do stawiania hipotez. Za to sporo błędów. Nikt nie przeszukał domu zaginionej i mieszkania podejrzanego. Być może udałoby się znaleźć coś należącego do Mariety

(ślady krwi, odzież itp.). Zwłaszcza że 29 marca 2006 r. mieszkanie Rafała było puste przez kilkanaście godzin.

Stołeczni policjanci podjęli się analizy sprawy. Prokurator zależało na wykorzystaniu wszystkich technicznych możliwości podczas przeszukania miejsc w Skierdach, gdzie dziewczyna mogła zostać utopiona lub zamordowana. Policja nie miała jednak pomysłu, jak doprowadzić do przełomu w sprawie. Detektywi sprawdzili, jak wygląda obecne życie Rafała Wiatra. Zaskoczeniem były rejestracje procesowe z art. 209 k.k. (kradzież z włamaniem) w 2008 roku i wielokrotne legitymowanie. Od listopada 2009 roku odbywał dwuletnią karę pozbawienia wolności w więzieniu na warszawskiej Białołęce. Został skazany za kradzieże.

Analityk policyjny maksymalnie zawęził teren poszukiwań wokół Nowego Dworu. Wskazał nieścisłości i braki w dochodzeniu. Billingi świadczyły o tym, że Rafał celowo wyłączał telefon w kluczowych momentach zaginięcia Mariety. Zagadką pozostał telefon z zastrzeżonego numeru od nieznanego mężczyzny z informacją o rzekomym miejscu ukrycia zwłok Mariety. Udało się namierzyć ów tajemniczy numer. Jego właścicielem był kuzyn Rafała. Rzeczywiście zatelefonował do niego o podanej godzinie. Rozmowa dotyczyła prawdopodobnie poszukiwań Mariety. Wielokrotnie kontaktowali się ze sobą przez telefon. Kuzyn nie był wtajemniczony w zbrodnię. Wiatr wykorzystał fakt połączenia z zastrzeżonego numeru, żeby zmylić trop policji. Rozważono opcję sprawdzenia samochodów rodziny i znajomych Rafała. Mógł w jednym z nich przewozić ciało dziewczyny. Poszukiwanie śladów w autach trwało długo, ale niczego nie wniosło.

2011 rok

Nowym pomysłem w dochodzeniu był wariograf. Wynik badania nie może być dowodem w postępowaniu przygotowawczym, ale bywa **przełomową czynnością operacyjną policji**. Do badania doszło po pięciu latach od zaginięcia. Policji chodziło jedynie o to, czy Rafał miał jakikolwiek związek z zabójstwem. Biegły przygotował pytania w taki sposób, żeby

odpowiedzi jednoznacznie wskazywały, czy badany był sprawcą, ponieważ tylko on mógł mieć szczegółową wiedzę dotyczącą zabójstwa. Na badanie wykrywaczem kłamstw Wiatr został przywieziony w więziennym konwoju z zakładu karnego. Było pewne, że kłamał. Podczas roboczego spotkania policji z prokuraturą nikt nie miał już wątpliwości, że doszło do morderstwa. Upadły hipotezy jej wyjazdu czy ucieczki od rodziny. Policjanci skierowali na miejsce poszukiwań ekipę śledczą z psem, specjalizującą się w wykrywaniu ludzkich zwłok. Nie udało się odnaleźć żadnego śladu.

Dzień po badaniu wariografem prokurator rejonowy w Nowym Dworze Mazowieckim formalnie podjął postępowanie i postawił Wiatrowi zarzut zabójstwa. To rutynowa procedura, kiedy bowiem podejrzany przyznaje się do zarzucanego czynu, od razu organizuje się wizję lokalną, żeby wykorzystać moment, gdy sumienie sprawcy próbuje się oczyścić. Wszystkie czynności muszą odbyć się tuż po przyznaniu się do winy, żeby później (pod wpływem współosadzonych lub adwokata) morderca nie zmienił frontu, zaprzeczając wszystkiemu. Determinacja prokurator, policjantów i biegłych przeprowadzających badanie wykrywaczem kłamstw dała upragniony sukces. Teoretycznie nie było podstaw, aby sądzić, że doszło do morderstwa. Podejrzany mógł nie przyznać się do zarzucanego mu czynu. Stało się jednak inaczej. Zaczął mówić.

Podczas wizji lokalnej Wiatr wskazał miejsca zabójstwa i zakopania zwłok Mariety. Oględziny w obecności prokuratora podważyły wyjaśnienia Rafała. Na ciele zabitej dziewczyny znajdowała się więcej niż jedna rana zadana nożem. Doszło do kolejnego przesłuchania, podczas którego prokurator poznał szczegóły zbrodni. Wiatr zeznał: ***29 marca 2006 roku wstałem o godzinie 9.00. Mieszkałem razem z matką. Jak wstałem, mama była w pracy. Miałem coś do załatwienia na działce u dziadków. Mieszka tam obecnie moja ciotka. Około 11.00 pojechałem na działkę rowerem. Miałem zabrać do domu należące do dziadka narzędzia. Ciotka była w tym czasie na działce. Byłem tam około dwóch godzin. Nie pamiętam, czy w tym czasie kontaktowałem się z Marietą. Z działki wróciłem do domu, by schować w piwnicy te rzeczy. Robiłem obiad dla siebie i mamy. Nie pamiętam, co to było. Dostałem wtedy SMS-a od Mariety. Nie wiem, która była godzina. Pisała, że wychodzi z domu. Umówiliśmy się, że spotkamy się około 15.00. Chciała iść na spacer. Zgodziłem się. Widziałem ze***

swojego balkonu, jak idzie w moją stronę. Zaraz wyszedłem z domu. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, tam gdzie stacja benzynowa. Poszliśmy chodnikiem. Nie pamiętam, czy mijaliśmy kogoś znajomego. Nie klóciliśmy się. Weszliśmy razem na wał. Szliśmy w kierunku mostu na Wiśle. Tym wałem doszliśmy do wysokości piaskarni. Wtedy jej nie było, ale teraz wiem, że jest w tym miejscu. Idąc tym wałem, zaczęły się sprzeczki, bo Marieta czepiała się mnie, że czasem zachodzę do Goški. Była zazdrosna. Spokojnie tłumaczyłem jej, że nic mnie z nią nie łączy. Jak doszliśmy do piaskarni, wróciliśmy w stronę osiedla ścieżką, która biegła wzdłuż Wisły. Nie dochodziło między nami do rękoczynów. Cały czas wypominała mi Małgoškę i krzyczała na mnie. Nie wytrzymałem w pewnym momencie. Miałem przy pasku nóż. Wyciągnąłem go i bez ostrzeżenia uderzyłem ją w plecy. To bardzo mocne uderzenie było. Od razu osunęła się na ziemię. Nie pamiętam, czy od razu straciła świadomość, ale wydaje mi się, że zmarła od razu. Ten nóż nieraz ze sobą nosiłem. Ostrze miało 12 cm. Włożyłem go w jej plecy niespodziewanie. Dlaczego pchnąłem? Nie chcę odpowiadać na to pytanie. Nie pamiętam, czy planowałem to zabójstwo wcześniej, czy był to impuls. Wydaje mi się, że byłem przygotowany na zabójstwo. Spojrzałem na okolice i nikogo nie widziałem. Z szopy wziąłem narzędzia i ją zakopałem. Jak wracałem szybkim krokiem, nóż wrzuciłem do Wisły. Miejsce było ciche i niewidoczne. Jak wróciłem do domu, wykąpałem się, wypilem kawę i dokończyłem obiad. Nie przebierałem się i nie prałem ubrań. Jak wychodziłem ze śmieciami, było już ciemno. Później specjalnie uczestniczyłem w poszukiwaniach, żeby nie było podejrzeń, że to ja zrobiłem. Chciałem tego dziecka i chciałem wyjaśnić tę historię.

Po odnalezieniu zwłok porównano profil DNA pobrany z ciała z próbką DNA matki. Potwierdzono w ten sposób, że to zwłoki Mariety Solskiej. Opinia medyczna wykazała, że kobieta była w zaawansowanej ciąży. Rozwój kośćca płodu wskazywał na siódmy miesiąc ciąży. Niemożliwe było określenie płci dziecka. Biegły wykazał na odzieży jedno przecięcie tkanin. Potwierdzało to zeznania Wiatra, ale na ubraniach ofiary były również cztery przecięcia kurtki oraz swetra. Zabójca twierdził, że pozostałe obrażenia zostały prawdopodobnie zadane szpikulcem, którym policjanci badali grunt w poszukiwaniu ciała, nakłuwając wybrane fragmenty ziemi. Jednak przeczyło temu usytuowanie obrażeń.

W marcu wykonano także opinię psychologiczną mordercy. Biegła szpitala psychiatrycznego przeprowadziła ją w areszcie śledczym. We wnioskach zapisano: ***Nie ma podstaw do rozpoznania choroby psychicznej u zatrzymanego. Poziom inteligencji w normie. Narkotyków nie zażywał, alkohol pił okazjonalnie. Często był widywany pod wpływem alkoholu. Wówczas był agresywny. Osobowość sprawcy dysocjalna, nieprawidłowa. W chwili popełnienia morderstwa był całkowicie poczytalny.***

Trzydziestego pierwszego sierpnia 2011 roku prokurator skierował do Sądu Okręgowego Warszawa-Praga akt oskarżenia przeciwko Rafałowi Wiatrowi, zarzucając mu pozbawienie życia Mariety Solskiej będącej w siódmym miesiącu ciąży. Sąd Apelacyjny w Warszawie skazał mężczyznę na karę 25 lat pozbawienia wolności, złagodził w ten sposób wyrok pierwszej instancji, skazujący Wiatra na dożywocie. Okolicznościami łagodzącymi były chęć współpracy z prokuraturą i przyznanie się do winy.

§

Rozmowa z Gzem, policjantem Wydziału Terroru Kryminalnego i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji

Dlaczego nie zawsze zakłada się, że zaginięcie – mimo całkowitego braku śladów – może być morderstwem?

Wszystko zależy od dyżurnego, który dostaje taką sprawę. Kiedy zaczynałem pracę, wielokrotnie zdarzało mi się, że przychodził ktoś i mówił: „Proszę pana, córka, syn, dziewczyna albo żona nie wróciła do domu”. Nie można od razu założyć własnej wersji. Zaczyna się od niewinnego pytania, czy kiedykolwiek zdarzyło się, że osoba nie wróciła. Kiedy pada odpowiedź, że tak, policjant mówi: „Widzi pan, pewnie i tym razem trzeba spokojnie poczekać, aż wróci”. To najgorszy błąd, bo pierwsze kilkanaście godzin ma kolosalne znaczenie. Jeśli trafi się policjant, który ma nosa, nie odpuści, prawdopodobieństwo wykrycia sprawy będzie duże. Wszystko zależy od indywidualnego podejścia policjanta. Za każdym razem zdarzenia trzeba analizować osobno. Nie można czekać nie wiadomo na co. Trzeba podejmować szybkie działania, wysyłać patrole, rozpytywać, szarpać ten trop. Kiedy młoda normalna dziewczyna wychodzi z domu, bo chce spotkać się z chłopakiem, do tego jest w ciąży i znika bez śladu, nie do pomyślenia jest dla mnie, żeby założyć, że popełniła samobójstwo. Depresję człowieka da się zauważyć. Samobójcy zresztą zawsze zostawiają po sobie dwa zdania wyjaśnienia.

Masz nosa do ściemy, kłamstwa?

Praca w policji nieco nas wypacza. Zakładamy często, że człowiek, który do nas przychodzi, chce nas oszukać albo nie mówi całej prawdy, nawet jeśli jest pokrzywdzonym. Jego udział do momentu, kiedy stał się tym pokrzywdzonym, może być wynikiem jego działania bądź zaniechania. O tym nie będzie chciał mówić, choć jest to przeważnie kluczowe w tym

zdarzeniu. Wówczas bardzo łatwo kogoś pomówić. Oczywiście podejrzany ma prawo kłamać, tak mówi kodeks. Jest to prawo do obrony poprzez kłamstwo. Zrozumiałe, jednak często silnie związane jest ze sobą to, kiedy świadek staje się podejrzanym. W pierwszym etapie jako świadek może nam pomóc, ale może także celowo wprowadzać nas w maliny. W Ameryce obowiązuje totalne domniemanie niewinności. Czyli policjant mówi: „Ja ci wierzę”. Ale jeśli przyłapie delikwenta na jakimkolwiek kłamstwie, koniec miłej atmosfery. U nas to nie jest takie oczywiste. Nasze zadanie to zrobienie wszystkiego, żeby sprawdzić jak najwięcej okoliczności związanych ze zdarzeniem. To najważniejsze.

Czyli wypacza was to, że musicie zweryfikować każdą najdrobniejszą informację?

Zbyt często okazuje się to konieczne. Przykładowo: przychodzi świadek, który mówi, że jest pewny, że kupił swój samochód za konkretną kwotę od konkretnego człowieka. Pytam: „Jest pani pewna, że to było dokładnie dziesięć lat temu”. Słyszę: „Tak. Mam bardzo dobrą pamięć”. Odpowiadam: „Pozazdrościć, jestem pod wrażeniem, ale dlaczego przyszła pani od razu z mecenasem?”. „Bo czuję się wtedy pewniej”. „Ma pani takie prawo, ale wydaje się to podejrzane”. Prawdopodobnie to auto pochodzące z przestępstwa. Pytam: „A ile miała pani wszystkich samochodów w życiu?”. „Dlaczego pan o to pyta?”. „Zbieram informacje. Skoro pamięta pani takie szczegóły jak zachmurzenie w dniu kradzieży dziesięć lat temu, na pewno będzie pani pamiętała, ile miała pani aut”. Adwokat od razu: „Dlaczego wychodzi pan poza zakres tego przesłuchania, zadając inne pytania?”. Mówię, że chcę sprawdzić, czy świadek przygotował się do tego przesłuchania, chcąc uwiarygodnić swoją wersję. Okazuje się, że o dziewięciu samochodach i okolicznościach, w jakich stała się ich właścicielką, nie pamięta nic. Tylko o tym jednym, bo zależy jej na odszkodowaniu. Ludzie kłamią, dlatego jesteśmy nieco wypaczeni. Dopytuję dlatego, żeby niepotrzebnie nie angażować kolejnych osób w dochodzenie do prawdy. Policjant musi wyczuć, z kim ma do czynienia.

Wewnętrzny detektor kłamstw wyostrza się z wysługą lat?

Nie potrafię odpowiedzieć dokładnie. Na pewno intuicja po latach pracy działa znacznie lepiej niż na początku służby.

Nos policyjny to intuicja czy rutyna zawodowego wykorzystania kryminalnego elementarza z zasadami?

Jeśli ktoś pracuje przy jakiejś sprawie i mocno się nią interesuje, zaczyna być dociekliwy. Dociekliwość utwierdza policjanta w tym, czy zrobił wszystko, co mógł. Chyba tym jest ów policyjny nos. Zdarzają się mistrzowie kłamstwa. Mnie kiedyś oszukał jeden klient. Zarzekał się na życie własnego dziecka i raz jedyny w życiu mu uwierzyłem. Niestety. Nie stało się tak, że od tamtej pory przestałem wierzyć komukolwiek, natomiast podniosłem sobie poprzeczkę tego, w co mogę uwierzyć na słowo. Często słyszę lament i widzę łzy, które powinny mnie wzruszyć i tylko psychol by nie zmiękł. Potem okazuje się jednak, że ze mną jest wszystko w porządku. Kobieta dostaje wodę, rozmawiamy i zaczynamy wracać w przeszłość. Ciśnienie spada i nagle przyznaje się do czegoś, co jeszcze kilkadziesiąt minut wcześniej całkowicie wypierała. Jeśli w trakcie przesłuchania natrafię na jakąś nitkę kłamstwa, ciągnę ją później nieubłaganie. Nie ma złotego środka. U każdego indywidualnie trzeba znaleźć właściwy moment. Zdarzyło się, że siedział przede mną klient i rozmawialiśmy kilka godzin. W którymś momencie powiedział: „Wie pan co, pierwszy raz nikt mnie nie bił. Byłem bity po różnych częściach ciała”. Nie powiem kto i gdzie, ale przyznaję, że też nie jestem święty.

Co trzeba zrobić, żeby ludzie przyznali się do winy?

Na pewno trzeba dać im mówić. Jeśli człowiek chce mówić, niech mówi. Dopiero potem będziemy to weryfikować. Nie można przerywać co sekundę: „Tak zrobiłeś”, „To twoja wina” itd. Niech człowiek powie, jak to widzi. Nie zdradzę wszystkiego. Tę wiedzę zdobywamy na szkoleniach, na których sporo rozmawiamy. Najważniejsze, żeby układać skrupulatnie puzzle historii. Ktoś może wypalić: „Panie, ja już tu trzy godziny siedzę”. Tak, ale tu nie chodzi o kradzież marchewki, tylko ludzkie życie.

Wiedza ze szkoleń zawsze się przydaje?

To wskazówka, którą można wykorzystać. Przykładowo: uciekające oczy albo odwracanie uwagi. Są też postawy. Jeśli przychodzi do mnie człowiek i z założonymi rękami mówi mi, że on tego nie zrobił, wiem, że coś jest nie tak.

Co ludzi zdradza?

Pewność siebie i buńczuczność. Zwykle najlepszą obroną jest atak. Jest złapany, ale gryzie. Czasami tuż po zatrzymaniu człowiek robi się żółto zielony i mokry jak szczur. Takie symptomy wręcz wskazują na winę. Osobiście nie lubię szpitali. Kiedy tam przebywam, czuję się bardzo niepewnie. Objawia się to potliwością dłoni. Podobnie jak idziesz na rozmowę do szefa i nie wiesz, o co chodzi. Identycznie jest tutaj. Jeśli przychodzi klient z przygotowaną wersyjką, mówi jak z automatu. Jeśli ktoś mu przerwie, pogubi się. Na tym polega policyjny nos. Trzeba natychmiast to wyłapać. Jeśli byłeś gdzieś i coś widziałeś, bez względu na to, czy dziś czy za tydzień zawsze powiesz to samo. Jeśli cię tam nie było, będziesz za każdym razem mówił co innego.

Bandyci to dobrzy kłamcy?

Nie powiedziałbym. Myślę, że kwestia tego, jak bardzo człowiek jest zły, nie jest równoznaczna z umiejętnością dobrego kłamania. Dobry kłamca może być także prostym człowiekiem, który przyjmuje strategię kroku do tyłu. Zamyka się jak żółw i nie odpowiada na żadne pytanie związane ze sprawą. Opowie chętnie, gdzie był na rybach i kim jest jego sąsiad, ale o swoim udziale w sprawie, przy której został zatrzymany, nic. Bywają tacy, którzy się wybielają. Jeśli nie umie kłamać, zamota się i wpadnie. Zdarzają się też tacy, którzy nie mają sumienia i doskonale kłamią. Stykają się cechy wrodzone i wyuczone. Kwestią jest, w jakim środowisku wychował się ten człowiek i z kim obcował. W pewnych kręgach nie mówi się prawdy. Kiedy przychodzi do mnie żona zabitego bandyty, trudno mi uwierzyć, że nie wie, co robił mąż, choć miał dużo pieniędzy.

Kiedy czujesz się niepewnie w trakcie przesłuchania?

Jak trafia się dobry psycholog. Bywa, że momentami on przejmuje pałeczkę i wypytuje o różne rzeczy. Pytanie na pytanie lub wmawianie mi czegoś, czego nie powiedziałem. Niektórzy potrafią mistrzowsko rozgrywać tzw. drażnienie się. Wówczas można się poczuć niepewnie na własnym gruncie. Powodem może być także brak wystarczająco dużej wiedzy na temat jakiegoś zagadnienia. Na przykład materiały chemiczne albo medyczne. Podejrzany łatwo może wyczuć, czy przesłuchujący go policjant w ogóle orientuje się w temacie. Przy zabójstwie nie ma wielkiej filozofii. Winny

albo nie. Strzelał albo nie. Policjant pyta, skąd miał broń, z jakiej odległości strzelał i co było motywem. W kwestiach innych przestępstw bądź specjalistycznych zagadnień, kiedy policjant będzie „pływał”, przesłuchanie zakończy się na kilku zdaniach. Oczywiście coś będzie zaprotokołowane, ale detektyw nie będzie partnerem w dyskusji. Miałem znajomą, która zanim doszła, kto systematycznie wyciąga pieniądze w pewnej firmie, musiała się tam zatrudnić, żeby poznać dobrze cały system. Wówczas doszła, kto i co.

Przesłuchiwanie zawsze pękają?

Nie.

To kwestia czasu, żeby każdy pękł?

Niestety, nie. Każdy przypadek jest indywidualny. Osobowość sprawcy może być tak silnie psychopatyczna, że nie złamie go żadne przesłuchanie. Zresztą to częste metody: nie mówić nic albo odgrywać głupiego. Prawo pozwala na odmawianie zeznań. Jednak takie zachowanie nie pozostanie bez reakcji, bo policja bardziej skupi się wówczas na kliencie. Lepiej go rozpracuje.

Wygląda na to, że najtrudniejszą częścią pracy policyjnej jest przesłuchanie.

Wszystko zależy od przygotowania. Jeśli dochodzi do sytuacji, że człowiek coś zrobił, ale nie ma świadków (tak jak przy naszym zaginięciu) potrzebna jest szczególna uwaga policjanta. W wielu sprawach człowiek początkowo aresztowany przyznaje się do winy, a potem się wycofuje. Prokurator przy ubogim materiale mówi: „pas”. Sprawa trafia na półkę. Pytanie: co by się stało, gdyby przy zaginięciu Mariety prokurator nie zdecydował się na akt oskarżenia? Czy poszukiwania cokolwiek by dały?

Jak zmieniły się metody przez ostatnie ćwierć wieku?

W czasach przed transformacją świadków tak pieczołowicie nie pouczano. Zakres ich uprawnień był węższy. Obecnie mamy spore parcie na ochronę prawną świadków i zatrzymanych. Wszystko musi być udokumentowane. Policjant ma obowiązek pouczyć ustnie o ich uprawnieniach. Jeśli świadek chce z nich korzystać, na tym kończy się cała czynność. To, czy świadek

złoży zeznania, może być obroną dla oskarżonego, bo zeznania będą dla niego korzystne. Może być też tak, że świadek nie chce narażać się na odpowiedzialność karną i nie powie: „Tak. Widziałem, jak to zrobił”.

Ludzie pomagają przy wykrywaniu zabójstw?

Kiedyś nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. W porównaniu do lat 90. sporo się zmieniło. Wówczas najczęściej dochodziło do porachunków gangów. Ludzie, którzy mogli coś widzieć, byli zastraszeni. Społeczeństwo się bało. Obecnie mamy więcej metod zapewniających anonimowość. Jest poza tym program ochrony świadków i anonimizacja danych. Kodeks to teraz ochrona wszystkich świadków. Kiedyś oskarżony mógł przeczytać akta i znaleźć w nich nazwiska wszystkich osób, które zeznawały przeciwko niemu. Jest sporo korzystnych zmian. Dane adresowe, telefony itd. to osobne tomy akt, do których ma dostęp tylko organ ścigania. Dziś społeczeństwo współpracuje chętniej. Zresztą obecnie zabójstwa mają inny charakter. Często mają związek ze środkami odurzającymi, rabunkami, nieporozumieniami rodzinnymi.

Podobno najczęściej jedziecie na „ubój domowy”.

To prawda. Tak zwane konflikty w czterech ścianach często kończą się zabójstwem. Nie ma znaczenia, czy jest to rodzina patologiczna, czy dobrze sytuowana. Dochodzi do sytuacji, że ktoś kogoś „odpala”. Przeważnie używa noża albo broni.

Klasa średnia zabija się tak często jak najbiedniejsi?

Dominuje patologia. Bardzo często chodzi o drobne pieniądze. Tak małe, że normalnemu człowiekowi wyda się to wręcz niemożliwe, aby mógł być to pretekst, żeby kogoś zabić. Desperacja wynika z głodu alkoholowego. „Pożycz dychę”. „Nie mam”. Po godzinie podczas wspólnej libacji wypada facetowi z kieszeni stówa. „Jak to? Oszukałeś mnie!”. Łapie za nóż i koniec. Powodem są także stare waśnie, wychodzące podczas agresywnych sprzeczek. Od pyskówki do noża. Zdarzają się także ludzie niezrównoważeni. Prowadziliśmy kiedyś sprawę mężczyzny, który dokonał trzech zabójstw w tramwajach. Facet szukał zaczepki w tramwajach bądź na przystanku. Szturchnął ludzi ramieniem i czekał na reakcję. Raz zdarzyło

się, że trafił na silniejszego od siebie. Doszło do bójki i wielokrotnego ugodzenia nożem. Sytuacja, w której było wielu świadków.

Na ile zabójstwa dotyczą dziś zwykłych ludzi, a na ile świątka przestępczego?

Biuro kryminalne prowadzi taką statystykę. Powiedziałbym, że miłość i rabunki są najczęstszym powodem zabójstw, nie licząc sprawców seksualnych i innych psycholi. Nie przeceniałbym świątka przestępczego w kwestii pierwszeństwa w zabijaniu się.

Jak styl obecnego życia wpływa na zabójstwa?

Sytuacja w Polsce zmieniała się dynamicznie. W latach 90. przybyło do nas wielu obcokrajowców. Nagle zaczęła się tworzyć konkurencja i, co za tym idzie, gangi. Grupy eliminowały się nawzajem. Dziś po latach transformacji bandyci już się tak nie zabijają. Część się wystrzelała, kolejna poszła siedzieć, a młode pokolenie myśli inaczej: jak zarobić więcej, nie parając się tak parszywą robotą. Kiedy zaczęły spadać odsetki zabójstw, w górę poszły przestępstwa gospodarcze.

Jest nawet przestępstwo na policjanta.

Muszę przyznać, że nie ma dnia, żeby coś takiego się nie działo. Przestępczość ewoluuje. Nowe czasy ucywilizowały proceder zbrodni. Przestępczość przenosi się w inny wymiar, głównie oszustw internetowych. Liczba zabójstw maleje. Porachunków jest najmniej, występują sporadycznie.

Warszawa przewodzi pod względem przestępstw?

Jak każda stolica, choć w samym mieście nie ma tego dużo. Na statystyki wpływają okolice: Zielonka, Wołomin, Pruszków, Nowy Dwór Mazowiecki. W centrum miasta dochodzi najczęściej do nieporozumień. Przykład obciętej głowy na Woli. Facet zeznał, że objawił mu się jakiś manekin, który do niego mówił. Więc wziął nóż i obciął mu głowę. Była to jego konkubina. Sprawa nie do uwierzenia. Prosta historia, ale maksymalnie chora. Ludzie wariują także po zażyciu dopalaczy. To istna plaga. Nasze społeczeństwo żyje w wielkim pośpiechu, nie zwracamy na siebie uwagi. Przez to do morderstw dochodzi nawet w dobrych domach. Przykładem

może być tu sprawa chłopaka, który razem ze swoją dziewczyną zamordował rodziców.

Każdy jest zdolny odebrać innemu życie?

Ludzie się z tym rodzą. Czasem wystarczy impuls. Przypadkowo trafiasz w czyjś czuły punkt, a ta osoba potrafi skasować cię w sekundę. Bywa, że trauma narasta w kimś przez lata. Ludzie nie potrafią sobie z nią poradzić. Zaczyna dusić. Wreszcie dochodzi do zbrodni. Niestety, jest sporo takich przypadków.

Użyłeś broni w pracy?

Tak.

Co potem?

Musiałem tłumaczyć się przed prokuratorem, dlaczego strzelałem do człowieka. Widziałem broń. Okazało się, że był to pistolet gazowy. Było późno, druga w nocy. Człowiek był pijany, ale doskonale wiedział, że jesteśmy policjantami, a mimo to oddawał do nas strzały. W USA pewnie bym go zastrzelił. My mamy jednak wpojone, żeby czekać. Wyjąłem broń i strzeliłem w jego kierunku, jednak celowo chybiłem. Gdybym trafił, miałbym postawione zarzuty przekroczenia uprawnień.

Poszedłbyś siedzieć?

Tego nie wiem.

Policjanci boją się wyciągać broń?

To chore, ale tak. Boją się. Choć sytuacja, w jakiej się znalazłem, działa się błyskawicznie. Zresztą tak jesteśmy szkoleni, żeby w chwili zagrożenia życia wyjąć broń.

Jak to było?

Dyżurny poinformował mnie, że w restauracji jest delikwent, który straszy ludzi bronią. Trzeba jechać. Na miejscu ktoś krzyczy: „Tam pobiegł”. Doganiamy go. Jest ciemno jak diabli. Wołamy: „Stój! Policja!”. Nagle widzę sylwetkę mężczyzny mierzącego do nas z broni. Zaczynasz chronić życie. Schowałem się za słupem, wyjąłem broń i strzeliłem, licząc, że facet

oprzytomnieje. Tak na szczęście się stało. Potem trzeba wszystko udokumentować.

Macie z kolegami przeświadczenie, że firma stoi za wami murem?

Nie. Kiedy użyjesz broni, zaczyna się wsteczna analiza. Co zrobiłeś i czego nie zrobiłeś. Gdybym został postrzelony, usłyszałbym pytanie, dlaczego nie użyłem broni. Ten problem istnieje. Często o tym rozmawiamy. Zawsze się okaże, że można było zachować się inaczej.

Który tryb w maszynie wymiaru sprawiedliwości jest z twojego punktu widzenia najważniejszy?

Żeby policjant nigdy nie odpuszczał. Kiedy to robi, jest już pozamiatane.



**OPOLE
LUBELSKIE – POTRÓJNY
MORD**



Pierwszy sierpnia 2007 r. to dzień, w którym rozpoczęło pracę lubelskie Archiwum X. Pierwsze miesiące poświęcono na inwentaryzację akt i dokumentów. Detektywi otrzymali wykaz stu czterdziestu trzech niewykrytych zabójstw z lat 1986–2006. Analizowali akta, szukając punktu zaczepienia i weryfikując dowody. Jeździli w teren i rozmawiali z ludźmi, uzupełniając zeznania świadków. Wiele osób niczego nie pamiętało lub nie chciało wracać do traumatycznych wydarzeń. Przepytывali także emerytowanych policjantów pracujących przy starych sprawach. Może coś zostało pominięte, niepociągnięte do końca z powodu urlopu lub przejścia na emeryturę. Nikt nie naciskał, która zbrodnia powinna być wyjaśniana przez Archiwum X w pierwszej kolejności. Jedną z nich był potrójny mord w Opolu Lubelskim.

1991 rok

Małżonkowie Adela i Mieczysław Lenartowie od lat 50. mieszkali we własnym jednopiętrowym domu przy ul. Wiślanej w Opolu Lubelskim.

Mieli dwóch synów: Dobiegniewa i Dobrogosta. Gdy doszło do zabójstwa, pierwszy mieszkał w Paryżu, drugi w Lublinie. Starszy, Dobrogost (internista w szpitalu wojewódzkim) co tydzień dzwonił do rodziców. Często też ich odwiedzał, bo sprawował opiekę lekarską nad matką. W 1989 roku z Lenartami zamieszkał Władysław Kozicki. Pomagał w prowadzeniu domu i opiekował się Adelą.

W pierwszym pomieszczeniu z prawej strony od wejścia mieścił się gabinet dentystyczny, w którym Adela przez wiele lat prowadziła praktykę stomatologiczną. Przestała w grudniu 1990 roku, gdy pogorszył się stan jej zdrowia. Za gabinetem znajdowała się pracownia protetyczna, w której Mieczysław dokonywał drobnych napraw, głównie protez zębowych. Ze względu na podeszły wiek robił to sporadycznie, najczęściej gdy zgłaszali się sąsiedzi w awaryjnych sytuacjach.

Lenartowie byli też właścicielami gospodarstwa rolnego. Przezornie, jako dodatkową inwestycję i zabezpieczenie swojej przyszłości w czasie emerytury, zainwestowali w ziemię, na której uprawiali jabłka. Po sąsiedzku sporą działkę posiadał Karol Skalski. Starszy pan mieszkał w Zastowie Karczmiskim. Na początku lat 80. razem z synem Rafałem chcieli powiększyć areał, żeby rozwinąć działalność rolniczą. Dwa razy przedstawili Lenartom hojną ofertę. Oni jednak nie zamierzali pozbywać się inwestycji, która przynosiła coraz większe zyski. Mieczysław potrafił dogadywać się z rolnikami i negocjować stawki za owoce. Cieszył się szacunkiem lokalnej społeczności, miał opinię solidnego i uczciwego człowieka. „Jabłka od doktorów” były jednym z najpopularniejszych towarów na okolicznych targowiskach.

Po odrzuceniu pierwszej oferty stary Skalski postanowił zaproponować Lenartom odkupienie większości ich ziemi, pozostawiając im mniejszą część, żeby mogli dalej cieszyć się sadem. Na działce wciąż mieliby dostęp do jabłek, jednak już nie w wymiarze handlowym. Chciał też dzielić się zyskami ze sprzedaży. Podczas kolejnego spotkania propozycja została stanowczo odrzucona. Rozmowa trwała krótko. W pracowni stygł odlew szczęki jednego z pacjentów i Mieczysław, skupiony na precyzyjnej pracy, wymagającej drobiazgowości oraz spokoju, zirytował się, że wciąż jest nachodzony w sprawie sprzedaży ziemi, której przecież nie chciał się pozbywać.

Tryb życia Lenartów oraz ich pomocnika Władysława był usystematyzowany. Każdy dzień miał swoją niezmienną agendę. Głównym stałym punktem był obiad. Z racji profesji i świetnych relacji w miejscowej służbie zdrowia małżonkowie mogli korzystać z zaplecza szpitala i przychodni. Będąc na konsultacjach w oddziale protetycznym, Mieczysław jadał w szpitalnej stołówce. Zawsze smakowały mu wydawane tam dania, dlatego kiedy małżonkowie nie mieli już siły na codzienne zakupy i gotowanie we własnej kuchni, wykupili dwa miesięczne karnety na dwudaniowe obiady. W dni powszednie Władysław przyjeżdżał do szpitala około południa i odbierał jedzenie ze stołówki. W domu dzielił obiady na trzy porcje i nakrywał do stołu, żeby wszyscy mogli razem spożyć posiłek. Stałym rytuałem były też pobudka o godzinie szóstej rano i zakończenie dnia – wspólne oglądanie dziennika telewizyjnego, po którym, w zależności od nadawanych programów, domownicy kładli się spać; zwykle nie później niż o godzinie 21.00. Adela dużo czasu spędzała w łóżku, czytając i odpoczywając. Często spała w ciągu dnia.

Duży wpływ na tryb życia Lenartów miał napad rabunkowy sprzed kilku lat. Złodzieje włamali się pod ich nieobecność, splądrowali dom oraz ukradli sprzęt RTV i biżuterię Adeli. Żeby zwiększyć bezpieczeństwo, drzwi prowadzące z sieni do części mieszkalnej były zawsze zamknięte na klucz i zabezpieczone łańcuchem, który pozwalał tylko na ich częściowe uchYLENIE. Gdy ktoś pukał, podchodził Władysław, uchylał drzwi i pytał, kto i po co przyszedł. Następnie zamykał drzwi i zawiadamiał Mieczysława, który decydował o wpuszczeniu gościa.

Adela na narzędzie samoobrony wybrała dosyć ciężki i ostry szklany luksfer. Leżał w pracowni protetycznej na pianinie. Małżonkowie ustalili, że jeśli zostaną napadnięci, oddadzą bandytom jakiś wartościowy łup, co dawało szansę, że złodzieje nie zrobią im krzywdy. Dwie puszki, do których włożyli biżuterię i szczelnie zalutowali wieczka, schowali w łazience na piętrze, razem z elementami służącymi do wyrobu protez i cennymi materiałami dentystycznymi.

W marcu 1991 roku Mieczysław wywiesił w oknie domu ogłoszenie z ofertą sprzedaży dwóch samochodów osobowych, fiatów 126p. Wiadomość dotarła do Rafała Skalskiego, który mieszkał w Nowej Soli (woj. lubuskie), z drugą żoną Małgorzatą i ich siedmioletnią córką. Mężczyzna opuścił dom rodzinny, ponieważ nie chciał być rolnikiem, tak

jak ojciec. Pokłócił się wtedy ze starszym bratem Damianem, który zarzucił mu trwonienie pieniędzy na alkohol i porzucenie ojcowizny. Między braćmi wywiązała się bójka. Ugodzony nożem Damian trafił do szpitala, a ojciec wyrzucił z domu agresywnego Rafała, grożąc wydziedziczeniem.

Młodszy Skalski podjął pracę w lubuskim zakładzie komunalnym i zamieszkał w hotelu robotniczym w Nowej Soli. Po kilku latach od feralnej kłótni udało się mu porozumieć z rodziną w kwestii majątku. Damian miał otrzymać w spadku gospodarstwo, a Rafała spłacono. Gdy dostał od ojca 5000 zł, szukał okazji, by je pomnożyć i zainwestować w srebro lub złoto.

Wiosną 1991 roku stracił pracę. Sądził, że szybko znajdzie nowe lepsze zajęcie. Zaczął handlować artykułami spożywczymi, głównie kawą i słodyczami, które przywoził z Niemiec. Interes nie szedł mu jednak najlepiej. Ceny miał wysokie, a towar przeważnie rozkładał na bazarze, gdzie kupowali najubożsi mieszkańcy wsi. Zarejestrował się więc w biurze pracy jako bezrobotny. Otrzymał zasiłek w wysokości 75 zł miesięcznie. Żeby przeżyć, pożyczał pieniądze od kogo tylko mógł; przede wszystkim od znajomych i kolegów.

W kwietniu Rafał pojawił się u rodziny w Zastowie, pomógł sadzić ziemniaki. Podczas drugiej wizyty zaprosił rodziców na pierwszą komunię świętą swojej córki. Gdy trzeci raz przyjechał w połowie czerwca, dowiedział się o ofercie sprzedaży samochodów Lenartów. Pojechał więc do Opola Lubelskiego, żeby zobaczyć fiaty i negocjować cenę. Około południa zapukał do drzwi wejściowych. Uchylił je Władysław, zapytał o powód wizyty. Gdy usłyszał, że chodzi o kupno samochodu, wpuścił gościa i wyszedł otworzyć garaż.

Skalski i Lenart rozmawiali w gabinecie dentystycznym. Ponieważ Adela zawołała męża, gospodarz musiał na chwilę zostawić potencjalnego kupca, który jednak ruszył w ślad za nim. Rafał, pod pozorem przywitania się z Lenartową, chciał zobaczyć, jak mieszkali i czy posiadali coś cennego. Potem mężczyźni poszli do garażu. Samochód, który zainteresował Skalskiego, należał do starszego syna Mieczysława. Akt sprzedaży mógł wypisać tylko właściciel, a Dobrogosta Lenarta nie było na miejscu. Skalski udawał zawiedzionego, twierdził, że chciał odjechać nowym nabytkiem. Kłamał. Nie miał przy sobie żądanej kwoty. Próbował się targować. Wrócił z Mieczysławem do gabinetu, gdzie rozpoczęły się negocjacje. Przerwała je

wizyta siostry Adeli, jej dwóch synów i synowej młodszego z nich. Skalski minął się z gośćmi w przedpokoju.

Po wyjściu z domu Lenartów wsiadł do autobusu PKS. Spotkał w nim znajomego Bartosza Zwiecha z synem Tadzkiem. Wracali z Sądu Rodzinnego w Opolu Lubelskim, gdzie toczyło się postępowanie w sprawie chłopca. Kilka dni później Skalski pojechał do Kazimierza Dolnego, żeby odwiedzić Marcina Zdejnowicza. Opowiedział mu o bezskutecznym poszukiwaniu pracy i planach włamania. Kolega zaproponował rozmowę z mężem swojej siostry, Konradem Wolskim. Podczas niezapowiedzianej wizyty, na którą przyszedli z butelką wina, Skalski zapytał szwagra Zdejnowicza, czy jego sąsiad piekarz może mieć w domu pieniądze. Pytanie zdziwiło Wolskiego. Jeszcze bardziej zaskoczyło go, że dopiero co poznany mężczyzna zaproponował mu napad na piekarza. Miał zapukać do sąsiada, który widząc znajomą twarz, na pewno otworzy drzwi, a wtedy do środka wejdzie on, Skalski, i „zrobi resztę”. Mimo stanowczej odmowy Rafał nie dawał za wygraną. Skoro Konrad bał się okraść sąsiadów, mogą napaść na Lenartów w Opolu Lubelskim. Są bogaci i znają go, więc łatwo będzie dostać się do dobrze zabezpieczonego mieszkania. Oburzony Wolski kazał mu wyjść, potem o wszystkim opowiedział żonie. Małgorzata obawiała się, że zostaną wplątani w jakieś przestępstwo. Gdy więc kilka dni później Skalski przyszedł ponownie, licząc na pożyczkę, kobieta skłamała, że męża nie ma, chociaż Konrad spał w pokoju obok.

Dwudziestego piątego lipca Dobrogost Lenart odwiedził rodziców. Pojawił się rano, zbadał matkę i zaordynował nowe leki. W tym samym czasie Rafał Skalski włączył się po Opolu Lubelskim. Odwiedził żonę kuzyna i pożyczył od niej 100 zł, kłamiąc, że zbiera na leczenie dziecka. Potem pojechał do Celejowa, żeby odnaleźć kolegę Mariana Tycha i zaproponować mu robotę podczas żniw w gospodarstwie ojca w Zastowie. Znajomy zgodził się. Noc z 30 na 31 lipca spędzili u szwagra Skalskiego w Celejowie. Rankiem wyszli z domu z niedużą sportową torbą.

Nie pojechali jednak do Zastowa. Około godziny 11.00 zjawili się w Opolu Lubelskim. W tym czasie Władysław Kozicki przygotowywał się do wyjazdu do szpitalnej stołówki. Dotarł tam tuż przed południem, odebrał posiłki i zamówił obiady na kolejny miesiąc. W domu Mieczysław porządkował dokumentację pacjentów w gabinecie. Gdy usłyszał pukanie,

poszedł otworzyć przekonany, że Władysław nie wziął kluczy. Uchylił drzwi. Wtedy Skalski i Tych rzucili się na niego. Rafał chwycił siekierę opartą o ścianę w sieni i uderzył starszego mężczyznę. Pierwszy cios był niepewny, kolejny już nie. Połała się krew. Mieczysław nawet nie zdążył krzyknąć. Napastnicy przeciągnęli jego ciało do gabinetu.

Adela usłyszała ruch w przedpokoju. Pomyślała, że to Władysław wrócił z obiadem, więc zeszła na dół. Ukryci w gabinecie dentystycznym Skalski i Tych czekali, żeby zaatakować z zaskoczenia. Gdy Adela pojawiła się w drzwiach, cios siekierą w głowę powalił ją na podłogę. Przerazona kobieta próbowała wczołgać się do gabinetu. Prawdopodobnie chciała chwycić leżący na pianinie luksfer. Dużą siekierą trudno manewrować, więc Tych wyciągnął ze sportowej torby młotek i podał go współnikowi. Skalski najpierw uderzył kobietę młotkiem, potem rzucił w nią luksferem. Szklany blok upadł tuż obok głowy Lenartowej i się rozbił. Aby upewnić się, że kobieta nie żyje, Skalski zadał jej młotkiem kilka ciosów w głowę.

Chwilę później pod dom podjechał samochód Kozickiego. Zabójcy postanowili zaatakować, kiedy mężczyzna odstawi przywieziony obiad. Nieświadomy Władysław wszedł do kuchni, postawił nosilki z jedzeniem i poczuł, że ktoś zarzucił mu na szyję pętlę ze sznura od żelazka, które stało w gabinecie protetycznym. Chociaż mężczyzna walczył, nie udało mu się wyswobodzić. Gdy Tych ciągnął za przewód, Skalski siekierą uderzył Kozickiego w głowę. Władysław opadł na ścianę. Posypały się ciosy młotkiem i siekierą. Sprawcy zadali ich dziewiętnaście. Bili tak mocno, że trzonek młotka pękł, raniąc Skalskiego w dłoń.

Po wyeliminowaniu wszystkich domowników Skalski i Tych mogli wreszcie poszukać pieniędzy i kosztowności. Godzinę później opuścili dom Lenartów, zamykając drzwi na klucz. Tuż przed wyjściem ustawili parawany lekarskie w taki sposób, żeby z zewnątrz nie można było nic zobaczyć. Około godziny 15.00 wrócili do Celejowa. Marzena, siostra Skalskiego, zauważyła, że Rafał miał drugą torbę. Była duża, wydawała się w połowie pusta, ale sprawiała wrażenie ciężkiej. Goście przynieśli wódkę. W trakcie obiadu Skalski pokazał zwitek pieniędzy. Chwalił się, że to prezent od matki. Plik banknotów robił wrażenie.

Tego samego popołudnia do domu Lenartów zapukał Janusz Kulig. Chciał odebrać sztuczną szczękę, którą trzy dni wcześniej zostawił do naprawy. Ponieważ drzwi były zamknięte, mężczyzna wrócił do siebie

i zadzwonił do Lenartów. Nikt nie odebrał telefonu. Spróbował ponownie wieczorem, bez rezultatu. Następnego dnia znów poszedł do domu Adeli i Mieczysława, ale nikogo nie zastał. Kilka godzin później do Lenartów zastukała Małgorzata Studoł, żeby odebrać swoją protezę. Żaden z domowników nie otworzył drzwi. Przez kolejne dwa dni inni mieszkańcy miasteczka też nie mogli skontaktować się z Lenartami.

Czwartego sierpnia do Opolu Lubelskiego przyjechał zaniepokojony syn Adeli i Mieczysława. Postanowił sprawdzić, co się stało z telefonem rodziców, bo nie mógł się do nich dodzwonić. Ponieważ boczne drzwi były zaryglowane, podważył tarasowe i wszedł do środka. W kuchni i gabinetach znalazł zwłoki rodziców i Władysława. Dom wyglądał na splądrowany i przeszukany, chociaż brakowało śladów włamania, a drzwi prowadzące do części mieszkalnej zostały zamknięte na obydwie zamki. Dobrogost Lenart wezwał policję.

Prokurator natychmiast wszczął śledztwo. Ruszyło z wyjątkowym impetem. Morderstwo zbulwersowało społeczność lokalną, dlatego mieszkańcy Opolu Lubelskiego chętnie współpracowali z wydziałem kryminalnym i dochodzeniowo-śledczym.

W trakcie oględzin miejsca zbrodni ujawniono i zabezpieczono szereg dowodów rzeczowych. Srebrne kapsle na mleko (z datami 29, 30 i 31 lipca), nosiłki na obiady, siekiere, młotek ze złamanym trzonkiem, a także ślady linii papilarnych, krwi i obuwia. W pierwszej kolejności określono grupy krwi. W latach 80. i 90. XX wieku testy DNA były drogie i niedoskonałe. Jedno badanie mitochondrialne włosa kosztowało 700 zł, a jego wynik nie dawał żadnej pewności.

Przesłuchano stu dwudziestu świadków. Ludzi, którzy leczyli się u Lenartów, pracujących przy zbiorach i uprawie jabłek, a także rodziny ofiar. Wszystkim pobrano odciski palców. Na podstawie zeznań świadków już po kilkudziesięciu godzinach wytypowano dwóch podejrzanych: Skalskiego i Tycha.

Policja zrekonstruowała ostatnie tygodnie życia ofiar i ustaliła, że Lenartów niedługo przed zabójstwem odwiedził właśnie Skalski. Stał się głównym podejrzanym. Szybko go namierzono i zatrzymano. Przeszukano jego mieszkanie i aresztowano Mariana Tycha, którego Skalski wskazał jako swojego kolegę. Mężczyźni zostali przesłuchani (Skalski nie przyznał

się do zarzucanych mu czynów; twierdził, że o zabójstwie dowiedział się w chwili zatrzymania) i skonfrontowani. Pobrano od nich odciski palców i krew. Grupa i podgrupa się zgadzały, ale nie robiono wówczas badań DNA jednoznacznie potwierdzających udział przez porównanie i identyfikację śladów. Prawdopodobieństwo udziału innych osób, szacowane w 1991 roku na podstawie grupy krwi, było zbyt duże. Zbadano także zabezpieczone na miejscu włosy, lecz wyniki nie dały żadnego rezultatu. Podejrzani trafili do prokuratora, który odmówił postawienia zarzutów z powodu braku dowodów. Śledztwo zostało umorzone.

2010 rok

Policjanci z Archiwum X rozpoczęli analizę sprawy potrójnego zabójstwa w Opolu Lubelskim. Ściągnęli dowody rzeczowe przechowywane w magazynie. Szukali poszlak w zeznaniach. Ponownie sprawdzono wszystkie odciski zabezpieczone na miejscu zbrodni, których w pierwszym śledztwie nie udało się zidentyfikować. Koszty nie grały roli, bo chodziło o wykrycie sprawców najcięższych zbrodni. Nic nie pasowało w bazach danych, nie było trafienia w AFIS. Detektywi zlecili powtórne badania daktyloskopijne i DNA. Była nadzieja, że „będzie coś w biologii”. Czekać na wyniki, porządkowali i analizowali kolejne tomy akt. Sprawdzali także każdy anonim, który wpływał do komendy. Najczęściej były one dziełami mitomanów wymyślających z niewyjaśnionych powodów różne teorie. Zanim pojawił się przełom w pierwszej z rozwiązywanych zagadek, zbadano około dwustu dowodów. Trwało to dwa lata.

2012 rok

Szczegółowe badania wszystkich zabezpieczonych śladów wreszcie dotarły do rąk detektywów z Archiwum X. Wyniki testów DNA ponad wszelką

wątpliwość wskazały, kto je pozostawił.

Najpierw udowodniono, że znajdująca się na siekierze krew pochodziła od wszystkich trzech ofiar. Na kawałkach drewna, które przed rozdzieleniem stanowiły całość trzonka młotka, odkryto krew oraz DNA Adeli Lenart i Władysława Kozickiego. Na białej folii daktyloskopijnej, na której zabezpieczono ślady z lewej strony twarzy kobiety, ujawniono DNA Adeli i Mieczysława. Potem z pięciu śladów krwi zabezpieczonych na miejscu morderstwa wyodrębniono DNA poszkodowanych oraz mężczyzny, którego DNA było zgodne z tym z próbek tkanek pobranych od podejrzanego w pierwszym śledztwie.

Biegli z laboratorium kategorycznie stwierdzili, że: ***Rafał Skalski pozostawił na miejscu zbrodni swoje DNA w plamie krwi na folii okrywającej pianino znajdujące się w pracowni protetycznej, w plamie krwi ujawnionej na drzwiach pomiędzy pracownią a gabinetem stomatologicznym, od strony gabinetu, w plamie krwi ujawnionej nad klamką drzwi pomiędzy pracownią a gabinetem, w plamie krwi znajdującej się na podłodze pomiędzy wezłowiec leżanki a drzwiami prowadzącymi z gabinetu do pracowni, w plamie krwi na drzwiach wejściowych z sieni do gabinetu po ich wewnętrznej stronie, a także w plamie krwi ujawnionej na bibule papierosa znalezionej w przedpokoju na pierwszym piętrze domu.***

Przesłuchiwany jako świadek Dobrogost Lenart opowiedział o wizycie na kilka dni przed śmiercią rodziców. Mieszkanie, a zwłaszcza gabinet dentystyczny, lśniły czystością. Gdyby wcześniej w domu przebywała tak intensywnie krwawiąca osoba, jego rodzice na pewno usunęliby te plamy. Pedantyzm Adeli i Mieczysława potwierdziła również rodzina mijająca się ze Skalskim w dniu, w którym oglądał samochód Lenartów.

Postanowienie o wznowieniu dochodzenia musiała wydać prokuratura okręgowa w Opolu Lubelskim, bo to ona prowadziła sprawę w 1991 roku. Procedury trwały dość długo. Ostatecznie jednak, bazując na zbieżności profili DNA Rafała Skalskiego ze śladami z miejsca zbrodni, wydano postanowienie o zatrzymaniu i doprowadzeniu do prokuratury w Lublinie.

Policja przeprowadziła wywiad operacyjny. Ustalono adres zamieszkania podejrzanego, miejsca, w których mógł przebywać, oraz jak wyglądało jego obecne życie. Skalski miał sześćdziesiąt siedem lat. Był porządnym obywatelem, niekaranym. Mieszkał w Nowej Soli w dwupokojowym

mieszkanii socjalnym z córka i jej mężem. Pracował w firmie produkującej i konserwującej transformatory.

O świcie 13 marca policjanci weszli do mieszkania Skalskiego. Nie było go, wyszedł już do pracy. Śledczy pojechali więc do firmy i przedstawili powód swojego przybycia. Mężczyzna nie zdradzał żadnych emocji. Wyglądało na to, że zabójca wymazał z pamięci swój czyn, zakładając, że nigdy nie zostanie ujęty. Podpisał postanowienie o zatrzymaniu, potem został skuty i wprowadzony do radiowozu. Podczas przeszukania mieszkania detektywi nie znaleźli żadnej rzeczy, która mogłaby pochodzić z kradzieży.

W drodze na komendę funkcjonariusze nie rozmawiali z zatrzymanym. Zarzuty zostały mu przedstawione po przyjeździe. Nagle Skalskiemu podskoczyło ciśnienie, więc policjanci musieli pojechać z nim do szpitala, żeby dostał środki uspokajające. Noc spędził w areszcie. Następnego dnia został doprowadzony do prokuratury. Nie przyznał się do zbrodni. Potwierdził jedynie, że był w domu Lenartów obejrzeć samochód, który chciał od nich odkupić. Mimo to sąd wydał postanowienie o areszcie na trzy miesiące.

Prokurator, analizując dowody, sformułował zarzut: ***Mając na uwadze znaczną ilość uderzeń zadanych ofiarom, rodzaj użytych narzędzi do zadawania ciosów, umiejscowienie uderzeń w tak wrażliwą część ciała jak głowa, siłę, z jaką zadawano poszczególne ciosy, a także rodzaj obrażeń odniesionych przez poszczególnych pokrzywdzonych stwierdzono, że sprawcy zabójstwa działali z bezpośrednim zamiarem pozbawienia życia. Natomiast fakt penetracji domu i kradzież cennych przedmiotów wskazuje, że drugim motywem sprawców był rabunek. Ze względu na rodzaj dobra zaatakowanego przez sprawców, jakim jest życie ludzkie, wielość zachowań zmierzających do pozbawienia życia poszczególnych osób, niejednoczesność pozbawiania życia kolejnych pokrzywdzonych oraz wyrażona w art. 12 k.k. zasada indywidualizacji czynów skierowanych przeciwko dobrom osobistym różnych osób, prowadzi do wniosku, że zostały popełnione trzy odrębne zbrodnie zabójstwa, przy czym każda w celu dokonania rabunku.***

Skalski wiedział, że wtargnięcie z zamaskowaną twarzą do domu Lenartów będzie bardzo trudne, natomiast wejście w sposób jawny spowoduje rozpoznanie przez domowników i ujawnienie policji. Prokurator

uznał, że *okoliczności bezwzględnego dążenia sprawców do pozbawienia życia pokrzywdzonych, przekraczającego potrzebę przełamania oporu dowodzą, że trzecim motywem ich działania była chęć zatarcia śladów.*

Policja z prokuraturą ponownie przepytali świadków starej zbrodni. Skalskiego obciążyły zeznania Konrada Wolskiego, któremu proponował kradzież u Lenartów i „załatwienie reszty”; rodziny Skalskiego, u której wraz z Tychem mieli rzekomo przebywać w momencie zbrodni, oraz Sławomira Klocka, który wyznał, że Skalski jesienią 1991 roku oferował mu sprzedaż złotych monet po atrakcyjnej cenie.

Dwunastego kwietnia do Sądu Okręgowego IV Wydziału Karnego w Lublinie został skierowany akt oskarżenia z trzema zarzutami zabójstwa. Podczas rozprawy Rafał Skalski wydawał się nieporuszony. Wbijał wzrok w podłogę, kiedy salę wypełnił donośny głos oskarżyciela: *31 lipca 1991 roku w Opolu Lubelskim woj. lubelskie – działając z bezpośrednim zamiarem pozbawienia życia Adeli Lenart, stosując przemoc polegającą na uderzeniu Adeli Lenart w głowę ciężkim, twardym i tępokrawędzistym narzędziem, spowodował ranę rąbaną głowy i jednaście ran tłuczonych głowy, skutkujące rozległymi wylewami krwawymi w tkance podskórnej głowy i lewym mięśniu skroniowym, złamaniem kości pokrywy i podstawy czaszki, rozerwaniem opony twardej, głębokim zranieniem mózgu i licznymi ogniskami stłuczenia tkanki mózgowej w konsekwencji ciężkim, pourazowym uszkodzeniem ośrodka układu nerwowego i zgonem Adeli Lenart.*

Działając z bezpośrednim zamiarem pozbawienia życia Mieczysława Lenarta, stosując przemoc polegającą na siedmiokrotnym uderzeniu wymienionego w głowę ciężkim narzędziem, twardym i tępokrawędzistym, spowodował siedem ran tłuczonych z wgłobieniem kości czaszki, wylewami krwawymi w tkance podskórnej głowy i prawym mięśniu skroniowym, złamaniem kości pokrywy i podstawy czaszki oraz głębokim zranieniem tkanki mózgowej, skutkującym pourazowym uszkodzeniem ośrodkowego układu nerwowego i zgonem Mieczysława Lenarta.

Działając z bezpośrednim zamiarem pozbawienia życia Władysława Kozickiego, stosując przemoc polegającą na dwiętnastokrotnym uderzeniu pokrzywdzonego w głowę ciężkim, twardym i tępokrawędzistym narzędziem, spowodował dwiętnaście ran tłuczonych głowy

z wgłobieniem kości czaszki, złamaniem kości pokrywy i podstawy czaszki, rozerwaniem opony twardej i zranieniem tkanki mózgowej, a w konsekwencji pourazowym uszkodzeniem ośrodka układu nerwowego i zgonem Władysława Kozickiego.

Po czym dokonał penetracji domu należącego do Adeli Lenart i jej męża Mieczysława, a następnie zabrał w celu przywłaszczenia od 100 do 200 srebrnych monet polskich wyemitowanych w latach 1918–1939, o wartości 4600 zł, na szkodę Mieczysława Lenarta, oraz dwie metalowe puszki z nieustaloną zawartością i o nieustalonej wartości, saszetkę z zawartością pieniędzy w kwocie ok. 300 zł i 500 marek zachodniemieckich.

Proces ciągnął się trzy lata. Skalski z adwokatem przyjęli linię obrony, że mężczyzna skaleczył się, przebywając w gabinecie Lenartów. Według detektywów Archiwum X ewidentnie został przygotowany do tych zeznań, chociaż było niemożliwe, by takie ilości krwi znalazły się na drzwiach i ścianach w czynnym gabinecie stomatologicznym. Sędzia zapytał biegłych, skąd sprawcy leciała krew. Wtedy nie można było tego ustalić, dziś tworzy się wizualizację 3D i na podstawie rozbryzgów krwi ustala, skąd były zadawane ciosy i gdzie stali sprawca oraz ofiara.

Skalski został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. Jeśli dożyje, wyjdzie w październiku 2036 roku. Będzie miał wówczas 90 lat. Wyrok uprawomocnił się w czerwcu 2015 roku.



AFIS

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BORKOWSKIM, NACZELNIKIEM ZAKŁADU DAKTYLOSKOPII CENTRALNEGO LABORATORIUM KRYMINALNEGO W WARSZAWIE

Wydaje mi się, że w kwestiach kryminalnych media podają za dużo informacji.

Niestety, tak. Wówczas bandyta oglądając przekazy, doskonale wie, na jakim etapie jest śledztwo i jakie policja ma dowody. Pamiętam, jak do prasy przeniknęło zdjęcie odcisku buta w jednej ze spraw. Dosyć istotny ślad. Kiedy to zobaczyłem, od razu złapałem się za głowę. Po co oni to pokazują?! Istnieje przecież jakaś etyka dziennikarska albo deontologia zawodu. Ślady czy kluczowe dowody nigdy nie powinny być pokazywane w mediach. Jeśli widać na zdjęciu konkretną kompozycję wzorniczą, dla tego, który tam był, to wskazówka, żeby natychmiast pozbyć się obuwia. W tej sprawie tak też się stało.

Dziennikarze mają takie dojścia czy policjanci są nieostrożni?

Ktoś zawalił sprawę. Dochodzenie, o którym rozmawiamy, jest bliźniaczo podobne do sprawy O.J. Simpsona, znanej na całym świecie. Przedstawię tu pewien niebezpieczny mechanizm. W USA ślady butów także były pokazywane w telewizji. Później z powodztwa cywilnego Simpson miał zasądzone zadośćuczynienie rodzinie w wysokości 33 mln dol. Sprawa karna nie mogła być prowadzona przeciw niemu drugi raz, bo w pierwszej rozprawie został uniewinniony. Wybronił go zastęp mecenasów z górnej półki, sownie opłaconych. Podważyli wszystkie dowody będące śladami z miejsca zabójstwa. Udało się nawet podważyć ślady biologiczne, co uważam za wręcz niemożliwe. Do mediów błyskawicznie przeciekły ślady

butów potencjalnego sprawcy. Policja podejrzewała, że musi je gdzieś mieć. Jednak podczas przeszukania w domu Simpsona tych butów nie znaleziono. Ewidentnie musiał się ich pozbyć, wiedząc, że policja ma ślad odcisku podeszwy. Jakiś czas później jeden z obecnie emerytowanych agentów FBI, niejaki William Bodziak, Polak z pochodzenia, doszedł do ważnego odkrycia. Metodą przybliżeń i poszlak wykazał, że buty, których ślad pozostał na miejscu zbrodni, Simpson kupił jako jedną z dwóch par dostarczonych do ekskluzywnego sklepu. Markowe buty włoskie. Paparazzi uwiecznili na jakimś zdjęciu z 1993 roku (pół roku przed morderstwem), że był w tych właśnie butach na meczu. Został sfotografowany na przejściu dla pieszych. Gdyby nie zobaczył tych śladów w mediach, policja prawdopodobnie znalazłaby buty w domu. Nie było jednak żadnego punktu zaczepienia i człowiek się wywinął. Wiele spraw ginie przez bałagan.

Jak ważny jest AFIS?

Powiedziałbym, że najważniejszy. To automatyczny system identyfikacji, który wspomaga proces wykrywczy, rozpoznawczy, dowodowy i prewencyjny. W latach 90. XX wieku szefem Zakładu Daktyloskopii był Jarosław Mączyński, dziś profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Efektem jego prężnych działań było powstanie systemu AFIS. Jeździł często do Lyonu i obserwował, jak działa ten system i jakie daje korzyści.

Wszystko zaczęło się od digitalizacji setek tysięcy kart daktyloskopijnych. Policja szukała jak najlepszego systemu, żeby nie tracić na jakości tych danych. Biegli przyjeżdżali często do Warszawy wczytać ślady do komputera. W 2000 roku wprowadzono AFIS pilotażowo. Wydzielono kilka miejsc do jego testowania, między innymi Katowice. Później z roku na rok rozkręcało się to w całej Polsce. Początek AFIS łączy się także z powstawaniem komórek Archiwum X. Apogeum przypadło na rok 2006. Wówczas lawinowo wzrastały nasze bazy. Później zmieniła się ustawa o policji i przyrost danych nie był już tak wielki.

Nasz AFIS jest jednym z największych w Europie. To niemal 4 mln zarejestrowanych kart daktyloskopijnych. Dla porównania w Niemczech, gdzie mają potężny problem z emigrantami, baza zawiera milion mniej zarejestrowanych kart. Sprawy legislacyjne doprowadziły u naszych sąsiadów do tego, że nie są daktyloskopowani wszyscy, którzy powinni być.

W Polsce także (ze szkodą dla policji) nie jest oczywiste, że zatrzymany zostaje daktyloskopowany i zarejestrowany w AFIS. Na początku mojej pracy w laboratorium kryminalistycznym skierowano mnie na kurs dla kandydatów na ekspertów kryminalistyki. Dostawaliśmy karty daktyloskopijne, na podstawie których uczyliśmy się, co to jest daktyloskopia. Pamiętam, że otrzymałem poźółkłą kartę z 1946 roku z zapiskiem, że podstawą do pobrania odcisków było prowadzenie pojazdu zaprzęgowego po alkoholu! Wówczas był to wystarczający pretekst, żeby zarejestrować odciski. Obecnie nie jest to takie łatwe. Po 2004 roku, kiedy wprowadzono zmiany w prawie, nastąpiły mocne ograniczenia w rejestrowaniu zatrzymanych lub podejrzewanych. Tą legislacją strzeliliśmy sobie w kolano.

Wcześniej przez lata każdy alimenciarz, pijany kierowca, złodziejaszek, nie mówiąc o poważnych przestępcach, był daktyloskopowany.

Tak powinno być, bo osoby, które zostały zatrzymane za niewielkie wykroczenie, np. w ruchu drogowym, okazywały się poszukiwanymi bandytami.

W Archiwum X jest sporo takich spraw. Gdyby nie AFIS, obraz Moneta z muzeum w Poznaniu nigdy by się nie odnalazł.

Odcisk palca jest wciąż najlepszym dowodem. Patrząc na przestrzeni historii, jak kształtowała się nowożytna kryminologia, przełom nastąpił pod koniec XIX wieku. Alphonse Bertillon rozbudował swój bertillonaż, czyli czternaście pomiarów antropometrycznych, które wskażą jednoznacznie, że podejrzany jest poszukiwanym przestępcą. Kształt, budowa, odwód czaszki, pomiar ucha, ramienia i przedramienia. Równolegle rozwijała się daktyloskopia. W którymś momencie niesamowicie czasochłonna procedura zbioru wszystkich danych niezbędnych do stworzenia profilu antropometrycznego zaczęła odchodzić do lamusa na rzecz daktyloskopii. Prostej i taniej. Wystarczyło pobrać odcisk palca i już można było weryfikować, czy podejrzany był na miejscu przestępstwa. Daktyloskopia króluje w kryminalistyce sto dwadzieścia lat.

Kolejny przełom nastąpił w 1953 roku. Naukowcom udało się określić podstawową strukturę DNA. Gwałciciel czternastolatki w Anglii w 1987 roku był pierwszym przestępcą zidentyfikowanym poprzez ślady DNA.

Trzeba jednak pamiętać, że na miejscu zdarzenia zabezpiecza się ślady różnej jakości. Te biologiczne są bardziej uzależnione od warunków zewnętrznych, podłoża, wchodzenia w reakcje i zabrudzenia. Tymczasem ślad odcisku palca jest całkowicie niezależny od tych warunków. Z czytelnie odwzorowanego jesteśmy w stanie wyłapać cechy szczególne, tzw. minucje, i złapać klienta. Wyniki badania kodu DNA są poszlaką do kolejnych analiz.

W starych sprawach w Archiwum X przeważnie dzięki szczęściu udawało się dotrzeć do podejrzanych. Żeby ślady biologiczne mogły być poddane analizom, musi zaistnieć koincydencja wielu zdarzeń. Tylko czysta próbka nadaje się do badań. Kluczowe było właściwe zabezpieczanie tych śladów i dalsze przechowywanie. Nie zawsze się to udawało. Między innymi dlatego daktyloskopia przeżywa dziś renesans, głównie ze względu na postęp technologiczny. Mamy dużo lepsze wyniki w obszarze ujawniania śladów, w pierwszym momencie niewidocznych. Nazywamy to wizualizacją śladów. Są to metody nie tylko chemiczne i fizyczne. Obecnie możemy sięgać głęboko w strukturę atomu. Wzbudzamy energetycznie elektrony na różnych poziomach atomów, potem rejestrujemy emisję powrotu do stanu pierwotnego. Taki zabieg daje idealny widok odcisku palca w 3D.

W przypadku środków chemicznych kluczowe są powierzchnie chłonne i niechłonne?

Od nich zależy, jakiej substancji chemicznej użyje technik, żeby ujawnić te ślady. Wyzwaniem są banknoty. Każdy wie, że człowiek musi dotknąć tego banknotu. Skoro mamy pewność, trzeba właściwie ujawnić ślady. Zanim posłużymy się chemią, możemy wykorzystać oświetlenie alternatywne. Nazywamy to potocznie oświetlaczem. Dopiero przy zmiennej długości fal światła od ultrafioletu do podczerwieni, skalując całe pasmo, jesteśmy w stanie zobaczyć, czy cokolwiek tam jest. Jeśli pojawia się plamka, która może być fragmentem śladu, przechodzimy do chemii. Musimy jak najlepiej skonstrastować ten odcisk z podłożem. Wówczas można robić zdjęcie śladu. Prokuratura często pyta, czy będą to badania niszczące, czy nie, bo wymaga to dodatkowych formalności i kosztów.

Niedawno mieliśmy ciekawy przypadek falsyfikatów w Raiffeisen Bank. Chodziło o sporą kwotę 1,5 mln zł. W plikach banknotów na wierzchu

i spodzie były oryginalne pieniądze, wewnątrz falsyfikaty z ordynarnym napisem falsyfikat. Z wierzchu kolor i faktura się zgadzały. Nawet kiedy brało się je do ręki, by kciukiem przewinąć cały plik, wszystko wyglądało jak należy. Jednak ktoś zajrzał do środka i odkrył wielkie oszustwo. Na tych falsyfikatach ujawnialiśmy ślady. Daktyloskopia jest dużo bardziej tańsza niż badania DNA. Proszę sobie wyobrazić, ile kosztowałoby badanie 15 tysięcy banknotów. Prześwietlając je oświetlaczem, mieliśmy natychmiastową pewność, gdzie są ślady.

Na ile ślady daktyloskopijne są mocnym dowodem procesowym?

Wszystko zależy od prokuratora. Generalnie nie znają się za bardzo na kryminologii. Gdy mam zajęcia na uniwersytecie, jestem proszony przez profesorów Wydziału Prawa i Administracji, którzy z nami współpracują, o dzielenie się wiedzą tak często, jak to jest możliwe. Mimo wszystko aplikanci, którzy mają zajęcia z kryminalistyki, niespecjalnie się nią interesują. Podczas kilkunastu godzin moich zajęć mogą się sporo dowiedzieć. Ta wiedza bardzo się im przyda, kiedy prowadząc sprawę, są w sądzie oskarżycielami. Nie mamy systemu kontradyktoryjności, ale prokurator znając arkana kryminalistyczne, byłby w stanie obalać tezy i fortele obrony, niekiedy wręcz bezczelne. Takie argumenty zbija się kontrargumentami, ale trzeba wiedzieć, czym się posłużyć. Mamy teraz wyjątkową sytuację, bo prawie dwustu prokuratorów odeszło. Mogło to być związane z polityką, ale także z obawą, że nie poradziłiby sobie w procesie kontradyktoryjnym.

Ten system narzuca prokuratorowi obowiązek zbierania dowodów. Oczywiście nie wszystkich. Będąc na miejscu zbrodni, prokurator musi wiedzieć, który dowód będzie wiarygodny i który trzeba z całą determinacją zabezpieczyć, bo potwierdzi tezę oskarżenia. Przydałoby się, żeby miał kryminalistykę w małym palcu. Niestety, w rzeczywistości wszyscy uczestniczący w oględzinach rozliczani są ze statystyki. Jeśli nie dostaną precyzyjnej wskazówki, będą zabezpieczać DNA np. z klamki. Nic z tego nie wyjdzie, a jeśli już, będą to ślady dwudziestu osób. Ale w dokumentacji ślady są zabezpieczone. Uruchamia się od razu czasochłonny i kosztowny proces badania i analizowania próbek. Zupełnie bez sensu.

Daktyloskopia daje odpowiedzi natychmiast. Sekwency NGS (czyli *Next Generation Sequencing*) są w stanie po kilku godzinach dać wyniki. Kryminolodzy mają ujawnić, zabezpieczyć, dostarczyć i zidentyfikować. Niewykorzystanie tego, co się zdarza, jest błędem procesowym.

Ile waszej pracy idzie na marne?

Dobre pytanie. Trudno to oszacować, poza tym nikt nie zajmuje się taką statystyką. Mogę podać dane z zakresy traseologii, którą monitorowałem, przygotowując doktorat. Wiadomo że człowiek nie fruwa, więc fizyczne ślady przemieszczania się sprawcy muszą być na miejscu zdarzenia. Rocznie na miejscach zdarzeń zabezpieczanych jest około 35 tysięcy śladów traseologicznych. Natomiast jako dowody dopuszczone z opinii biegłego do użycia podczas procesu w skali roku jest ich już około czterech tysięcy. Te 10 proc. twardych dowodów nie oznacza, że zadziałają procesowo. Wszystko zależy od tego, jakiej jakości jest ten ślad. Jeśli w piasku mamy zarys, kontur wzoru podeszwowego, jesteśmy w stanie określić mniej więcej model i rozmiar, ale nie cechy szczególne, tak jak w przypadku minucji dających pewność, że to palec konkretnego człowieka.

A mając te cechy szczególne?

Określamy dokładnie, co to za but. Każdy but zużywa się inaczej, a jego podeszwa ma defekty w wyniku użytkowania czy produkcji. Jeśli właściciel stanął na szkle, widać, że podeszwa jest nacięta i uszkodzona itp. Stanowi to cechę indywidualną, która potwierdzi identyfikację. Jeśli mamy takie cechy dwie lub trzy, kategorycznie stwierdzamy, że odcisk zgadza się z tym butem, który w domu przestępcy znaleźli policjanci. Richard Stone w 1984 roku określił, że prawdopodobieństwa powtórzenia dwóch takich samych przypadkowych cech na całej długości buta, tego samego modelu i wzoru jest jak 1:128 mln. A istnienie trzech takich cech, gdy jedna z nich może być mniejsza niż milimetr, jest prawdopodobne jak 1:683 mld.

Czyli jeśli to jest ten but, podejrzany na pewno był na miejscu, skąd pochodzi odcisk podeszwy?

Niestety, nie. Tak szybko się nie da. Kluczowe jest umocowanie procesowe. Jeżeli człowiek się przyznaje, że jest właścicielem tych butów, wówczas

mamy poszlakę wskazującą, że może być sprawcą. Jednak mecenasi są szybsi niż my. Podpowiadają klientowi: przyznaj się. Potwierdź, że to są twoje buty. Ale jesteś przecież schludnym pedantem i nie wchodzisz do domu w butach. Zdejmujesz je i zostawiasz na wycieraczce za drzwiami. Nie wiesz, co się z nimi dzieje w nocy.

Naprawdę sądy są aż tak naiwne, kiedy motyw i profil się zgadzają?

Często budowana jest taka konstrukcja obrony. Jako biegły musiałem ją obalać. Opowiem o jeszcze jednej ciekawej sytuacji. Na wschodzie kraju, kilkadziesiąt kilometrów od stolicy mieszka mężczyzna, taki miejscowy Arsène Lupin (włamywacz dżentelmen). Wiele razy miał zatarg z prawem. W ostatnim przypadku wpadł przez ślad obuwia. Policja zabezpieczyła te buty i przeprowadziła ekspertyzę, która potwierdziła osiem włamań. Sprawca przyznał, że jest właścicielem, ale podkreślił stanowczo, że trafiły do niego już po tej serii włamań. Żona znalazła buty w śmietniku, nie były zniszczone, więc przyniosła je do domu i mąż zaczął w nich chodzić. Teraz proszę mu udowodnić, że to on był w tych butach na miejscu kradzieży. Był tak bezczelny, że na badaniu porównawczym pojawił się we włoskich mokasynach za 1000 zł, a nam wmawiał, że chodził w obuwiu znalezionym w śmietniku. Udowodniłem mu jednak, że dokonywał włamań w tych butach, które badaliśmy.

Wymiar sprawiedliwości robi z kryminologów „chłoptasi”.

Niekiedy przez jego nieudolną działalność możemy być odbierani w taki sposób. Na pewno nie robi się tego świadomie. Niestety, nie wykorzystuje się całego potencjału kryminalistycznego. Nasza rzeczywistość to nie są seriale „CSI: Kryminalne zagadki...”, które ludzie oglądają w telewizji.

Jesteście w stanie wywierać jakąkolwiek presję na ustawodawcę, żeby zmienić prawo?

Teraz dopiero zaczęli słuchać. O dziwo, przychodzą i pytają, jak powinny wyglądać zapisy, żeby ustawy się nie wykluczały. Wciąż przychodzą nowe rozporządzenia. Mój zastępca wnikliwie się z nimi zapoznaje i informuje zespoły o zmianach, które niekiedy wiążą nam ręce. Spotkałem się z opinią, że wiele zapisów prawnych tworzy się poprzez lobbying określonych grup pod ich interesy. Tak to może wyglądać.

Niespójności tworzą luki, z których bez pardonu korzystają przestępcy. Takim niedoskonałym prawem jest zmiana w zakresie daktyloskopowania. W 2004 roku nie odczuliśmy jej boleśnie, ale już od 2006 roku zauważyliśmy załamanie wpływu kart daktyloskopijnych do AFIS. Z pułapu dwustu tysięcy spadło do kilkudziesięciu tysięcy rocznie. Jeśli dorzucimy obwarowania w postaci uniewinnienia, kiedy dane osoby musimy usunąć ze zbiorów AFIS, podobnie jak tych, którzy przekroczyli 80. rok życia, nasza baza szybko maleje.

Ile spośród wszystkich kart daktyloskopijnych zawierających odciski palców stanowią ślady NN?

Około stu tysięcy na prawie 4 mln. Zdecydowana większość została zidentyfikowana. Nasza baza jest referencyjna. Jeśli ktoś kiedyś miał jakiś zatarg z prawem, jest rejestrowany. Mamy także punkt zaczepienia dla włók NN czy śladów niezidentyfikowanych, jakie ciągle badamy.

Skuteczność Archiwum X załamała się w chwili nasycenia tego systemu i zmiany prawa, w którego świetle nie można daktyloskopować każdego zatrzymanego.

Laboratorium zatrudniało przez pewien czas dodatkowych ludzi tylko po to, żeby z odpowiednią rozdzielczością i zachowaniem określonych parametrów skanować stare karty daktyloskopijne do bazy elektronicznej. Efekty widać najlepiej po starych sprawach.

Policja korzysta z bazy danych urzędu paszportowego?

VIS i AFIS to dwie zupełnie inne bazy danych. Odcisk, jaki zostawia się podczas wyrabiania paszportu czy na lotniskach, służy jedynie potwierdzeniu. Nie jest wykorzystywany w AFIS do weryfikacji.

Dlaczego nie jest wykorzystywany? Baza znacznie by się powiększyła.

Myślmy o tym, jednak za wszystkim stoją potężne pieniądze od państwa. Kiedy powstawał AFIS, zakupiliśmy go od francuskiej firmy. Obecnie to już firma francusko-amerykańska Safran Morpho. Jesteśmy od nich bardzo uzależnieni. Na świecie mamy trzech głównych dostawców takich systemów identyfikujących. To Morpho, 3M i Steria.

W lipcu 2015 roku Rada Europy wydała rozporządzenie, by dostosować do siebie wszystkie systemy identyfikujące, poprawiając transmisje danych do Strasburga i poszczególnych krajów. Głównie w zakresie zagrożeń terrorystycznych. Nasz system jest sprzęgnięty z innymi systemami policyjnymi. Możemy między państwami swobodnie wymieniać dane. Nasz AFIS korzysta jednocześnie z kilku baz. Wcześniej musieliśmy wysyłać zapytania do Komendy Głównej Policji i Biura Międzynarodowej Współpracy Policji. One wydawały zgodę, po której kontaktowaliśmy się przez Interpol z konkretnym państwem, gdzie prowadziły ślady przestępcy. Teraz wszyscy mamy jeden system. Od listopada 2015 roku jesteśmy połączeni operacyjnie z jedenastoma państwami UE. Reszta nie jest nawet operacyjna.

Jeśli ktoś zostawił odcisk na miejscu zbrodni i nie ma go w AFIS, jest szansa znaleźć go przez VIS, bo może mieć paszport?

Nie ma takiej możliwości w naszym kraju. Dodam, że na razie. Proszę też pamiętać, że nie wszystkie paszporty mają biometryczne dane i nie każdy obywatel ma paszport. Poruszając się po Unii Europejskiej, nie musimy posiadać paszportu. Wystarczy dowód. A czym on jest? Kawałkiem plastiku ze zdjęciem. Dowody osobiste nie mają żadnych danych telemetrycznych. Kilka lat temu nasi eksperci zostali oddelegowani do ministerstwa, żeby opracować system biometryki w paszportach i dowodach. Poszło na to 370 mln zł i wciąż nie mamy dowodów biometrycznych. Nawet naszego podpisu w nim nie ma. Jakikolwiek dane biometryczne w dowodzie pozwoliłyby na doskonałą skuteczność kryminologii.

Marząc o świecie idealnym, widziałbym nasz system AFIS zintegrowany z systemem bazy paszportowej i dowodów osobistych biometrycznych! Każdy występujący o dowód powinien mieć stworzony własny profil biometryczny. Załatwiałoby to wiele spraw. Nie tylko kryminalnych. Policja miałaby 90-proc. skuteczność identyfikacyjną. Ślady, jakie ujawniamy i zabezpieczamy, nie należą tylko do przestępców, ale też świadków, członków rodzin i zwykłych niewinnych znajomych. Mając taką idealną bazę, wiedzielibyśmy natychmiast, z kim mamy do czynienia, i jak powiązać tę osobę ze sprawą.

Jak dziś wygląda procedura daktyloskopowania, kiedy dochodzeniowcy typują człowieka, a prokurator zezwala na zatrzymanie i podejrzany zostaje dowieziony na komendę?

Staramy się robić to komputerowo. Dwa lata temu została wydana decyzja zastępcy ówczesnego Komendanta Głównego Policji, żeby co miesiąc raportowano do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego liczbę rejestracji z wykorzystaniem live skanerów. Dla policji w całej Polsce zakupiono ich trzysta osiemdziesiąt pięć. Plus czterdzieści trzy, które ma Straż Graniczna. Wszystkie rejestracje pod kątem ich efektywności są nam raportowane. Człowiek przykładą palce na szybę skanera, a komputer sam tworzy całą kartę daktyloskopijną. Często jednak zdarzają się problemy z transmisją na łączach albo palce delikwenta są uszkodzone i system już nie wyłapie wszystkich niezbędnych odcisków linii papilarnych. Wtedy trzeba robić kartę tuszową. Przykładowo: KMP Gdańsk, liczba osób daktyloskopowanych metodą tuszową pięć, uwagi: odległość od stanowiska. Policjanci doszli do wniosku, że nie opłaca się jechać z zatrzymanym kawał drogi do skanera, więc zrobią to papierowo na miejscu i zeskanują do bazy AFIS. Czyli dokładnie to, co robiliśmy przez pierwsze lata, kiedy powstawał ten system.

Co by było, gdyście nie mieli AFIS-u?

Kompletny paraliż. Każdy wydział daktyloskopii w komendach wojewódzkich liczyłby po kilkaset osób. Powstanie AFIS-u zmieniło także doktrynę w kryminologii, ponieważ wcześniej typując podejrzanych, opieraliśmy się na archaicznych założeniach, które zweryfikował ten system. Często okazywało się, że sprawcy pochodzili z miejsc oddalonych od zdarzenia i z zupełnie innego, niż zakładano, środowiska. Dodatkowo, jeśli bandyta popełniając inne przestępstwo, zostaje daktyloskopowany, możemy powiązać go z wcześniejszymi, których dokonał, ale nie wpadł. Przestępcy dużo wiedzą o naszych systemach i strategii.

Dziś nawet dziecko wie, że zostawiając odciski palców, można wpaść. Zdarzają się zbrodnie w afekcie, wówczas mamy przewagę. Możemy znaleźć dobry ślad linii papilarnych. Jednak kiedy zawodowiec idzie na robotę, zakłada rękawiczki. Ubiera się, jak my, laboranci, w strój roboczy. Kombinezony, czepki na włosy itp. Przestępcy też wiedzą, żeby po robocie zmienić ubranie. Bywają tacy, którzy mają zamiłowanie do jednej marki

butów, dlatego w schowkach ukrywają drugą parę, z której korzystają podczas włamań czy innych przestępstw. Obecnie jesteśmy zasypywani śladami rękawiczek. Przestępcy bezczelnie zrzucają jednorazowe rękawiczki na miejscu zdarzenia. Wiedzą, że nic z nimi nie możemy zrobić. Przypomina to zabawę w policjantów i złodziei. Przykład: w pościgu, niemal na gorącym uczynku łapano jest delikwent i wsadzany do aresztu. Technik jedzie na miejsce zdarzenia, zabezpiecza ślady. Jest odlew podeszwy buta. Następnego dnia biorą buty zatrzymanego, a one są od spodu zeszlifowane. Nie ma na nich żadnego wzoru. Jak to zrobił? W aresztach nie ma podręcznych szlifierek kątowych, wytrychów czy piłek metalowych. Inna sytuacja: człowiek, który wychodził z włamania, natykając się na patrol, powiedział: całe szczęście, że was widzę. Tam w sklepie była wybita szyba. Właśnie idę na policję z zabezpieczonym towarem. Zwijają klienta. Technik zbiera odcisk buta na miejscu kradzieży. Następnego dnia policjanci biorą do porównania buty zatrzymanego. Ale czegoś im brakuje. Okazuje się, że w areszcie sprawca zerwał spodnią warstwę. Jak? Nie ma tam niczego ostrego. Policja przeszukała celę i pod siennikiem znalazła brakującą część podeszwy. Klient zerwał ją zębami. Sprawcy wiedzą, na czym mogą wpaść i jak zacierać ślady, żeby nie dopuścić dowodu.

To gdzie jest wasza przewaga?

Ona jest w kapitale ludzkim. W tym fachu na szczęście są pasjonaci. Ludzie, którzy całą swoją inwencję potrafią przelać na pracę zawodową i udostępnić kolejnemu ogniwu w policji. Jeśli jest pełna współpraca biegłego, który ma olbrzymie doświadczenie z dochodzeniówką, często udaje się naprowadzić na coś detektywa. Niestety, mamy zbyt dużą rotację. Archiwum X ma przez to pełne ręce roboty. W pionie dochodzeniowo-śledczym ludzie, którzy prowadzą po kilkadziesiąt spraw na biegu, wytrzymują dwa lata i uciekają, gdzie pieprz rośnie. Tego dłużej nie da się wytrzymać. Prawda jest taka, że wymiana generacji zabiera na emeryturę wybitnych fachowców, których miejsc nikt nie jest w stanie wypełnić. Mijają lata, zanim uda się nadgonić ich wiedzę merytoryczną. Dochodzi tu jeszcze problem świadczeń. Kiedyś w policji zarabiano się lepiej. Dziś nie ma żadnej motywacji finansowej. Jest za to wielka odpowiedzialność, przede wszystkim służbowa. Jeśli coś jest nie tak, pracownik dostaje po

głowie. W aspekcie wymiaru sprawiedliwości także dostaje po głowie i jest spalony zawodowo. Przy takiej odpowiedzialności zarobki 2 tysiące zł brutto nie są żadną motywacją. Tym bardziej, że opinia tego pracownika może komuś odebrać wolność. Nie dziwię się, że odchodzą, jeśli znajdują lepszą ofertę. Jesteśmy wciąż dawnym demoludem i zawsze będziemy kilka rzędów za liderami, chociaż, co chciałbym mocno podkreślić, merytorycznie wcale nie odstajemy od Europy. Mało tego, jesteśmy liderami w kilku zagadnieniach kryminalistycznych. Blokują nas jedynie finanse.

Kto ciągnie do laboratorium kryminalistycznego?

Studenci, pasjonaci i rodziny policjantów. Czasami decydują geny, innym razem przypadek. Tak było u mnie. Przyszedłem na rozmowę, zaciekało mnie to i zostałem. Byłem po fizyce i nie chciałem uczyć w szkole. Wylądowałem tutaj. Ważne jest też, kto jest objaśniającym i zachęcającym. Wielu studentów po zajęciach przychodziło i chciało się zaczepić, bo wydawało się im to fascynującą pracą. Rzeczywistość szybko wszystko weryfikowała.

Laboratorium podlega ministerstwu i ma status ośrodka badawczego, dlatego możemy pozyskiwać dodatkowe środki z grantów, co nas ratuje. Mamy też dotacje z ministerstwa i możemy oferować warunki minimum, choć w każdym państwowym ośrodku badawczym nie są one w pełni satysfakcjonujące. Jesteśmy jednostką centralną. Dlatego wymaga się od nas większej wiedzy w kontekście nadzoru merytorycznego nad laboratoriami kryminalistycznymi komend wojewódzkich w Polsce. Staramy się ciągle podnosić ich poziom i robić wszystko, by ta wiedza docierała także do techników kryminalistycznych.

Od trzech lat naprawiamy to, co wydarzyło się za czasów zmiany ustawy o policji, w kwestii rejestracji osób do daktyloskopowania. Wówczas powstały ruchy w zmianach funkcjonowania ogniw techników. Przeszli oni pod pion dochodzeniowo-śledczy. Zamiast szkolić i rozwijać się w technikach kryminalistycznych, pisali protokoły oględzin. Efekt jest taki, że jeszcze trzy lata temu na 1650 techników kryminalistycznych czterystu nie było przeszkolonych. Jeśli to wypłynęłoby podczas procesu, który pilotuje dobry mecenas, wszystkie ślady byłyby położone procesowo i niedopuszczone jako dowody.

Jak zmieniła się zawartość walizki technika kryminalistycznego przez ostatnie trzydzieści lat?

Niewiele. Jedyna różnica jest taka, że w latach 80. XX wieku nie było w niej pakietów DNA. W środku zestaw metryczek, pędzel z marabuta, proszki i ferromagnetyki, czyli chemia, która kontrastuje odciski na powierzchniach. Pojemniczki na wszystkie mikroślady i taśmy klejące. Narzędzia, pęsety, folie żelatynowe, na których zabezpiecza się ślady palców. Argentorat, czyli srebrny proszek, którym ujawnia się ślady na ciemnych powierzchniach. Pędzelki, taśmy miernicze, silikon. Blok do rysunków. Szpachelki, młotek. Nawet kompas w notatniku. Ekierka, linijka, kątomierz, szczyrzyk. Gips do replik obuwia itd.



Uprasza się o ciszę, trwa badanie. Być może przełomowe. Kryminolodzy są bezszelestni.

Jak wygląda kurs?

Trwa około dwóch miesięcy. Kiedy robiłem go na początku lat 90., trwał rok. Wykładano kryminalistykę od podszewki. Nawet fotografia była ważną częścią szkolenia. Uczyliśmy się, jak naświetlać filmy, jak korzystać z lampy błyskowej, żeby oświetlenie było ślizgające pod kątem, dając efekt trójwymiarowości. Dziś wszystko jest szybko, jak w supermarkecie.



Zawartość walizki technika kryminologa. Na pierwszym planie – pędzel z marabuta z pompką do rozpylania chemikaliów, które ujawniają odciski palców na różnych powierzchniach.



Wiele śladów ujawnia się na tworzywach, które trzeba zabrać z miejsca zbrodni do laboratorium. Walizka technika przypomina wyposażenie warsztatu majsterkowicza.



GENETYKA

*Rozmowa z Ryszardem
Pawłowskim,
kierownikiem
Pracowni Biologii
i Genetyki Sądowej
przy Gdańskim
Uniwersytecie
Medycznym*

Jak długo jest pan biegłym sadowym?

Zacząłem tę pracę w 1979 roku. Pamiętam, jak wszystko było wówczas prymitywne. Jednak już wtedy udawało się zatrzymywać różnych przestępców na podstawie badań biologicznych. Jedną z pierwszych spraw, która szczególnie utkwiała mi w pamięci, było aresztowanie wielokrotnego gwałciciela i zabójcy Skorpiona. Został skazany i osądzony w połowie lat 80. w Gdańsku. Był ostatnim człowiekiem, na którym w Polsce wykonano wyrok śmierci. Identyfikacja sprawców była wtedy możliwa jedynie poprzez cechy grupowe, czyli układ krwi A, B i 0, oraz mniej znane układy w postaci antygenów obecnych na erytrocytach. Badaliśmy także polimorficzne białka zawarte wewnątrz erytrocytów i surowicy krwi.

W przypadku Skorpiona wiedzieliśmy niewiele. Na podstawie badania jego nasienia udało się nam ustalić, że jest tzw. wydzielaczem substancji grupowych. Substancje układu A, B i 0 są obecne nie tylko u wydzielacza we krwi, ale także w ślinie, nasieniu, pocie i łzach. Udało się nam określić, że zabójca ma grupę krwi A. Podczas sekcji zwłok ofiar nigdy nie dało się ustalić jego cech polimorficznych, ponieważ nie odbywał z nimi stosunku. Onanizował się nad konającym, więc jego nasienie znajdowano głównie na odzieży ofiary. Na podstawie tych cech można go było wreszcie zatrzymać. Milicjanci z grupy poszukiwawczej tuż po zatrzymaniu, notabene przy okazji kradzieży jakiegoś parnika do ziemniaków, zajrzeli do dowodu

osobistego złodzieja (w latach 80. każdy miał taki wpis w dowodzie tożsamości) i odczytali grupę krwi A. Prawdopodobieństwo ujęcia bandyty było nieduże, cechy grupowe krwi dawały bowiem potwierdzenie raz na kilkaset osób. W kontekście dowodowym był to marny ślad. Dochodzenie miało także inne trudności. Do zabójstwa jednej z kobiet przyznał się mąż. Stwierdził, że była złą żoną i ją zabił. Milicja uwierzyła tym zeznaniom. Odbył się proces i mężczyzna został skazany na dożywocie. Psychiatrzy orzekli, że był chory psychicznie, więc trafił do zakładu zamkniętego. Kiedy zatrzymano Skorpiona, opisał także i to zabójstwo w najdrobniejszych szczegółach.

Dziwne, zwykle zatrzymani nie mówią nic!

Skorpion dzięki szczegółowym zeznaniom mógł przeżyć te zabójstwa na nowo, czując ponownie wielkie podniecenie. Potrafił wskazywać miejsca i sposób ułożenia zwłok do pół metra. I to po wielu latach. Odbył się nowy proces, w którym skazano Skorpiona i uniewinniono niewinnego człowieka. Narzędzie w postaci DNA pozwala także uniewinnić osobę podejrzewaną. Mamy dwa aspekty badania DNA: inkryminacyjny, kiedy do konkretnej osoby możemy przypisać profil DNA, i dyskryminacyjny, czyli oczyszczający z zarzutów. Ktoś mądry kiedyś powiedział, że wykazanie DNA jakiejś osoby na miejscu przestępstwa wcale nie oznacza, że ta osoba jest sprawcą. Obecność czyjegoś DNA na miejscu zdarzenia może być przypadkowa. Podam przykład. Przywitałem się z panem dzisiaj, dlatego na dłoniach mam pańskie DNA. Gdybym był bandytą i nadarzyłaby się okazja napadu na tle seksualnym, do którego użyłbym noża, na jego rękojeści oprócz mojego DNA byłoby także pańskie. Istnieją sytuacje, w których może dojść do transferu DNA osób niezwiązanych ze sprawą. Są to niuanse, ale bardzo ważne. Jeśli nie ma prawdziwego sprawcy, a jest DNA, wymiarowi sprawiedliwości wydaje się, że złapali Pana Boga za nogi, jest to na pewno ten człowiek i nikt więcej. Skazano, odhaczono i sprawa załatwiona. Właśnie z tego powodu w Stanach Zjednoczonych DNA po analizach jest przetrzymywane *at infinitum*. Zdarza się, że po dwudziestu pięciu latach użyto narzędzi w postaci DNA, by zdjąć winę z człowieka skazanego na dożywocie. Są przypadki, że osoby niewinne zostały stracone. Dziękujemy, że u nas nie ma kary śmierci. Ludzie są omylni. Odsetek błędów popełnianych przez genetyków sądowych jest podobny do procentu

błędów popełnianych przez laboratoria diagnostyczne w szpitalach. Średnio co dwusetna sprawa może być obarczona błędem.

Kiedy dokonał się przełom w genetyce?

W 1953 roku, kiedy Watson i Crick, późniejsi laureaci Nagrody Nobla, odkryli strukturę DNA. O tym, że istnieje, wiedzieliśmy wcześniej, jednak jego struktura była nieznana. Natomiast współczesna genetyka sądowa, w której używamy DNA jako narzędzia kryminalistycznego, dokonała przełomu w 1985 roku, kiedy sir Alec Jeffreys odkrył unikalny polimorfizm ludzkiego DNA w postaci struktur VNTR. Za to odkrycie królowa nadała mu tytuł szlachecki. Jego pionierska metoda została użyta po raz pierwszy w pewnej sprawie emigracyjnej. Dziecko z Afryki miało zostać przetransportowane do Anglii. Home Office zatrzymało ten proces, chcąc mieć pewność, czy istnieje pokrewieństwo. Jeffreys wykazał je jednoznacznie, więc nie było przeszkód, żeby ściągać chłopca z Afryki do rodziny w Wielkiej Brytanii.

Swoją nową metodą, jeszcze nieopartą na technice PCR, pomógł też w bardzo głośnej sprawie Colina Pitchforka. W Leicester, gdzie do dziś pracuje Jeffreys, zjawili się policjanci z bardzo trudnym przypadkiem zabójstwa dwóch młodych dziewcząt na tle seksualnym. Mieli zabezpieczone plamy nasienia, dlatego chcieli skorzystać z nowoczesnej metody Jeffreysa, wiedzieli bowiem, że sprawca mieszka w pobliżu, co zawęziło krąg poszukiwanych. Profesor podjął się tego wyzwania. Technika badań DNA może wskazać imiennie każdego człowieka, dlatego jest silnie dyskryminująca. Zaczęło się od przebadania plam nasienia. Użyto wówczas techniki RFLP. Była żmudna i długotrwała. Używano w niej izotopów. Jedno badanie trwało tygodniami i było niezmiernie drogie. Jeffreys ustalił profil DNA. Jednak potrzebne były próbki porównawcze, dlatego policja przywoziła na badania podejrzanych. Wtedy po raz pierwszy we współczesnej kryminologii zastosowano technikę DNA manhunt, czyli polowanie na przestępcę z użyciem profilu DNA. Przebadano prawie pięć tysięcy młodych mężczyzn z tego rejonu. Po długim czasie i wyjątkowo drogich badaniach stwierdzono, że nikt do tego profilu nie pasuje. Zastosowana technika potrzebowała ogromnej liczby próbek dobrej jakości DNA. Pobierano od podejrzanych krew do badań. Niestety, wybuchła burza medialna, bo wydano ogromną sumę na badania bez żadnego rezultatu.

Zakwestionowano natychmiast badania Jeffreysa. Odkrywca był załamany. Zabrakło wówczas szczęścia, które uśmiechnęło się do śledczych mniej więcej pół roku od zakończenia badań. W pubie podpici mężczyźni rozmawiali o badaniach DNA w głośnej sprawie. Jeden z nich przyznał dziarsko, że na pobraniu krwi był dwa razy. Raz za siebie, a drugi raz podając się za znajomego. Piekarz Colin Pitchfork stwierdził, że boi się widoku krwi i mdleje, dlatego poprosił, żeby kolega z pracy wziął jego dowód tożsamości i poszedł do komisariatu. Zaoferował za to kilkaset funtów. Rozmowę usłyszała kelnerka, która zawiadomiła policję. W taki sposób udało się ująć mordercę i skazać go na dożywocie. Po raz pierwszy zastosowano profilowanie DNA. Po raz pierwszy zidentyfikowano sprawcę i po raz pierwszy zdarzyła się jeszcze inna sytuacja. Na policję zgłosił się mężczyzna, który przyznał się do zabicia jednej z nastoletnich dziewcząt. Policjanci nie bardzo wierzyli w to, co mówił. Nie znał kilku istotnych faktów. Został wykluczony właśnie na podstawie badań DNA.

Nieszczęściem dla sprawy mogą być także ślady źle zabezpieczone na miejscu zbrodni.

Czasem zdarza się, że ktoś jest nie najlepiej przygotowany do swojego zawodu i nie potrafi znaleźć właściwej liczby odpowiednich śladów. Miejsce przestępstwa trzeba umieć czytać. Doświadczony policjant wchodzi i od razu może mniej więcej określić przebieg zdarzenia. Wszedł oknem, więc jego ślady mogą być na kłamce itd.

Śladów kontaktowych DNA, czyli tych z powierzchni dłoni i całego ciała, które jest pokryte substancją potowo-tłuszczową zawierającą DNA, może być mnóstwo. Pytanie: jak dobrze przygotowany jest kryminalistyk? Czy ma odpowiednie narzędzia i czas? Jeśli odcisk palca nie nadaje się do identyfikacji daktyloskopijnej, zawiera tyle DNA, że można je identyfikować. Dodatkowym problemem jest to, że niektóre ślady zginęły bezpowrotnie, ponieważ dziesiątki lat temu używano prymitywnych narzędzi. Określenie profilu DNA z niedopałka papierosa było praktycznie możliwe, ale wymagało zużycia całego materiału, czyli zniszczenia tej próbki w całości. Obecnie do otrzymania profilu z niedopałka wystarczy kwadracik dwa milimetry, zwykle w zależności od ilości naniesionej śliny. Reszta jest przetrzymywana. Tak samo powinny być przetrzymywane wszystkie ekstrakty DNA po badaniach. Mogą zdarzyć się sytuacje, kiedy

śledztwo przybiera niecodzienny tok. Ktoś zostaje uniewinniony i nie ma żadnych dowodów na potencjalnego sprawcę. W USA wszystkie resztki śladów są przetrzymywane, bo po latach wyciąga się dowody rzeczowe, żeby ponownie je zbadać. W Polsce nie ma takiej praktyki. Nasze laboratorium jako jedno z nielicznych w kraju przetrzymuje wszystkie ekstrakty DNA od 1992 roku. Nawet jeśli jest to pusta probówka. Ona wygląda na pustą, ale ze względu na olbrzymią czułość nowych metod z jednej komórki jesteśmy w stanie otrzymać profil DNA. Po latach można do tego wracać. Archiwum X ma głęboki sens swojej działalności.

Sprawa morderstwa z Gryfina została rozwiązana dzięki pana skrupulatności. Powrócono do niej po latach i wszystkie próbki z pierwszego śledztwa były wciąż w laboratorium.

Jak się pan domyśla, mamy z tym pewien kłopot. Gdzie trzymać te tysiące próbek. Mamy na szczęście dużą chłodnię, w której w pudełeczkach leżą poopisywane materiały, czekając na swoją kolej. Upieram się, że te próbki to dowody rzeczowe lub ich część. Dopóki prokurator czy sąd nie orzekną, że mam je zniszczyć, archiwizuję. Gdybym dostał polecenia ich zniszczenia, musiałbym się zastosować, ale próbowałbym rozmawiać, czy lepiej nie zostawić tych próbek, bo za jakiś czas pojawią się nowe okoliczności i trzeba będzie do nich wrócić.

Warto wspomnieć o drugim wielkim odkryciu. Amerykanin Kary Mullis w 1986 roku opracował technologię PCR (reakcja łańcuchowa polimer x DNA). Sześć lat później dostał za to odkrycie Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii. Ta wyjątkowo prosta metoda jest niejako stworzona dla kryminalistyki, ponieważ pozwala zwielokrotnić, amplifikować nieograniczoną ilość razy materiał genetyczny zawarty w próbce. Jeżeli mamy minimalną ilość DNA, bo na miejscu zbrodni było go bardzo mało lub materiał zdegradował się po latach zalegania w archiwum, możemy go bez problemu zwielokrotnić. Wilgoć i niewłaściwa temperatura powodują namnażanie się bakterii, które wydzielają enzymy restrykcyjne, niszczące dowody w postaci materiałów biologicznych. Dzięki technice nazywanej biologiczną kserokopiarką wystarczy maleńka ilość materiału biologicznego. Prawdziwy przełom. Moje laboratorium zastosowało tę metodę jako jedno z pierwszych.

W sprawie zabójstwa dziewczynki w Poznaniu udało się złapać mordercę pedofila po dziesięciu latach tylko dlatego, że w pierwszym śledztwie nie zniszczono w badaniach swetra z mikrośladem, przed czym przestrzegł biegły.

Sprawny umysł przewiduje. Ja także mogę odpowiedzieć pewną historią. Pod Słupskiem doszło do zabójstwa starszej pani. Kobieta trudniła się pokątnym handlem alkoholem. Do jej domu, popegeerowskich czworaków, przychodzili drobni pijaczkowie. Kiedy policjanci zaczęli oględziny miejsca zdarzenia, sąsiadka ofiary zwróciła im uwagę, że wizjer drzwi zaklejono kawałkiem papieru. Nie było go wcześniej. Policjanci zabezpieczyli ten papierek. Nie badano go, bo zakładano, że ktoś zrobił głupi kawał. Po czasie trafił do laboratorium, bo jeden ze śledczych założył, że sprawca poślinił go i przykleił, żeby zakryć sąsiadce wizjer. Po jedenastu latach był to kluczowy dowód, dzięki któremu mieliśmy DNA jednego z zatrzymanych. Człowiek ten podał informacje dotyczące drugiego sprawcy.

Co może pan wiedzieć o człowieku na podstawie próbki sprzed dwudziestu lat?

Bardzo dużo. Wiek, płeć, kolor oczu, włosów, pigmentację skóry, która określa, czy człowiek jest Latynosem, Afroamerykaninem, czy Azjatą. Da się określić w przybliżeniu jego wzrost i masę ciała. Proszę pamiętać, że geny to nie wszystko. Ważny jest wpływ środowiska, wyżywienia i stresu. Od niedawna badamy także coś, co nazywa się RNA. To inny rodzaj kwasu rybonukleinowego, występuje też w komórkach. Jego część jest sprzężona z różnego rodzaju tkankami. Badanie RNA określa, czy materiał biologiczny to pot, ślina, a jeśli krew, to jaka. W przypadku gwałtu stwierdzamy, czy to krew obwodowa, czy miesięczna. Jeśli dochodzi do defloracji, pojawia się krew obwodowa. Obrońca oskarżonego mógł do tej pory powiedzieć na wokandzie: krew mojego klienta znajdująca się na zabezpieczonej odzieży nie ma żadnego związku z przestępstwem, jest to bowiem krew miesięczkowa, która kiedyś została naniesiona na jego ubranie. Nie ma ona żadnego związku z defloracją. Wykazanie, że jest tam krew obwodowa, będzie świadczyć o tym, że mamy do czynienia z gwałtcielem.

Ale profil to nie wszystko. Musimy mieć także wytypowaną osobę, żeby pobrać od niej materiał porównawczy. Podam przykład zabójstwa młodej dziewczyny z Oliwy. Biegała w okolicy AWF, została zgwałcona i zabita. Wydarzyło się to w 1995 roku, morderstwa wciąż nie wyjaśniono. Co z tego, że z chromosomu Y znamy profil DNA sprawcy, wiemy, jaki ma kolor oczu i włosów. Przebadano setki próbek i nic. Podobnie w zabójstwie trzynastolatki w Gdyni w 2011 roku. Zabezpieczono plamę nasienia. Znamy wszystkie cechy indywidualne sprawcy, ale nie wiemy, kim jest.

Baza GENOM się tu przydaje.

Ona jest jeszcze w powijakach. Porównując z bazami śladów DNA w Anglii, dzieli nas przepaść. Anglicy mają 9 mln profili, Amerykanie i Chińczycy po 20 mln. U nas jest 45 tysięcy. Dla populacji 38 mln mieszkańców to nic. W Słowenii, gdzie mieszka 2,5 mln ludzi, mają w bazie ćwierć miliona profili DNA.

Skąd ta przepaść?

Teoretycznie każdemu, komu postawiono zarzuty, można pobierać materiał DNA do badań i rejestracji w bazie GENOM. Nie wiem, czy to opieszałość organów sprawiedliwości, czy inny czynnik. Nasz GENOM sprawdza się wtedy, gdy sprawcy powracają na zbrodniczą drogę. Najczęściej są to przestępcy na tle seksualnym, złodzieje i włamywacze. Nie w sytuacjach zbrodni popełnianych w domach.

Słyszałem o tak zwanym uboju domowym.

Stworzenie bazy GENOM powinno iść głównie w kierunku tworzenia danych o przestępcach na tle seksualnym. Często jesteśmy pytani przez różne wojewódzkie komendy policji, czy mamy jakiś profil człowieka i czy był kiedyś notowany. My nie możemy mieć profilu DNA z nazwiskiem i danymi, bo łamalibyśmy ustawę o policji. Mogę mieć bazę profili bez nazwisk. Kiedy policja wysyła mi do porównania profil zatrzymanego, czeka mnie karkołomna praca, bo muszę przeszukiwać wszystkie profile, żeby znaleźć coś, co będzie pasować.

Każdy świadek i zatrzymany muszą mieć pobierane DNA?

Bezwzględnie. Nie możemy jednak popadać w skrajności, bo słyszałem już pomysły, żeby pobierać próbki od każdego nowo narodzonego obywatela. To już casus Wielkiego Brata i ostrej paranoi. Są granice. Jeśli istnieją jakieś podejrzenia wobec gwałciciela, policjanci zdobywają operacyjnie np. jego szczoteczkę do zębów. Porównując materiał ze śladu z miejsc zbrodni ze zdobytą próbką, szybko wiemy, czy jest to sprawca. Podczas jednego z sympozjów mówiono policji, że GENOM kuleje. Toczyły się nawet spory, kto jest jej właścicielem: Komendant Główny Policji czy Ministerstwo Sprawiedliwości. Baza jest wspaniałym narzędziem, tylko u nas nie funkcjonuje ono tak, jak powinno.

Wykluczenie jest zawsze stuprocentowe, zgodność DNA już nie. Dlaczego?

Jest to bowiem prawdopodobieństwo. Czasami graniczące z pewnością. Przykładowo: z ogromnym prawdopodobieństwem nie ma drugiej osoby na świecie o identycznym układzie cech DNA. Pochwalę się, że od niedawna jesteśmy także w stanie rozróżniać profile DNA bliźniąt jednojajowych. Mówiło się, że są swoimi idealnymi kopiami. Otóż nie. Oczywiście niezmiernie rzadko zdarzają się przestępstwa popełnione przez bliźniaków, ale jeśli się zdarzą, nie będzie problemem ich rozróżnienie.

Podobnie z określaniem linii męskiej dziadek, ojciec, syn?

Tak, dzięki cechom DNA z chromosomu Y nazywanych szybko mutującymi. Pozwalają rozróżnić osoby blisko spokrewnione w tej samej linii. To wspaniałe narzędzie do identyfikacji cech z chromosomu Y, bo selektywnie oznacza cechy DNA mężczyzny i nie musimy mieć cech DNA tego osobnika, który przykładowo przebywa za granicą. Wystarczy DNA brata lub ojca czy stryja. Zwykle opowiadać to studentom, że gdyby było mi dane zidentyfikować DNA z kości mojego dziadka Adolfa Rzewuskiego, którego NKWD aresztowało w Grodnie i prawdopodobnie zamordowało, użyłbym własnego DNA z chromosomu Y. Nasze profile powinny być identyczne. Jest to szczególnie przydatne przy przestępstwach na tle seksualnym. Jeżeli mam mieszaninę DNA kobiety i mężczyzny, badając cechy autosomalne, czyli dziedziczone w połowie od biologicznej matki i ojca, trudno je określić, bo się na siebie nakładają. Nie wiemy, czy pochodzi od ofiary, czy od ofiary i sprawcy. Natomiast cechy

z chromosomu Y, których nie ma kobieta, wskazują jednoznacznie na cechy sprawcy. Szczególnie przydaje się to przy gwałtach zbiorowych.

Oto kolejne wspaniałe narzędzie w porównaniu do prymitywnych metod sprzed dwudziestu lat. Stare metody wymagały mnóstwa materiału, nawet do ustalenia grupy krwi. Często na dzień dobry badania były odrzucane z powodu braku wystarczającej ilości materiału biologicznego. Potrzebna była próbka o średnicy monety. Dziś identyfikujemy ślady, których nie widać. Mogą to być plamy krwi w tak minimalnej ilości, że trudno odróżnić je od tła, a jednak udaje się określić DNA. Badania te nie są już tak drogie. Szeroka ekspertyza kosztuje 350 zł.

Jak długo policja musi czekać na ekspertyzę?

Zaskoczę pana, od wyizolowania DNA do odczytania z sekwenatora zajmuje to tylko jeden dzień. Kiedy do badania dostajemy kość, zajmuje to około tygodnia. Jeśli jest to cebulka z włosem wyjęta z zaciśniętej dłoni ofiary, izolacja DNA trwa 15 minut, namnożenie materiału biologicznego do godziny i rozdział z interpretacją także do godziny. Szybko mamy pewność. Z chromosomu Y określamy dwadzieścia trzy cechy. Gdyby próbki ze starych spraw były przechowywane, moglibyśmy przebadać je nowymi zestawami. Oto kolejny powód, żeby je przechowywać.

Nie wiem, co się dzieje w naszym kraju, że uważa się, iż jesteśmy nieomylni. Zwłaszcza sądy i prokuratury. Popełniamy błędy, czego dowodzą niewinne osoby skazywane na więzienie. Może tu pomóc badanie DNA, które po latach poddane nowym analizom w innym zakresie z większą czułością i nowymi metodami da zaskakujący wynik. Bardzo często w starych sprawach pisano w opinii, że jeśli po dwóch miesiącach materiały nie zostaną odebrane, trafią do kosza. Gdzie prokuratura ma je przetrzymywać? Potrzebne są odpowiednie regulacje i rozporządzenia.

Nasze laboratorium przechowuje te materiały bezpłatnie. Przechowujemy je, bo jeśli w trakcie mojego zawodowego życia chociaż jedną sprawę uda się wyjaśnić dzięki tym próbkom, jest sens je przetrzymywać. Może niewinny człowiek zostanie uwolniony albo chodzący na wolności morderca usłyszy zarzuty. Być może nowa metoda pokaże, że na śladzie jest DNA nie tylko jednej osoby, bo zabili we dwóch. Tego materiału było tak mało, że przed laty wykryto tylko jednego sprawcę, ale dziś określimy

to dużo dokładniej. Możemy to zrobić, jeśli próbki będą wciąż przechowywane.

Co ze śladami pochodzącymi z pożarów, utonięć czy starych zdegradowanych próbek?

Możemy określać ich DNA na podstawie sekwencji typu SNP. Do tej pory były badane określone odcinki DNA mniej więcej od 100 do 400 nukleotydów. W tej chwili mnóstwo śladów DNA skraca się do niewielkich fragmentów, zachowują się krótkie sekwencje DNA. Możemy badać polimorfizm pojedynczego nukleotydu. Rozróżniamy wówczas cechy nawet bardzo zdegradowanego materiału. Widać to często w przypadku kości. Dotyczy to zabójstwa Krzysztofa Olewnika i innych trudnych spraw, kiedy po piętnastu czy dwudziestu latach wydobywa się z jeziora ludzkie szczątki. W latach 80. XX wieku nie dałoby się tego zrobić.

Na ile rozwój nauki determinuje zmiany systemowe w policji?

Nie determinuje ich. W Polsce jesteśmy mocno za zachodnim światem. Nasza genetyka, choć posiada znakomitych fachowców, jest niedofinansowana, dlatego nie następują u nas wielkie przełomy. Proszę sobie wyobrazić, że dziś prawie nie ma ekspertyz. Walczymy z wyjątkowo ubogim rynkiem. Rozbudowały się bardzo laboratoria policyjne. Do tego jak grzyby po deszczu powstają prywatne laboratoria, które mają przewagę nad nami w kosztach. Nasz zakład medycyny sądowej został obłożony 20-procentowym narzutem. Na dzień dobry oddajemy sporo pieniędzy. W budżetówce jest bieda, więc sądy czy prokuratury wybierają tańsze prywatne laboratoria. Do uniwersytetu zwrócą się jedynie przy bardzo poważnych zbrodniach, kiedy tamte laboratorium nie dają sobie rady. Raz na dziesięć lat dostajemy pieniądze z grantów, które niezwykle trudno zdobyć.

Jak to się stało, że naukowiec zostaje biegłym tak blisko współpracującym z organami ścigania?

Takie rzeczy dzieją się zwykle przez przypadek. Po skończeniu studiów na Wydziale Biologii Uniwersytetu Gdańskiego zastanawiałem się co dalej. Miałem szczęście trafić na wspaniałych nauczycieli: prof. Podhajską czy prof. Taylora. Wybitne jednostki raczkującej wówczas biologii

molekularnej. Przeszedłem od razu na studium doktoranckie do Zakładu Biochemii Klinicznej. Zrobiłem tam doktorat. Nagle nadarzyła się okazja ciekawej pracy. Świętej pamięci prof. Miścicka-Śliwka, odchodząc z mężem do Zakładu Medycyny Sądowej w Bydgoszczy, zaproponowała mi zajęcie miejsca, które zwalniała. Pamiętam pierwsze wejście do sali sekcyjnej. Dotarło do mnie wówczas, że można być jednocześnie i naukowcem, i detektywem. Spodobało mi się, że (jak mówił Bogusław Linda w jednym z filmów) można wyrywać chwasty i przyczyniać się do tego, że świat jest trochę bezpieczniejszy. Poszukując nowych metod naukowych, jednocześnie pracowałem dla wymiaru sprawiedliwości. Mogłem identyfikować sprawców i znacząco pomagać w procesach.

Czyli posiadał pan wysoko rozwinięte poczucie moralności.

Pewne rzeczy wynosi się z domu. Ojciec, stary akowiec, wpoił mi wartości, dzięki którym stałem się tym, kim jestem. Pokochałem swoją pracę, kiedy udało się zidentyfikować i zatrzymać wielokrotnego gwałciciela i zabójcę ze Świnoujścia. Było to pierwsze w Europie Wschodniej DNA manhunt. Policja przebadła 12 tysięcy mężczyzn w Świnoujściu. Po czterystu próbkach trafiliśmy na osobę, która mogła być blisko spokrewniona z zabójcą. Był to wówczas wielki przełom. Mężczyzna zeznał, że owszem ma brata, który posiada broń i jest na bakier z prawem. Zastosowaliśmy pewien fortel. Podejrzany zabójca został zatrzymany do kontroli przez drogówkę. Musiał dmuchać w alkomat, a ustnik z urzędnika przyjechał na sygnale do nas, żebyśmy ujawnili ślady DNA. Udało się i facet ma dziś podwójne dożywocie.

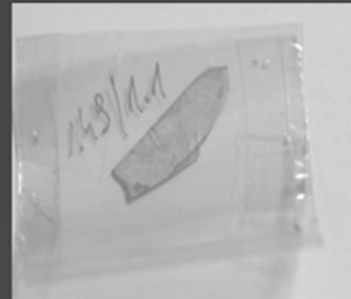
Archiwum X: Zabójstwo kobiety w 1999r wykryte po 10 latach

L.dz - ..1440/99 Słupsk dnia 21.04.1999 r

PRZEDMIOT nr I.

Ujawniony w trakcie oględzin : **miejsca zabójstwa**
przedmiot : skrawek papieru którym zaklejono wewnętrzną część wizjera znajdującego się w drzwiach wejściowych do mieszkania ofiary zabójstwa.
miejsce odnalezienia : wewnętrzna część drzwi wejściowych w/w do mieszkania

Świadek :
Zabezpieczył :
asp.szt. Karol Angulski
z SSK w/KMP Słupsk



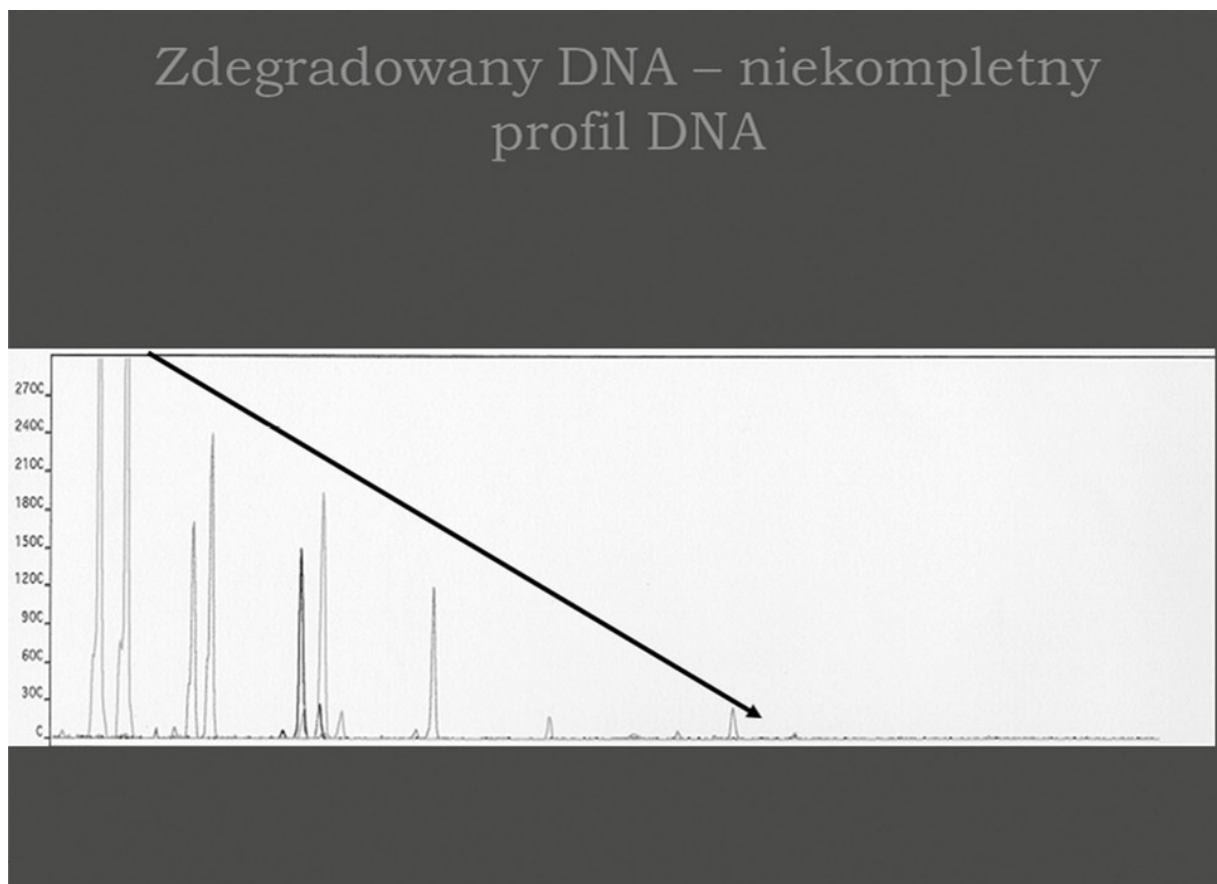
Próbka	D3S 1358	VWA	D165539	D2S 1338	AMGX	D8S 1179	D21S11	D18S51	D19 S433	TH01	FGA
Podejrzany	11,15	16	12	19,24	XY	10,14	30,2,32,2	12,17	14,16	8	21,23
fragment papieru	11,15,16,18	14,16,18	12,13,14	17,19,23,24	XY	10,12,14	29,30,30,2,31,2,32,2	12, 15,17,21	13,14, 16	8,9,3	20,21,23

Zabezpieczony kawałek poślinionego papieru, którym przestępca zatkał wizjer sąsiednich drzwi, włamując się do upatrzonego mieszkania. Po latach jego DNA udało się określić. Wszystko dzięki współpracy technika, dochodzeniowca dowodzącego oględzinami oraz laboranta w pracowni DNA.

Czym jest zbrodnia doskonała?

Teoretycznie powinna nie istnieć, bo zawsze pozostawiamy za sobą ślad. Zawsze. Niedoskonali są ludzie. Popełniamy błędy podczas zabezpieczania śladów, bo nie zakładamy odpowiedniej liczby możliwych wersji wydarzeń lub mylimy się podczas badań. Będę przypominał do bólu, lepiej zabrać więcej śladów i długo je przechowywać, czekając na właściwy moment. Postęp w nauce dokonuje się cały czas. Trzeba pamiętać, że jeśli ślady biologiczne z miejsca zdarzenia nie zostaną zabezpieczone w wystarczającej ilości, już nigdy nie będzie możliwości ich zdobycia. Zbrodnie doskonałe to efekt niedoskonałości osób próbujących je wykryć. Można powiedzieć, że im mniej dziur systemu na wszystkich etapach, tym mniej zbrodni doskonałych. Jedyłą przeciw niej bronią jest dojście do

prawdy obiektywnej. Dojście za wszelką cenę, choć kiedy jako naukowiec nie mam pewności co do wyniku badania, piszę „wynik wątpliwy nie do interpretacji lub analizy innymi metodami”. Nie możemy błędnie oskarżać.



Czasami, mimo starań biegłych, sąd nie może nikogo skazać, bo ważny ślad jest zniszczony i nie będzie twardym dowodem. Kluczowe są warunki, w jakich przechowuje się ludzki materiał biologiczny (krew, ślina itd.) w archiwum.



**ANALIZA
POLICYJNA**

*Rozmowa
z analitykiem
Markiem Dyjaszem,
byłym dyrektorem
Biura Kryminalnego
Komendy Głównej
Policji*

Kiedy Komenda Główna uruchomiła pracę w Archiwum X?

W 2010 roku, kiedy zostałem dyrektorem Biura Kryminalnego KGP, ówczesny zastępca komendanta wydał mi polecenie, żeby wyciągnąć z KSIP-u (Krajowy System Informacji Policji) wszystkie niewykryte zabójstwa w okresie trzydziestu lat wstecz. Po tym czasie następuje przedawnienie. Odseparowaliśmy mnóstwo danych i wyszło około 900 niewykrytych spraw w całej Polsce. Braliśmy także sprawy, które umarzano w 2009 roku. Następnie komenda wydała rozkaz, który został przekazany do komendantów wojewódzkich odpowiedzialnych za sprawy kryminalne, żeby także przejrzyli wszystkie sprawy do okresu przedawnienia zalegające w archiwach. Policjanci mieli sprawdzić, czy na miejscu zdarzenia zostały zabezpieczone ślady biologiczne i daktyloskopijne do powtórnej ich analizy oraz rejestracji w bazach AFIS i GENOM. Mieli także szukać dowodów rzeczowych i przedmiotów zabezpieczonych na miejscach zbrodni, które mogą rzucić nowe światło.

Polecenie jedno, rzeczywistość drugie. Niektórych kart daktyloskopijnych nie udało się znaleźć, na co wpłynęło przenoszenie jednostek policyjnych i inne zdarzenia losowe. Nie było jednak aż tak źle. Sprawdzaliśmy, czy w tych dochodzeniach jest coś, czym można się ponownie zająć aktualnymi metodami nie tylko kryminalistycznymi. Myślę tu o dotarciu do ludzi i skłonieniu ich do mówienia. Temu właśnie służy analiza, żeby wyłapać elementy, które nie do końca zostały wyjaśnione. W niektórych sprawach

dowodami były też ślady zapachowe, bardzo popularne w latach 90. XX wieku.

Na czym to polegało?

Ślady zapachowe pobierało się w specjalne sterylne słoiki z atestem. Przykładowo: chusteczkę higieniczną wrzucało się do słoika z absorbującym zapach tamponem. Potem szczelnie zamykało się tę próbkę, żeby w następnej kolejności pies mógł użyć swojego doskonałego węchu w badaniu osmologicznym. Trudnością było to, czy policja będzie mieć z czym porównać zapach. Niezbędny był podejrzany, od którego pobierało się ślady zapachowe i porównywało z tym z miejsca zdarzenia, zamkniętym w słoiku. Było to skomplikowane i czasochłonne, ale w kilku przypadkach dało świetne rezultaty. Dobry pies ze stuprocentową skutecznością wskazywał sprawcę. Mieliśmy doskonale przygotowane psy do tej pracy. Ich wskazania były niejednokrotnie podstawą do skazania przez sądy. Później zaprzestano tego z powodów prawnych i proceduralnych. Wystarczyło małe uchybienie, żeby adwokat podejrzanego w sali sądowej podważył badania lub żądał ponownego ich przeprowadzenia w obecności obrońców i oskarżycieli. Okazywało się najczęściej, że nie ma już żadnych próbek, więc nie ma co porównywać. Adwokaci doskonale o tym wiedzieli, dlatego korzystali z tego fortelu, kiedy tylko mogli. Dużo skuteczniejsze okazały się badania DNA, choć potwornie drogie, i trafienia odcisków palców w AFIS.

Przejrzano wówczas naprawdę wiele spraw, których szczegółowe analizy przerwały przygotowania do Euro 2012. Padło polecenie powołania do życia pełnoprawnych wydziałów, zajmujących się jedynie sprawami niewykrytymi. W stolicy był taki zespół w Wydziale do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Powiedziałbym jednak, że wszystko zaczęło się w 2001 roku, kiedy powstała bardzo ważna komórka zajmująca się analizą kryminalną. W Szczytnie zaczęto wreszcie szkolenie analityków policyjnych. Przeszkolono ich do dziś około półtora tysiąca. Człowiek dostaje sprawę i analizuje ją pod takim kątem, jakiego życzy sobie zlecający. Przykładowo: powiązania grup przestępczych. Czy sprawa X jest zbieżna ze sprawą Y i czy mógł dokonać tego ten sam sprawca. Analityk może stworzyć charakterystyki grupy przestępczej, analizując poszczególne przestępstwa i hierarchię tej grupy. Może wskazać kierunki

wykrywcze, jakimi mają iść detektywi, ale może też zawrócić policjantów ze złej drogi. Czasem nie Kowalski jest głównym podejrzanym, tylko Iksiński, takiej analizy bowiem dokonał specjalista. Analityk od razu argumentuje wszystkie kluczowe przesłanki. Na tej podstawie tworzy hipotezę we wniosku końcowym, sugerując, co powinna zrobić policja. Analitycy, o których mówimy, powinni być wykorzystywani w zespołach do spraw niewykrytych. Mają wielki potencjał i narzędzia informatyczne. W każdym województwie jest ich kilku.

Trudno się dostać na takie szkolenie?

Trudno. Proces selekcji jest wyśrubowany. Kandydat musi mieć IQ powyżej 140, być doświadczonym policjantem i znać się na programach komputerowych. Na kursie nie ma czasu na taką naukę. Tu ludzie uczą się, jak patrzeć na materiał, jak go segregować, jak oceniać informacje w nim zawarte. Każdą informację muszą określić na podstawie wiarygodności (wiarygodna, mniej wiarygodna, fałszywa). Skąd i jak została pozyskana. Przykładowo: policjant widzi przestępstwo. Jego wiarygodność jest duża, bo jest przygotowany do tej pracy. Patrząc na przestępstwo, wie, że to przestępstwo i jest naocznym świadkiem. Według katalogu będzie to miało symbol A1. Źródła kataloguje się jako A, B, C, X, a informacje jako 1, 2, 3, 4. Najbardziej wiarygodne informacje pochodzą z grupy A1 i B1 oraz A2 i B2. Pozostałe są obarczone marginesem błędu.

Kolejny przykład: przychodzi Nowak i mówi policjantowi, że jadąc metrem, słyszał, jak dwóch facetów rozmawiało o tym, że kogoś okradli. Niby coś słyszał, ale nasze źródło, czyli Nowak, nie jest zweryfikowane, bo nigdy takich informacji nie przynosił. Może coś źle zrozumiał albo ma problemy ze słuchem, a może ci ludzie w metrze opowiadali sobie film. Wtedy jego wiarygodność będzie miała symbol X3 lub X4.

Kiedy analityk skataloguje wszystkie dane i oceni ich wartość, wysnuwa przesłanki na zasadzie logicznego myślenia. Stwierdza, że powinno być tak, a nie inaczej. Dalej na podstawie tych przesłanek tworzy jeden wniosek zbieżny ze zleceniem. Policjanci, przykładowo, chcieli poznać charakterystykę jakiejś bandy. Czym się zajmuje, kto jest szefem, kto żołnierzem i jaka jest jej struktura. Analityk udziela im odpowiedzi w oparciu o materiały. Zawsze pracuje sam. Nie może być pod wpływem policjantów, żeby nie sugerował się tym, co mówią.

Analiza policyjna jest ważną częścią organów ścigania. Jeśli jest dużo materiałów, powołuje się kilku analityków. Znam sprawę, gdzie analitycy ładowali do systemu informatycznego dane przez pół roku, nie robiąc nic innego. Dopiero po tym czasie zaczęli analizę. Po systemie AFIS i GENOM analiza śledcza jest trzecim elementem dającym możliwości pozytywnego wykrycia sprawcy. Trzeba zaznaczyć, że zarówno wnioski, jak i sama analiza nie mogą stanowić jednoznacznego materiału dowodowego. Oczywiście prokuratorzy mogą oprzeć akt oskarżenia na analizie, co często się dzieje, ale dla sądów nie jest to kluczowe.

Obrońca i tak może to podważyć?

Jeśli oskarżony się nie przyznaje, sąd nie wyda wyroku tylko na podstawie analizy, bez twardych dowodów jak zeznania innych osób czy materiał DNA lub odciski palców.

Na ile analiza podnosi skuteczność policji?

Sporo. Każdy analityk przygląda się materiałom beznamiętnie. Dobry analityk, za czym policjanci nie przepadają, jest w stanie wykazać błędy, jakie zostały popełnione w trakcie czynności dochodzeniowych. Wnioskuje potem o ponowne przesłuchanie świadków lub zebranie dodatkowych informacji, jak billingi czy policyjne bazy danych, albo sprawdzenie, czy podejrzany posiadał inne samochody. Doświadczony analityk jest w stanie tak popchnąć sprawę, żeby poszła w dobrym kierunku.

Może się wydawać, że kiedyś, gdy technologicznie byliśmy zacofani, łatwiej było zacierać ślady. Paradoksalnie sprawcy zostawiają obecnie najważniejsze ślady właśnie przez dostęp do technologii. Są ślady internetowe lub monitoring. Daje to nam przewagę. Kiedyś nie było monitoringu. Policja bazowała na wiedzy babć spędzających całe dnie w oknie.

Tak zwane poduszki.

My używaliśmy określenia apacje. „Co robisz? A paczę”. Czasem trudno było dotrzeć do takich babć, choć przeważnie sporo wiedziały. Dziś wszędzie są kamery. Technika ułatwiła sprawę policjantom, choć trzeba umieć z tego korzystać. Rozwój dał sprawcom pewną możliwość nauki, ale

nie w kwestiach kryminalnych. Bardziej dotyczy to przestępczości gospodarczej czy cyberprzestępczości.

Sprawca kryminalny, który idzie zabić, nie korzysta z internetu. Może czasem, żeby się doszkolić: czym zabić, jak pozbyć się ciała. Takie poszukiwania zawsze pozostawiają ślad. Pamiętam taką sprawę z Warszawy. Młody chłopak przyjechał do miasta z Pomorza i zatrudnił się jako akwizytor w firmie sprzedającej okna. Zbierał oferty i próbował znaleźć nowych klientów. Niestety, trafił na mordercę. Do zabójstwa doszło na Woli. Doszliśmy do sprawcy po trzech miesiącach. Musieliśmy odtworzyć całą historię pobytu tego chłopaka w Warszawie. Był tu tak krótko, że nie zdążył nawet nawiązać kontaktów towarzyskich. Dlatego nie wiedzieliśmy, czy był ostrożny, jakie miał nawyki, czy lubił swoją pracę. Udało się nam namierzyć faceta, który części ciała wyrzucał w Lesie Bielańskim i w parku Sowińskiego. Woził je rowerem owinięte w gazetę. Gdy nikt nie widział, rzucał rękę albo nogę w krzaki. Kiedy ludzie zaczęli znajdować te fragmenty, zastanawialiśmy się, czy jest to jedno ciało. Badania szybko to potwierdziły. Zatrzymaliśmy podejrzanego, który po czasie przyznał się do zabójstwa. Okazało się, że zwłoki chłopaka rozczłonkował u siebie w wannie. Kiedy zrobiliśmy przeszukanie, technik zabezpieczył w kolanku odpływowym ślady mięśni ludzkich. Skąd sprawca wiedział, jak rozczłonkować ciało? Z książki medycznej, którą miał w bibliotece. Najbardziej zużyte były kartki w części poświęconej tkankom miękkim. Kiedy książkę kładło się na stole, otwierała się dokładnie w tym miejscu. Zabójca został skazany tylko za jedno zabójstwo, choć mieliśmy podejrzenie, że wcześniej zabił jeszcze kobietę. Zaginęła w rejonie, gdzie mieszkał, i prawdopodobnie miał z nią jakiś kontakt. Dlatego choć wydaje się, że przestępcy mają dziś łatwiej, szybciej mogą popełnić błąd.

Dodatkową trudnością był kiedyś całkowity brak billingów. Nie można było ustalić lokalizacji podejrzanych. Obecnie robi się bardzo dokładną analizę czasowo-przestrzenną. Przebywałeś w określonym czasie w miejscu, gdzie nastąpiło zdarzenie, a my z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładamy, że jesteś sprawcą.

Stare sprawy są największym wyzwaniem?

Zdecydowanie, badając bowiem sprawy z ery przedtechnologicznej, podstawowymi narzędziami detektywa są jego wyobraźnia i kreatywność. Technologia umożliwi porównania w biologicznej bazie GENOM i daktyloskopii AFIS. Trzeba pamiętać także o starej sprawdzonej po wielokroć zasadzie, że sprawca jest zawsze ukryty w pierwszym tomie akt. Przyjęto, że co 200 stron powstaje kolejny tom. Jeśli nie są spartolone pierwsze czynności jak oględziny, zabezpieczanie śladów i wywiady posesyjne, przełom nastąpi dzięki analizie pierwszego tomu akt. Tkwi tu jednak pewien haczyk. Policja nie uczy się na własnych błędach. Wynika to z prostej przyczyny. Detektyw kończy jedną sprawę i od razu dostaje dwie następne. Życie toczy się dalej. Nikt nie analizuje, gdzie popełniliśmy błąd i czy można było ustalić sprawcę wcześniej, dając wskazówki i tworząc metodologię dla przyszłych adeptów sztuki kryminalistycznej w Szczytnie i Pile.

Kiedy się skończy zadeptywanie śladów?

Dzieje się to nie tylko w małych miastach, ale także w stolicy. Sprawa Jaroszewiczów jest przykładem modelowym, zabójstwo generała Papyły także. Przez miejsce zbrodni przetoczyła się fala ludzi. Udało się sporo zabezpieczyć. Jednak śledztwo mogłoby być posunięte do przodu, gdyby miejsce zdarzenia było lepiej odseparowane. Znam tę sprawę. Sprawca nie zostawił tam paradoksalnie żadnych śladów. Podszedł, strzelił i uciekł. Co tam miało być?

Odcisk buta?

Na brukowej kostce nic nie zostało. Technicy byli na tyle skrupulatni, że wyjęli te kostki z podłoża i zabrali do laboratorium. Eliminowano za to sporo śladów, jakie zostały naniesione, jak odciski palców na samochodzie. Okazały się m.in. palcami jednego z polityków, który chwilę po zabójstwie przyjechał na miejsce. W kwestii zabezpieczania śladów wspomnę też o sprawie Kredyt Banku przy ulicy Żelaznej. Prowadziliśmy tam oględziny nieprzerwanie przez 48 godzin. Co sześć godzin zmieniali się technicy i piszący protokoły dochodzeniowcy. Nikt nie wytrzymałby tego dłużej. Była to przecież krwawa jatka. Oczywiście na miejsce przyjechali wszyscy wielcy m.in. komendant stołeczny, później szef całej policji. Różnica polega jednak na tym, że niektórzy mają klasę. Komendant stanął przed

wejściem i wywołał mnie na zewnątrz. Dowodziłem wówczas tą akcją. Zapytałem: panie generale, chce pan wejść? Lekko wycofany odparł: a można? On, mój przełożony, pyta, czy można. Odparłem, że nie mogę zabronić. Na co usłyszałem: ty tu rządysz. Pozwoliłem mu wejść, ale pod warunkiem że założy na nogi ochraniacze z worków foliowych.

Z czego?

Nie mieliśmy takich ochraniaczy, jakie są dziś w każdym przedszkolu czy szpitalu. Używaliśmy jednorazowych foliówek ze sklepu spożywczego. Karnie założył te torebki, zobaczył miejsce zbrodni, pobladł i wyszedł. Ekipa długo jeszcze pracowała. Tego, co nie dało się zabezpieczyć na miejscu, wykręcaliśmy i zabieraliśmy do laboratorium. Mnóstwo było tych śladów. Kiedy skończyliśmy oględziny, komendant zaprosił mnie do siebie i postawił kawę. Nie pytał, czy mamy jakiś przełom, ale zagaił o te torebki foliowe. Był zdumiony, że wydział zabójstw nie ma ochraniaczy na buty, kiedy robi oględziny miejsca zbrodni. Był marzec, paskudna pogoda i mokre chodniki. Widząc, że trochę się męczymy, ale staramy się być profesjonalni, od razu wydał rozkaz, żeby policja zakupiła ochraniacze, jednorazowe kombinezony i wszystko co niezbędne do zachowania maksymalnej sterylności. Od tamtej pory wydział miał już niezbędne elementy wyposażenia. Nie każdy jednak jest na poziomie. Zdarzali się szefowie, którzy mieli to gdzieś.

Od razu posypię popiołem głowę, bo my także nie ustrześliśmy się błędów. Dużo nas to kosztowało. W chwili, kiedy było wiadomo, że coś się tam stało, policjant z interwencyjnej wchodząc pierwszy na miejsce, wykopał drzwi z rozbiegu. Wpadły do środka. Na szybie został odcisk jego buta. Później technik w trakcie oględzin, w obawie przed zdeptaniem śladu, przekręcił te drzwi, żeby odcisk buta znajdował się od wewnętrznej strony szyby leżącej na podłodze. Myślał, że może to jakiś ważny ślad. Postąpił słusznie. Jednak technicy się zmienili. Pojawił się następny, który widząc te odwrócone drzwi, doszedł do wniosku, że odcisk buta jest od wewnątrz, czyli zapewne sprawca je kopał, próbując wyjść z banku po zbrodni. Na każdym przeszukaniu w trakcie śledztwa zabezpieczaliśmy buty od podejrzewanych. Nie wiedzieliśmy, że ślad zostawił policjant, który w emocjach pierwszy chciał wejść do banku, żeby potwierdzić zabójstwo. W wydziale przez pewien czas byliśmy jak sprzedawcy ze sklepu

sportowego. Sterty tych butów walały się wszędzie. Dopiero po trzech tygodniach pierwszy technik z oględzin spostrzegł, że to ślad policjanta. Sprawcy wychodząc, zamknęli bank na klucz, zostawiając zastrzelonych ochroniarzy, i wyrzucili klucze do rzeki. Podczas każdego nalotu zabezpieczaliśmy wszystkie klucze, bo może to te od banku. Był to jeden z moich nielicznych kontaktów z tak brutalnym zabójstwem i miejscem zbrodni gdzie podczas oględzin nikt nas nie pospieszał. Oględzin nie da się powtórzyć. Jeden błąd kładzie sprawę.

Co by pan zmienił w systemie?

Sposób kształcenia. Policjanci nie mogą wymieniać się wiedzą. W szkole w Pile, skąd wychodzą eksperci kryminalistyki, powinny tak często jak to możliwe odbywać się zajęcia ze studentami, które prowadzą doświadczeni detektywi. Niech studenci zadają pytania, niech lizną doświadczenia z realnego świata, a nie tylko tłuką suche fakty i materiały z książek. W ogromie rygorów i procedur można się pogubić. Kiedy wskazówek udzielałby detektyw, robiąc np. symulację oględzin, adepci wchodziliby w zawód lepiej przygotowani. Po zabójstwie w Kredyt Banku byłem tylko raz w Pile, żeby zrobić wykład dla słuchaczy i kadry kierowniczej. Miałem przed sobą sto osób i opowiadałem, jak weszliśmy na sprawców. Wskazałem także na wymierną wartość wariografu, który został wykorzystany w tej sprawie.

Jest to badanie dobrowolne. Jak to się stało, że sprawcy się zgodzili?

Byli zbyt pewni siebie. Zgubiła ich buta. Sprawcy byli zatrzymywani pięć razy! Po pierwszym i drugim wiedzieli, że prawie nic nie mamy. Kiedy ponownie ich zatrzymaliśmy, śmiali się nam w twarz. Przy ostatnim policjanci się zawzięli i powiedzieli, że jeśli znowu po nich pojedą, będzie już więzienie. Tak się też stało. Za szóstym razem pojechaliśmy po nich z czarnymi (antyterrorystami) i udało się ich posadzić, mając materiały na areszt. Powiedzieli nam nawet, że jak nas zobaczyli, od razu wiedzieli, że to już koniec.

Jak wpadli?

Dowiedzieliśmy się od jednego z braci sprawców, że po napadzie kazali mu spalić ciuchy. Na nieszczęście zostawił sobie nowe buty, bo szkoda było mu

je zniszczyć. Jeden ze sprawców powiedział mu: „Masz je, kurwa spalić, bo dostaniemy czapę”. Po jakimś czasie skojarzył, że to oni byli sprawcami tego zabójstwa.

Obywatele są chętni do współpracy z policją?

Niektórzy są tu bardzo aktywni, inni wcale. Standardem są anonimy, kiedy obywatelom coś się wydaje i piszą donos. Wszystko musimy później sprawdzić. Rzadko takie informacje są cenne. Współpraca przy konkretnych sprawach, kiedy policja liczy na pomoc, wypytyując świadków, jest najważniejsza. Mamy oczywiście coś takiego, co nazwałbym społecznym impulsem. Niektórych gryzie sumienie, inni mają wewnętrzną potrzebę sprawiedliwości, jeszcze inni chcą wykorzystywać organy ścigania do swoich celów, próbując komuś zaszkodzić albo się mścić. Podają nam z pozoru cenne informacje. Jeśli miałbym to jakoś podsumować, skłaniam się ku tezie, że obywatele współpracują.

Z tego, co pan mówi, szczęście i sumienie ludzkie są ważnym czynnikiem wpływającym na wykrywalność.

W sprawach Archiwum X kluczowym. Jeśli uda się przebadać stare ślady i coś wykryć, można mówić o szczęściu. A uzyskanie trafienia w bazach AFIS czy GENOM to już pełnia szczęścia. Podobnie z ludźmi, którzy po latach chcą zeznawać, bo już się nie boją albo dorastają do jakiejś mentalnej odpowiedzialności.

Sprawcy działają incydentalnie. Czy po jakimś czasie znowu popełnią mord?

Bogdan Lach, emerytowany już profiler, który przeanalizował setki spraw zabójstw i gwałtów, nie stwierdził jednoznacznie, że morderca znowu zabije. Na Śląsku, gdzie pracował, takich przypadków było i jest najwięcej. Przy gwałtach, jeśli ma znamiona brutalności, a sprawca nie zostanie ujęty, z dużym prawdopodobieństwem wiemy, że znowu zaatakuje. Mówimy wówczas o seryjności. Natomiast w Polsce nie było ani seryjnych zabójców, ani tzw. zawodowych kilerów kasujących krocie za zlecenie. W grupach przestępczych Wołomina, Pruszkowa, Ożarowa czy Mokotowa byli cyngle, którzy zabijali, bo dostali takie polecenie. Jeśli nie wykonaliby wyroku,

sami trafiliby do piachu. Na tym polegało braterstwo grup przestępczych. Kazali zabić i mieli takiego człowieka w szachu.

A Marchwicki?

Psychol. Był to chory człowiek, a nie zimny zabójca działający z rozmysłem. Niektórzy snuli także teorię na temat Kajetana P., syna pani prokurator, że mógł zabić jeszcze kogoś. Osobiście w to nie wierzę. Owszem, można podejrzewać, że jeśli rzucił się na strażnika i pielęgniarkę, mógłby zabić ponownie. W moim przekonaniu mógł podpowiedzieć mu to obrońca. Zasugerował: graj wariata. Posiedysz kilka lat w psychiatryku, a nie dostaniesz dożywocia. Dlatego facet wymyślił sobie, że kogoś zaatakuje. Ewidentnie gra tzw. głupa. Widać, że bardzo się stara, żeby nie trafić do zakładu karnego, tylko do oddziału zamkniętego. Pedofile i gwałciciele to chorzy ludzie. Oni zawsze są seryjni. Zabójcy już nie.

Na ile Archiwum X jest ważnym ogniwem organów ścigania, na ile to, mówiąc brutalnie, PR?

Gdyby było to ważne ogniwo, mielibyśmy te oddziały w każdej jednostce. Chodzi o to, żeby pokazać, że policja wraca do starych spraw. Pomimo że coś jest umorzone, nie znaczy, że kurzy się, leżąc na półce. Społeczeństwo oczekuje od nas niezłomności. Skoro nie udało się kiedyś, nie znaczy, że nie uda się w przyszłości. Zaznaczę, że policjanci z komórek do spraw niewykrytych wykonują świetną robotę, mają wielkie sukcesy. Buduje to morale, zwłaszcza młodych policjantów, którzy wchodzi w zawód. Jeśli będziecie sumiennie pracować, będą o was mówić i staniecie się ikonami.

Jak pan.

Bardzo mi miło. Ja tę pracę uwielbiałem. Do dziś tak jest. Gdybym mógł cofnąć się o trzydzieści lat, ponownie wybrałbym ten zawód. Można powiedzieć, że jestem policjantem z powołania, choć nie mam rodzinnej tradycji. Mój daleki kuzyn pracował w drogówce, ale zaczął brać w łapę i został wyrzucony. Tylko dlatego, że jego ojciec był wysoko postawionym kacykiem, nie poszedł siedzieć. Kryminologia fascynowała mnie od małego, ale dzielnicowy mnie ganiał. Wychowałem się na warszawskim Targówku, dlatego zdarzyło mi się dostać pałą. Było nas trzech nygusów na ulicy. Osobiście byłem dość specyficzny, mam bowiem ciemną karnację

i byłem niewysoki, dlatego każdy mnie rozpoznawał. Jeśli gdzieś wybili szybę albo ktoś coś ukradł, zawsze było na mnie. Nawet jeśli kręciłem się w pobliżu i nie miałem nic wspólnego z tymi drobnymi przestępstwami. Miałem przez to masę problemów. Dzielnicowy był u nas w domu dwa razy w tygodniu. Musiałem się tłumaczyć. Nie wyglądało to tak jak obecnie, że wzywano do komisariatu. Tylko facet przychodził do domu i wymierzał sprawiedliwość na miejscu. Moja mama prowadziła go do pokoju, gdzie na baczność musiałem opowiadać, czy mam coś wspólnego z tymi czynami. Mając trzynaście lat, tłumaczyłem się: panie dzielnicowy, to nie ja. Pała leżała na stole. Jeśli dzielnicowy kogoś gonił i dopadł, wytargał za ucho albo smagał pałą. Nie było żadnych skarg, jak teraz. Jeśli dzielnicowy zrobił ci manto, widocznie ci się należało. Koniec dyskusji. Karę wymierzało się na ulicy. Poza tym dzielnicowy wiedział wszystko o wszystkich. Kiedy dochodziło do małych kradzieży, natychmiast wiedział kto. Pamiętam, jakim był wielkim chłopem. Wzbudzał strach. Wchodząc między łobuzów, natychmiast robił porządek. Nie ma już tego teraz. Młodzi policjanci nastawieni są dziś na pracę urzędniczą, a nie branie odpowiedzialności we własne ręce. Trafiają się perły, że dzięki swojej fascynacji pracują dniami i nocami. Oni robią policji dobry PR, o który pan pytał.

Gdzie w tej pracy jest haczyk?

Żadna kobieta, nawet najbardziej ufna i dobra, nie wytrzyma tego napięcia. Nie da się po czternastu godzinach w pracy nie myśleć o tej robocie. Człowiek przynosi ją do domu, nawet jeśli nie chce się do tego przyznać. To są złe nawyki. Kolejnym jest sięganie po alkohol. Nerwy i wyżywanie się na rodzinie albo odtrącanie partnerki, myśląc, że i tak nie zrozumie, również nie służą małżeńskiej idylli. Żony nie wytrzymują takiego stylu życia. Osobiście także byłem gościem w domu. Czasem po 24 czy 48 godzinach wracałem tylko po to, żeby zmienić koszulę, i jechałem znowu do pracy. Przemęczenie jest wpisane w ten zawód. Wstyd się przyznać, ale zdarzyło mi się zasnąć za kierownicą. Byłem na Tamce i nagle ocknąłem się po kilku skrzyżowaniach. Koszmar, bo zauważyłem to dopiero w Dolinie Służewieckiej. Na szczęście była czwarta rano. Normalką jest powrót do domu grubo po północy i pobudka o 5.30. Żona widziała tylko brudne ciuchy w bieliźniarce. Po tym poznawała, że byłem w domu. Kierat.

Rozpad rodziny i alkohol oto policyjny haczyk. Są wyjątki. Ja miałem to szczęście. Poza tym policjanci mają powodzenie, więc jeśli jedna kobieta mnie nie rozumie, szukam innej. Przykładem złamanej kariery jest Opala.

To ten policjant wydziału zabójstw, który postrzelił partnerkę i się powiesił. W słynnym serialu Patryka Vegi grał go Krzysztof Stroiński.

Nie zgadzam się z tym, co pisały gazety. Rozmawiałem także z Vegą, kiedy przygotowywał się do tej produkcji, i przestrzegałem go przed gloryfikowaniem Opali. Byłem jego szefem i zwalniałem go z policji właśnie po tym, jak postrzelił swoją konkubinę. Zaproponowałem mu, żeby sam napisał podanie o zwolnienie, bo po piętnastu latach pracy dostanie emeryturę. Od razu nadałem tej sprawie bieg. Został zwolniony w trybie 24 godzin. Zajście z bronią wzięła na siebie jego konkubina. Utrzymywała, że Sławek zostawił broń, a ona chcąc przełożyć, postrzeliła się sama. Opala był nieszczęśliwym facetem, który nie umiał sobie znaleźć miejsca. Uwikłanym w różne sprawy. Przesiedział w zakładzie karnym dwa lata, bo współpracował z grupami przestępczymi, do czego się przyznał. Nie mówi się źle o zmarłych. Tu skończę tę historię. Świetny policjant, trudny człowiek. Miałem też innego policjanta który rozpracowywał Baranię od czasów, kiedy ten był jeszcze przestępczym nowicjuszem. Prognozował mu sporą karierę kryminalną, dlatego założył mu teczkę i działał operacyjnie. Niestety się skrzywił. Rozpracowywało go później Biuro Spraw Wewnętrznych. On także siedział.

Ich legendy działają na młodych policjantów?

Jasne. Wielokrotnie słyszałem: chciałbym być jak Opala. Starłem się ich studzić, tłumacząc, że nawet nie wiedzą, jaki facet zgotował sobie los. Kosztowało go to życie. Po wyjściu z zakładu karnego powiesił się u swojej matki. Vega podał mu rękę, zatrudniając go w swoich filmach. Jednak on pił i nie radził sobie z życiem. Koledzy z wydziału zabójstw spotykali się z nim towarzysko. Jeden z policjantów zreflektował się nawet, że niepotrzebnie dali mu wódkę zaraz po jego wyjściu z więzienia.

Wszyscy tacy niegrzeczni?

Wielu policjantów w wydziale zabójstw było charakternych. Psy na robotę. Nie byli to grzeczni chłopcy. Nie mogli nimi być. Gdy przesłuchiwali

zabójcę, musieli umieć z nim rozmawiać. Intelktualista w życiu by sobie nie poradził. To byli po prostu twardzi faceci i tyle.

Tego wymaga praca w wydziale dochodzeniowym?

Poświęcenia i hardości. Opala potrafił pracować siedem dni bez przerwy. W łazience komendy prał sobie koszulę i wywieszał ją za oknem. Kiedy trzeba było ruszać, zakładał broń i jechał dalej. Jednak po takim tygodniu jak wsiąkł, nie było go cztery dni. Zastanawiałem się, co się stało. Zatłukli go? Albo wpadł do wody i utonął? Nie mogłem spać po nocach, bo choć powinienem to zgłaszać, nie robiłem tego, biorąc odpowiedzialność na siebie. Może policja powinna go szukać, a ja tego nie zgłaszam. Dlatego podawałem młodym policjantom ten przykład, żeby pamiętali, że nawet najlepszy policjant operacyjny w Polsce może tak skończyć.



SŁOWNICZEK

AFIS – ang. *Automated Fingerprint Identification System*, czyli Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej. Służy do gromadzenia i przeszukiwania obrazów linii papilarnych palców rąk i dłoni osób podlegających rejestracji kryminalnej, cudzoziemców podlegających procedurom administracyjnym na podstawie ustawy o cudzoziemcach, a także obrazów niezidentyfikowanych śladów daktyloskopijnych z miejsc przestępstw. W bazach danych AFIS znajduje się obecnie niemal cztery miliony kart daktyloskopijnych i około 100 000 NN śladów z miejsc przestępstw. Baza kart zawiera odbitki linii papilarnych na kartach daktyloskopijnych pobrane od osób podejrzanych o popełnienie przestępstwa, natomiast baza śladów zawiera ślady pozostawione na miejscach przestępstw przez nieznaną sprawców. W systemie AFIS można zrealizować wszystkie możliwe porównania kart daktyloskopijnych i śladów. Kluczowa jest jednak decyzja eksperta. Automat szuka cech zgodnych, podaje wynik określający poziom podobieństwa (*score*) i na tej podstawie typuje kandydatów, natomiast ekspert szuka niezgodności, aby sprawdzić cechy uznane za podobne. Komputer „widzi” tylko cztery cechy szczególne linii papilarnych, człowiek widzi ich trzysta. Dlatego wydawane opinie są kategorię.

Amba – sytuacja, w której w śledztwie nic nie jest wiadome. Tak określa się całkowity brak wiedzy z miejsca zdarzenia. Policjant może powiedzieć: „klient zniknął, po prostu amba”.

Areszt nakładczy – zastosowanie aresztu tymczasowego wobec osoby przebywającej już w zakładzie karnym. Chodzi najczęściej o kolejne wykryte przestępstwo i odizolowanie od współosadzonych, aby osoba taka nie miała możliwości mataczenia w śledztwie.

Biologia – potoczne określenie używane podczas policyjnych oględzin miejsca zbrodni oznaczające wszystkie ślady zawierające krew, ślinę, spernę, włosy czy fragmenty naskórka i inne zabezpieczone do badań DNA, określających profil biologiczny sprawcy. Zaglądając do akt starych postępowań, detektywi sprawdzają najczęściej, czy w sprawie jest jakaś „biologia”, która obecnie dzięki nowym metodom kryminalistycznym może mieć kluczowe znaczenie.

Bieżączka – wszystkie najświeższe sprawy, jakie prowadzi wydział śledczy, zawsze mające pierwszeństwo.

Cienias – osoba niehonorowa, wielokrotny kłamca, lawirant i tchórz. Może być to także przestępca, który nie wytrzymał presji przesłuchania i wsypał swoich kolegów, bądź ktoś wyjątkowo słaby fizycznie.

Czarni – wyszkolone i uzbrojone jednostki specjalne, czasem nazywani antyterrorystami. Ich polowe mundury zawsze są koloru czarnego. Wzywani są do zatrzymania najgroźniejszych przestępców. Wchodzą do akcji przeważnie o świcie, aby maksymalnie zaskoczyć bandytów. Ich personalia są jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic organów ścigania.

Czysta sprawa – sąd lub prokurator może tak określić postępowanie śledcze, w którym nie ma żadnych wątpliwości co do winy podejrzanego, bo materiał dowodowy jest miażdżący.

Daktyloskopia – jedna z najstarszych technik kryminalistycznych, która polega na identyfikacji człowieka na podstawie charakterystycznych wzorów linii papilarnych, występujących na wewnętrznej stronie palców u dłoni oraz podeszwach stóp. Kiedyś odciski palców od podejrzanego były pobierane za pomocą czarnego tuszu, obecnie w tym celu wykorzystuje się skanery. Biegli porównują ogólny wzór linii papilarnych (istnieją trzy podstawowe wzory: łukowy, pętlicowy i wirowy), następnie szukają minucji, czyli punktów charakterystycznych w postaci kropek, kresek i zakończeń linii.

Dochodzeniówka – Wydział Dochodzeniowo-Śledczy, jeden z pionów policji kryminalnej. Podstawowym zadaniem wszystkich pracujących w nim policjantów jest prowadzenie postępowań przygotowawczych (potocznie mówiąc: prowadzenie spraw) w formie dochodzeń i śledztw, stąd też nazwa tej sekcji. Detektywi prowadzą sprawy, w których zostało popełnione przestępstwo typu morderstwa, gwałty, napady, rozboje i podpalenia albo gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie jego popełnienia.

Dyżurny – oficer, którego głos można usłyszeć po wybraniu numeru 997 lub 112. Oficer dyżurny jest telefonistką i doradcą w jednym. Odbiera setki

połączeń, bo ludzie dzwonią do komendy nie tylko w celu zgłoszenia przestępstwa. Często po poradę w kwestiach prawnych lub aby dowiedzieć się, jaki jest numer telefonu na postój taksówek. Czasem po prostu chcą naubliżyć policjantowi. Dyżurny deleguje patrole interwencyjne na miejsce zgłoszenia i jest w policji pierwszą osobą, która dowiadyuje się o popełnieniu zbrodni.

Eksperyment procesowy – inaczej wizja lokalna, czyli oględziny terenu lub lokalu, gdzie zostało popełnione przestępstwo, w celu zbadania wszystkich okoliczności przestępstwa i potwierdzenia udziału sprawcy.

Figurant – osoba nieodgrywająca istotnej roli w danej sprawie, występująca jedynie dla pozorów. Figurantem określa się także czasem świadka bądź osobę odnotowaną w aktach śledztwa.

GENOM – System Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Komendy Głównej Policji. Zawiera zbiory danych w celu ich gromadzenia, przetwarzania i udostępniania DNA przestępców. Zbiory składają się z kartoteki, próbek materiału genetycznego oraz elektronicznej bazy danych. W bazie danych genetycznych gromadzi się i przetwarza informacje o DNA skazanych, osób podejrzanych o popełnienie przestępstwa, nieletnich, którzy dopuścili się czynu zabronionego określonego przez ustawę jako przestępstwo ścigane z oskarżenia publicznego, osób o nieustalonej tożsamości oraz usiłujących ukryć swoją tożsamość, NN zwłok, śladów NN oraz materiału biologicznego przechowywanego w starych sprawach.

Hit – (z ang. Hit – trafienie) następuje podczas przeszukania w bazie AFIS lub GENOM, gdy po wprowadzeniu śladów NN system zestawia je z materiałem konkretnej osoby wcześniej zarejestrowanej w bazie, określając podobieństwo graniczące z pewnością. Wówczas śledczy mówią, że mają „hita”. To podstawa do zatrzymania osoby podejrzanej w celu pobrania od niej odcisków palców i materiału DNA, żeby wykluczyć lub potwierdzić udział w przestępstwie.

Klient – może to być osoba podejrzana, zatrzymana, przesłuchiwana, będąca świadkiem, oskarżonym, skazanym, sprawcą lub poszukiwanym. Określenie to łączy się z osobą, którą interesują się organy ścigania. Najchętniej używane jest w zdaniu kończącym śledztwo: „mamy klienta”.

Kolankowanie – przyciskanie kolanem do podłoża, zwykle w trakcie krępowania ofiary podczas napadu. Określenie używane w protokołach sekcji zwłok i aktach oskarżenia.

KPK – kodeks postępowania karnego. Art. 1 mówi, że postępowanie karne w sprawach należących do właściwości sądów toczy się według przepisów niniejszego kodeksu.

Kryminalni – policjanci w terenie. Realizują wszystkie czynności operacyjne zmierzające do ustalenia sprawców przestępstw przeciwko życiu i mieniu, przestępstw związanych z patologiami społecznymi oraz ustalania miejsc pobytu i zatrzymywania osób poszukiwanych. Zawsze uzbrojeni.

Kwadrat – mieszkanie. Nazwa pochodzi od metra kwadratowego i kwadratowego kształtu pokoju mieszkalnego. „Zatrzymany na kwadracie” lub „często chodził na kwadrat”.

Marabut – gatunek dużego ptaka mięsożernego z rodziny bocianów. Zamieszkuje Afrykę Środkową. Puch marabuta dzięki swoim właściwości znakomicie nadaje się do wyrobu pędzli daktyloskopijnych. W XIX wieku puch ptaka i pióra spod ogona były masowo pozyskiwane do produkcji damskich kapeluszy i szali boa. Spowodowało to prawie całkowitą zagładę tego gatunku.

Mocne dowody – dowody, których nie da się podważyć przez obronę w trakcie procesu. Przykładowo: ślady biologiczne i odciski palców znajdujące się na narzędziu zbrodni, należące do podejrzanego.

Na tapecie – sprawa lub konkretna osoba będąca w trakcie bieżącego policyjnego rozpracowywania/zainteresowania/śledztwa.

Ninhydryna – organiczny związek chemiczny powszechnie używany jako niezwykle czuły wskaźnik chemiczny do wykrywania aminokwasów i amin pierwszorzędowych. W kryminalistyce służy do ujawniania śladów daktyloskopijnych z papieru, banknotów i innych skrawków znalezionych na miejscu zbrodni. Daje efekty przy użyciu na nielakierowanym drewnie.

NN – niezidentyfikowane osoby, zwłoki, ślady. Świadek może zeznać, że widział sąsiada z mężczyzną NN, co zostanie zaprotokołowane i w takiej postaci trafi do akt sprawy. Podobnie policjant dochodzeniowo-śledczy odnotuje w dokumencie oględzin, że przykładowo na miejscu zbrodni zabezpieczono ciało NN.

Odpalić – zastrzelić, udusić, zabić, pozbawić życia, zamordować kogoś. Policjanci używają często w konstrukcji: „sprawa męża, który odpalił żonę”.

Pakiet biologiczny – zestaw próbek, jakie pobiera się do analizy porównawczej od podejrzanych, świadków, rodzin sprawców lub z ciała w trakcie oględzin. Pobieranie materiału biologicznego w postaci wymazu ze śluzówki policzków w celu przeprowadzenia analizy DNA wykonuje się przy użyciu przeznaczonych specjalnie do tych celów pakietów kryminalistycznych oznakowanych indywidualnym kodem kreskowym.

Postępowanie przygotowawcze – początkowa faza postępowania karnego. Wszczyta się je tuż po złożeniu doniesienia na policję lub prokuraturę przez pokrzywdzonego albo inne osoby. Może być wszczęte także dzięki zdobytym przez organy ścigania informacjom uzasadniającym podejrzenie popełnienia przestępstwa. Postępowanie przygotowawcze prowadzi się jako śledztwo (przy poważniejszych przestępstwach) lub jako dochodzenie. Śledztwa prowadzi prokurator. W rzeczywistości jedynie nadzoruje działania policji. Kieruje za to akt oskarżenia do sądu, stawia zarzuty i decyduje o zabezpieczeniu określonych dowodów. Stronami są zawsze pokrzywdzony i podejrzany – później oskarżony.

Przypucować się – wygadać się, pogrążyć w oczach policji. Policjant może powiedzieć: „na przesłuchaniu klient się totalnie przypucował”.

Siadać na łeb – określenie to najczęściej słychać w ustach policjantów wydziałów kryminalnych, odpowiedzialnych za pracę operacyjną w terenie. Po wyznaczeniu kierunku śledztwa oficer dochodzeniowy typując do rozpracowania konkretną osobę, może wydać kolegom polecenie, żeby „siadali jej na łeb”. Może być to obserwacja lub ustalenie miejsca pobytu kończące się zatrzymaniem. Czasem przeszukanie lub rozpytanie, kim osoba rozpracowywana jest w danym środowisku.

Siedzieć za głowę – odbywać wyrok za zabójstwo.

Szarpnąć klienta – może być to prowokacja, długie przesłuchanie z użyciem perswazji, sprawdzanie alibi, zebranie informacji lub intensywne rozpracowanie operacyjne konkretnej osoby.

Sześćdziesiąta (mały świadek koronny) – artykuł 60 kodeksu karnego. Jest to nadzwyczajne złagodzenie kary w zamian za współpracę.

Świadek z uprzedzenia – każdy z nas może być wezwany jako świadek. Jesteśmy wówczas wezwani w charakterze świadka z uprzedzenia. Warto wiedzieć, jakie ma się wówczas prawa. Przestępcy zawsze je wykorzystują na swoją korzyść, najczęściej odmawiając zeznań.

Technik – specjalista kryminalistyki zabezpieczający ślady i uczestniczący w oględzinach miejsca zdarzenia (morderstwa, włamania, ucieczki itp.). Wchodzi w skład każdej ekipy dochodzeniowo-śledczej delegowanej do pracy w terenie. Po przeszkoleniu podstawowym kandydat jest kierowany na specjalistyczny kurs dla techników kryminalistyki w Centrum Szkolenia Policji w Legionowie, po którym może samodzielnie wykonywać swoje zadania. Na początku zdobywa doświadczenie zawodowe pod okiem doświadczonych kolegów oraz ekspertów laboratorium kryminalistycznego. Doświadczeni technicy o szczególnych predyspozycjach, wysoko oceniani za swoją wiedzę i umiejętności mogą szkolić się z daktyloskopii i mechanoskopii, zdobywając uprawnienia do samodzielnego opracowywania podstawowych ekspertyz.

Wywiady posesyjne – zeznania, jakie zbierają policjanci tuż po ujawnieniu zwłok, w najbliższym otoczeniu ofiary.

Zaczep – inaczej: punkt zaczepienia. Trop, ślad lub poszlaka, dzięki której policja może dokonać przełomu w sprawie.

Zabarłóżyć – bardzo pojemne określenie. Najczęściej oznacza potężnego kaca po libacji alkoholowej, który uniemożliwia odbycie służby następnego dnia.

Zimne pogotowie – służby sanitarne umieszczające ciało w plastikowym worku, zabierające je z miejsca zbrodni do prosektorium.



PODZIĘKOWANIA

Książka powstała dzięki uprzejmości prokuratorów i policjantów dochodzeniowo-śledczych z komend wojewódzkich w Warszawie, Gdańsku, Szczecinie, Poznaniu, Łodzi, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie. Dziękuję im serdecznie za zaufanie i chęć współpracy niezbędną przy pracy dokumentacyjnej. Dziękuję za fachową pomoc mł. insp. Marcinowi Szyndlerowi, w którego gabinecie rozpocząłem swoją podróż po jednostkach. Podziękowania składam także Pawłowi Pokorze za szereg konsultacji, a także wiele inspiracji w literackich poszukiwaniach. Dziękuję mojemu wydawcy za zaufanie i odwagę w strategicznych decyzjach oraz mojej małżonce za wielkie wsparcie, jakiego udzielała mi w wielu kryzysowych momentach pełnych ludzkich nieszczęść, które odnalazłem w aktach spraw.

